

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA
POETYCKIE

TOM III

LIRYKI

I

LWÓW — 1912

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

ARCYDZIEŁA EUROPEJSKIEJ POEZJI DRAMATYCZNEJ

□ □ □ □ W PRZEKŁADZIE □ □ □ □

JANA KASPROWICZA

Tom I. MAURYCY MAETERLINCK: Siostra Beatryks. Dramat w 3 aktach, 4-ka, str. 52. (Cena przedtem K. 2). **GABRYEL D'ANNUNZIO:** Franczeska z Rimini. Tragedya w 5 aktach. 4-ka, str. 236. (K. 5'70). **KRZYSZTOF MARLOWE:** Tragiczne dzieje doktora Fausta. Tragedya. 4-ka, str. 114. (K. 3'60). **PERCY B. SHELLEY:** Oedipus Tyrannus czyli Opuchłolydziec król. Tragedya. 4-ka, str. 52. (K. 1'50).

CENA ZNIŻONA TOMU I. K. 8.—, Rb. 3'50.

Tom II. PERCY B. SHELLEY: Rodzina Cencich. Tragedya. 4-ka, str. 139. (K. 3'60). **ROBERT BROWNING:** Pippa przechodzi. Poemat dramatyczny. 4-ka, str. 92. (K. 3.—). **ROBERT BROWNING:** Na balkonie. **WILIAM BUTTLER YEATS:** Księżniczka Kasia. 4-ka, str. 121. (K. 3'60). **ALGERNON CHARLES SWINEBURNE:** Atalanta w Kalydonie. Tragedya. 4-ka, str. 116. (K. 3'60).

CENA ZNIŻONA TOMU II. K. 8.—, Rb. 3'50.

Tom III. AJSCHYLOS: Dzieje Orestesa, 8-ka, str. 194. (K. 3'60); Prometeusz skowany, Persowie, Siedmiu przeciw Tebom, Błagalnice. 4-ka, str. 216. (K. 4.—).

CENA ZNIŻONA TOMU III. K. 6.—, Rb. 2'60.

poleca

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

do nabycia

WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH KRÓLESTWA POLSKIEGO, CESARSTWA, GALICYI I KS. POZNAŃSKIEGO

DZIEŁA POETYCKIE

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA POETYCKIE

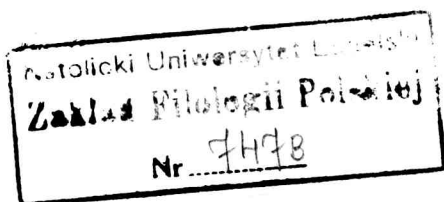
WYDANIE ZBIOROWE
LUDWIKA BERNACKIEGO

T. III
LIRYKI

I



LWÓW — 1912
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ. I A. TURKUŁ)



KRAKÓW. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

LIRYKI

I

1

Z PADOŁU WALKI

I.

ARYMAN I OROMAZ.

FANTAZYA (Z ZEND-AVESTA).

Virtue and wisdom, truth and liberty
Fled, to return not until man shall know
That they alone can give the bliss
Worthy a soul that claims
Its kindred with eternity.

Shelley. »Queen Mab«.

CZĘŚĆ I.

ARYMAN.

Otom go widział... blasków tysiącem
Twarz mu płonęła... był tak wspaniały
I tak ognistem bawił się słońcem,
Że nawet zamki przed nim zadrżały,
Gdzie Akerene, ojciec nasz, włada...
Otom go widział... światło promienne
Pragnął i do tej przelać dzielnicy
I te ciemności rozwiać bezdenne
I spalić siłę mojej żrenicy,
I nad mą głową zawołać: biada!

Dotychczas byłem pełen spokoju,
Zadowolony ze swego bytu,
Nie chciałem walki, nie chciałem boju,
Bom złocistego nie znał błękitu,
Który olśniewa twarz Oromaza.

Od wieków siedząc na ciemnym tronie,
Tuliłem w mgły się i chmur powłoki,
Chociaż w mem sercu, chociaż w mem łonie
Płynęły hartu bystre potoki,
Stokroć szkodliwsze, niżli zaraza.

Dotychczas byłem sam jeden królem,
Nie znałem większej nad swą potęgę,
Dziś ze zazdrością patrzę i bólem
Na tę barwistą, tęczową wstęgę
I na te skrzydła, któremi bije
Wyżej odemnie! Wszak on za chwilę
Całkiem zawładnie moimi szczyty!...
Lecz w upośledzeń brudzącym pyle
Pozostał zemsty płód jadowity —
Zostały żmije — zostały żmije!...

O Akerene! dzięki ci składam
Za nienawiści wszechmocną siłę,
Za hart i wolę, którymi władam,
Aby dziś swoją zmienić mogiłę
Na plac bojowy — na krwawe morze.
Patrz, duchu światła!... Jedno me słowo
Przywoła diwów czarne szeregi,
Co się uniosą nad twoją głową
I zatrzymają gwiazd twoich biegi,
Które ty pragniesz rozsiać w przestworze.

CHÓR DIWÓW.

Dzieci twoje, Arymanie,
Nie przywdzieją jasnej szaty;
Ich siedliskiem są otchłanie,
Gdzie nie płoną skry,
Gdzie nie płoną słońc krawędzie
Ni rażące gwiazd makaty,
Gdzie Oromaz nie zasiędzie
W dumie swój.

Arymanie, królu zmroku!
Tyś do chłodnych przywykł cieni,
A tu każą żyć w potoku
Gorejących zórz!
Arymanie, duchu boży!
I my w nocy tej zrodzeni
Nie porzucim zimnych łoży
Nigdy już.

Prowadź, prowadź na przybysze,
A pogasim ich ogniki
I zakłócim dziwną ciszę
Tych słonecznych dróg,
Jakby bowiem nie znał ciebie,
Tak wciąż składa swe promyki
I na jasnym wiesza niebie
Ten nasz wróg.

Prowadź, prowadź, bo już głosy
Amszaspantów ku nam płyną —
Pieśń uwielbień złotowłosa
Ormuzdowi nuci chór:
Każda zwrotka ostrym mieczem,
Co rozdziera mgłę nam siną —
Prowadź — prowadź! my rozsieczeni
Światła twórz!

CHÓR AMSZASPANTÓW.

Błogosławionyś, boże światłości,
Bo wokół siebie rozsiewasz życie,
Tworzysz niebiosy, a w ich błękicie
Rozniecasz świetny żar!
Zaludniasz ziemię szeregiem gości,
Którzy młodzieńczą krasą i wonią
Nadają pustym, sennym ustroniom
Zachwycający czar.

Błogosławionyś, boże światłości,
Albowiem twoje ojcowskie rządy
Już poważnione złączyły prądy
Potęgą dźwięcznych strun:
I oto ciekłą krople miłości
Na twe zwierzęta i na twe ziela;
Świat się przemienia w ogród wesela,
Olśniony falą łun!

Błogosławionyś boże światłości!...
W tem kole życia, w tym barwnym wianku,
W tym bieluteńkim, czystym poranku,
W tej fali złotych zórz,
Arymanowej nie bój się złości
I jedną iskrą ze swego serca
Króla dla tego stwórz dziś kobierca —
Ach! stwórz człowieka — stwórz!...

OROMAZ.

Ten ogień twórczy, co w piersi mej drzemie,
Ten powiew wiosny, co orzeźwia ziemię,
Ta kropla rosy, co z nieba wciąż ścieka —
Zlejcie się w jedno i stwórzcie człowieka!...
Niechaj mu ducha podnoszą zapachy
Do sfer poświęceń, zwycięstwa i chwały,
W sercu niech pali się miłość gorąca,
Błyska płomieniem gwiazd złotych tysiąca,
Spaja ze sobą młodzieńca — nadzieję
I zdrój dobrodziejstw na świat ten niech leje!
Z nami zawarłszy serdeczne przymierze,
W hart się niech zbroi i w męstwo ubierze,
Niechaj się stawia w gorące zapasy
Przeciw wrogowi światłości i krasy!
O Arymanie! zatrząsną się zręby
Twoich zamczysków! Rozpłyną się kłęby
Mgieł twych i dymu i skier mych nie stłumią!
Chóry mych duchów skrzydłami zaszumią,

Patrząc, jak w niwecz obraca się władza
Króla ciemności, co klęski sprowadza
Na moje dzieło — na kwiaty te moje!.
O tyś tak dumny! i myślisz, że zdroje
Czystych zachwyków twe dłonie zamąca,
Myślisz, że dobę świetlaną, gorącą
Zgasisz, wychłodziś zjadliwym oddechem
I będziesz bryzgał szyderstwem i śmiechem.
Serce człowieka, to wnętrze kościoła,
W którym duch boży codziennie nań woła:
»W czarnego zmroku nie chowaj się szaty,
Lecz składaj zorzy i słońcu objaty!«
»Honower« duchu! twa władza się kończy.
W sercu człowieka mam szyszak obrończy!...

ARYMAN.

O Zerwane-Akerene! Przekleństw zmije
Niech się wpiją w twoją szyję!
Upośledzasz mnie na nowo,
Zakłęć słowo
Dając mu!
Więc mam jeszcze patrzeć cicho z mych zamczysków
Na strumienie jego błysków,
Co tam płoną w tej przeźroczy,
Paląc oczy
Moje tu?!...

O Zerwane-Akerene! Przekleństw głązy
Niech osiągną cię sto razy,
Niech na wieki cię przygniotą,
Twym obrotom
Kładąc kres!...
On raz tylko rzekł »honower«, bo w przyszłości
Wyraz ten mu nie zagości,
Lecz popłyną z jego wargi
Czarne skargi,
Pełne łez.

O Zerwane-Akerene! Jego człowiek
 Wciąż nie będzie swoich powiek
 Ku błękitnym strefom wznosił:
 Będzie prosił
 O mój cień!...
 Wtenczas zemsta ma i zazdrość swą kałużą
 Oromazda w grób zanurzą, —
 Wtenczas sine mgły rozsieję
 I zaleję
 Biały dzień...

CHÓR AMSZASPANTÓW.

Arymanie, kliesz daremnie!
 Odwieczny czasu bóg
 Nie zmieni swoich dróg,
 Nie sięgną go tve źmije,
 Nie sięgnie go twój głaz!
 Arymanie! rzuć tve ciemnie,
 Ten nocny porzuć kraj;
 Tu zawsze kwitnie maj,
 Tu tęcza wciąż się wije,
 W słoneczność wiodąc nas.

Arymanie, kliesz daremnie!
 Przeczysty jest nasz człek,
 I choćbyś słowo rzekł,
 On słońca nie opuści,
 Nie rzuci złotych gór!
 Arymanie, rzuć tve ciemnie,
 Do naszych biesiad siadź —
 Czy pragniesz wiecznie brnąć
 W pośrodku tych czeluści
 I wiecznie szerzyć mór?!...

CHÓR DIWÓW.

O, nam jeszcze dziś urąga
 Ormuzdowy płód,

Arymanie! Arymanie!
Wciąż ognistszy chór nadciąga,
Czas już, czas już, byś w otchłanie
Mgieł nas wiódł!...
Przemija lat trzy tysiące.



CZĘŚĆ II.

CZŁOWIEK.

Niech nademną noc się zwali,
»Odpoczywaj!« niech zawoła!
Mnie ten promień słońca pali
I wyciska pot mi z czoła.
Głos sumienia wciąż mnie budzi,
Każe ziarna siać co żywo,
Mnie ten wieczny posiew nudzi,
Ja nie wierzę w przyszłe żniwo!

Błyszczycy niebo, błyszczą rzeki
I gdzieś w górze gwiazdy świecą,
Oromazda chór daleki
Czcą mnie bawi obietnicą!
Nie dosięgną moje dłonie
Do sfer jasnych — do błękitu,
I me szczęście nie zapłonie
Wieczystego krasą bytu.

Ten potężny światła bóg
Co się chęłpi siłą lotu,
Czemu pragnie jakichś sług
Czemu pragnie krwi i potu?
Czemu na świat sam nie spłynie
I sam ziaren nie rozsiewe,

Jeno ludzkiej śle drużynie
W zamian trudów czczą nadzieję?

Każę w sercu czcić zapały
I miłości wieńce splatać,
Wierzyć w szczytne ideały,
Do nadziemskich sfer ulatać.
Wolność, światło to fantomy,
Które mózgi chore płodzą!
Próżno, próżno biją gromy,
W moje piersi nie ugodzą!

Nie ugodzą w piersi moje —
I dla innych z twardej roli
Nie popłyną czyste źródła!
Hej! niech zmrok mnie dziś okoli:
Uduchownień białe skrzydła
Dawnom stępił w próżnym locie,
Próżna jazda już mi zbrzydła,
Wolę w ciemnym śnić namiocie!...

CHÓR AMSZASPANTÓW.

O nieszczęsny! grób przed tobą!
Odbiegasz dróg zbawienia,
Szukając złego cienia,
Za nocną tęskniąc dobą.

W Ormuzdowym lśnią kościele
Jarzące szczęścia świece,
Tu czyste wciąż dziewice
Wiosenne wiją ziele!...

CZŁOWIEK.

Niech nademną noc się zwali,
»Odpoczywaj« niech zawoła,
Mnie tu promień słońca pali
I wyciska pot mi z czoła...

Wciąż sumienia głos mnie budzi,
 Każe ziarna siać co żywo,
 Mnie ten wieczny posiew nudzi,
 Ja nie wierzę w przyszłe zniwo...

CHÓR AMSZASPANTÓW.

Oromazie, zwątpień gad
 Zrodził się w duszy człowieczéj
 I szlachetny zalał ślad
 Potokiem trującej cieczy.

Już się mglisty wznosi kłęb,
 Nasze się gwiazdy ściemniają,
 Już piekielny zadrzał zrąb,
 Aryman pędzi z swą zgrają.

Oto przyszedł zmroku czas,
 Złote się słońce zapada,
 Tyś wygnała sama nas,
 Biada ci ziemio — o biada!...

ARYMAN.

Jestem zwycięzcą!... odwieczny Zerwane,
 Ten sam, co jemu przed tylu wiekami
 Siły zaklęcia udzielił, dziś ranę
 Moją zabił i zwycięstw laurami
 Okrył me czoło... Dziś rzucam otchłanie,
 W których mnie chóry Ormuzda zawarły
 I śpieszę głogi siać na kwietnim łanie
 I świat żyjący przemieniać w umarły.
 Dzisiaj wyzionę trujące potoki
 Na płody słońca, od razu poniszczę
 Świetne ich barwy i wysię ich soki —
 I wszystko będzie jak zgłiszczce! jak zgłiszczce!..
 Ten ród człowieczy, co dzisiaj mnie woła,
 Co Oromaza miał bronić przedemną;

Ten, co miał serce jak wnętrze kościoła,
A dziś zamienił je na czeluść ciemną,
Ten ród, co pragnie spokojnych komórek —
Ten ród przygniotę do cierpień łożyska;
Ześlę nań węże i stada jaszczurek,
Niech się w objęciu ich kurczy i ciska...
Zmacę mu źródła i spalę mu ziarna,
A on spragniony i głodny, sam siebie
Niechaj zabija, niech strugą krew czarna
Płynie obfitą po tej spiekłej glebie.
I cóż, Ormuździe? Wszak gasną twe słońca
Wszak się w popiele mej zemsty już stliły?
Ciemność panuje od końca do końca
I wszędy czuć już zgniliznę mogiły!...
I cóż? czyś równie tak wielki i dumny,
Jak ten, co więzy gotuje i trumny?!...

OROMAZ.

O ty piekielnej zemsty szatanie!
Dzisiaj ci płaci upadek człeka
Zwycięstwa dań;
Ty śmierć rozsiejesz na jego łanie,
Lecz do mych krain droga daleka —
Nie wejdiesz nań.

W nieśmiertelności tuląc się szaty,
Będę tam mieszkał, a za mną słońce
I duchy zórz,
Płodząc nasienie na nowe kwiaty,
Na nowe lilie, życiem woniejące
Po chwilach burz.

Albowiem słuchaj, zły niszczycielu:
Tworząc człowieka, wlałem mu w duszę
Skier własnych źrój.
Dziś on ukryty... po latach wielu
Zbudzą go własne twoje katusze —
Ten czyściec twój!

I znów podniesie ku mnie swe oczy,
I znów zapagnie porannej doby
Po ciężkim śnie:
I ja mu ześlę dar mych przezroczy,
A tobie wieczne otworzę groby,
Zdeptawszy cię!

CHÓR DIWÓW.

Duchu brzasków! Próżne słowa,
Dziś koniec twojego świata,
Chór twych duchów już się chowa,
Już — już na wieki ulata.
Plag za sobą wlokąc brzemię,
Okryci w mgliste odzienia,
Spłynemy, spłynemy już na ziemię
Rozpocząć dzieło zniszczenia!
Przemijają lat trzy tysiące.



CZĘŚĆ III.

ZOROASTER.

O jak mi duszno w tym ponurym grobie,
Jak mi się w piersi wryły te kajdany!
Lata po latach... ach! doba po dobie
Wpośrodku drogi ciekną nieprzerwanej,
Wlokąc za sobą wciąż skargi i żale.
Codziennie krwawsze płyną łez strumienie,
Codzień błędniejsze stają się te twarze;
Znikąd cieplejsze nie zawieje tchnienie,
Nikt w gorejącym nie zapłonie żarze
I znikąd czystsze nie popłyną fale...

Noc dziś rozpięła chmury swe nad nami,
Braknie błyskawic, coby je rozdarły,
Braknie piorunów, ażeby iskrami
Wskrzesały świat ten, senny i zamarły,
By zapłodniły światłość w tej mogile...
Wy, jak postacie z marmuru wykute,
Kamiennym okiem wciąż patrząc przed siebie,
Na kęsy strawy swej patrząc zatrute —
Wy, czy o zdrowszym myślicie już chlebie,
O żywotniejszej marzycieź-wy sile?

Wy, niewolnicy pośród własnej chaty!
Dopokąd jeszcze chcecie się odziewać

Głupiej pokory żebraczemi szaty
I wrogom życia służalczy hymn śpiewać
I od światłości odwracać swe oczy?!
Czy wam szlachetnych pragnień iskry boże,
Które człek każdy chowa w serca głębi,
Rozniecić jeszcze jaka siła może?
Czy was już dzisiaj lód wieczysty ziębi?
Czy wasze piersi wieczny ciężar tłoczy?

Nie! Promień boski w człowieku nie gaśnie!
On nieśmiertelny! Ukrywa się w duszy,
Aż go sam człowiek, bój tocząc zapaśnie,
Siłą i wolą na nowo poruszy —
On nieśmiertelny i wiecznie bez skazy!
Lecz kiedy człowiek nie pragnie już łaski
Zwycięstw i gnuśny zakończy w spodleniu,
Promień krwawymi rozlewa się blaski
I na grobowca rysuje sklepieniu
Ogniste wzgardy i przekleństw wyrazy.

Czyż wy pragniecie, by wasi synowie,
Pośród cmentarzysk krocząc opuszczonych,
Złorzeczeń słowo rzucali po słowie
Na wasze groby bez wieńców zielonych,
Na groby boskim promieniem przekłęte?!
Strząśnijcie prochy! oczyśćcie się z błota,
Arymanową pogardźcie ciemnicą,
A wnet Ormuzda zapłonie wam złota
Gwiazda i bladym da rumieniec licom
I dni tu stworzy przejasne i święte!...

CHÓR NIEWOLNIKÓW.

Cześć ci, o cześć ci! Ty w naszym łonie
Budzisz znów zapal, stłumion niewolą:
Oto już błyska, oto już płonie,
Ku Oromazda zwraca się stronie,
Zwraca ku złotym się polom.

Nie chcemy dłużej, nie chcemy dłużej
Karmić się w nocy ogryzkiem kości,
Po latach zmroku, głodu i burzy
Pragniemy słońca, chleba i róży —
Pragniemy świętej wolności.

Chodźmy, o, chodźmy w zwartym szeregu
Arymanowe rozbijać szyki!
Będziemy walczyć, nie spoczniemy w biegu,
Aż znikną resztki zimnego śniegu,
Aż ujrzymy wiosny promyki!...

ZERWANE AKERENE.

Arymanie! już przyszła godzina!
Oto człowiek zatęsknił do słońca,
Przeciw tobie walkę rozpoczyna,
Walka jego krwawa i gorąca.

Arymanie! płomienne zachwyty,
Żądz szlachetnych siła, hart i męstwo
Odsłaniają niebios mu błękity,
Niesłychane dają mu zwycięstwo.

Arymanie! człowiek to potęga,
Której nawet piekło nie przełamie,
Gdy go zdobi woli jasna wstęga,
Kiedy w sercu nosi hartu znamię.

Arymanie! zakłść dawne słowo
To dziś śmierci twojej przeznaczenie!
Ormuzdowy chór już nad twą głową,
By cię strącić w nieskończone cienie!

ARYMAN I CHÓR DIWÓW.

Oto patrzcie! oto patrzcie! błyszczą miecze,
Które odniosły zwycięstwo —

Akerene, Oromazie i ty człecze,
Przekleństwo wam! przekleństwo!

CHÓR AMSZASPANTÓW.

Tak oto kończą niszczyciele,
Co zagarnęli świat,
Ażeby wygnać zeń wesele,
Podeptać szczęścia kwiat.

OROMAZ.

Oto ziemia, jak pustka cmentarza!
Wszędzie sine dymią popieliska,
Wszędzie zniszczeń ślady,
Ludzkich piersi skra już nie rozżarza,
Już ogniami młodymi nie płonie,
Człowiek walką błady.

Wody zatrzał wąż Arymanowy,
Łany zdeptał pochód jego duchów,
Z kras odarto kwiaty;
Trzeba ludziom napój stworzyć zdrowy,
Pełnię karmi dać, zamiast okruchów,
I jedwabne szaty.

Kometowe podajcie mi ognie!
Wszystko w szary popiół dziś obrócę,
Wszystko dłoń ma spali!
Serca ludzi zła już moc nie pognie,
Kiedy słowo wielkich zaklęć rzucę,
Aby zmartwychwstali.

Zmartwychwstańcie, drzewa, łąki, łany,
Zmartwychwstańcie, blaski, zdroje, rzeki,
Zmartwychpowstań, człecze!
Za twe męki, za twe łzy i rany
Dziś zgotuję wiosnę ci na wieki,
Z cierpień cię uleczę.

CHÓR ZMARTWYCHWSTAŁYCH.

O jaka rozkosz! jakie promienie!
Jaka ros świeżych opіłość!
Świat się przystroił w świeże zielenie,
W zapach zmieniła się zgniłość...

Posiewy ducha na takim łanie
Bogate rodzą nam kłosy:
Dzięki ci Boże! dzięki ci Panie!
Za twoje blaski i rosy!...



II.

NIENAWIDZĘ!

Nienawidzę ja ludzi, co w sobie
Nie mają ciepła!
Dusza im w lód się zakrzepła
Bezplenny!
I oto leżą, jak w grobie
Umarłych kości,
Zdaleka od słońca światłości
Promiennej...

Napróżno ich w rannej godzinie
Do czynu budzić:
Gdzież im porywem pierś trudzić
Zwierzęcą!
Pigmeje, w ślimaczej łupinie
Zakończą skrycie,
Gdy inni za prawdę swe życie
Poświęcą!



III.

BŁOGOSŁAWIENI.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytych cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni:
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z Chwałą króluje Zwycięstwo
Bez twardych kajdan, tak bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...
Ten raj się tylko dla silnych zieleni:
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprząтали ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdy złote słońce blaskiem zamigoce,
W głos zawołają, duchem podniesieni:
Za ojców sprawą szczęście nam się pleni —
Błogosławieni!



IV.

PIEŚŃ IRLANDZKA.

Krew najgorętszą, co mi w żyłach bije,
Irynie! Irynie!
I łzę najczystsza, co mi aż od serca
Płynie
I w jednej kropli cały byt mój kryje
I tak się błyszczy odblaski smutnemi,
Jako ta rosa wieczorna na kwiatach,
Wzrosłych wśród mogił, wśród tej nieszczęść ziemi,
Którą dzień po dniu, ach! lata po latach
Krwia i łzą spulchnia ten los-poniewierca:
Tę krew i łzę tę, co mi aż od serca
Płynie,
Poświęcam tobie, tak, tobie jedynie,
Irynie!

Przyszedł lud obcy na twój łąn zielony,
Irynie! Irynie!
I w twarz ci rzucił: »Zanim chwila sprzętu
Minie,
Nim twych żniwiarzy stanie tłum strudzony,
Dasz mi swój jęczmień i swoją pszenicę
I praw się swoich wyrzeczysz otwarcie,
Gdyż ręce drżą ci, a blade źrenice

»Skazany« mówią, »jesteś na wymarcie«.
Ach! nim z dobytku nie zostanie szczętu,
Nim bez żniwarzy twoich chwila sprzętu
Minie,
Zamień swą ziemię w najdroższą świątynię,
Irynie!

Więzów żelaznych, co ci ręce skuły,
Irynie! Irynie!
I myśl hamują, że, patrząc za siebie,
Ginie,
Nie stopi wieszczów twoich hejnał чуły,
Ani Emmetów krwawe złamają cienie,
Ni płomienista Grattanów wymowa,
Jeżeli dzieci zmarnują twe mienie;
Jeżeli ziarna, które bróg twój chowa,
Dla tych posieją, co, o twoim chlebie,
Myśl twą hamują, że, patrząc za siebie,
Ginie,
Zamiast iść naprzód i skamienieć w czynie,
Irynie!

Patrzaj, te blaski słoneczne jak gasną,
Irynie! Irynie!
I dzień ten biały, co życiem i ruchem
Słynie,
Jak kryje w zmroku, spokojny, twarz jasną!
On wie, że jutro żar większy rozpali...
O, zejdz, ty zbladły swej przeszłości winą,
Z tem, co się smuci, i z tem, co się żali,
W grób zapomnienia, a ranną godziną
Wstaniesz, nie zgniecion tyranów obuchem;
Zejdz, jak dzień biały, co życiem i ruchem
Słynie,
A przecież, cichy, tonie w mgieł głębienie,
Irynie!

Krew najgorętszą, co mi w żyłach bije,
Irynie! Irynie!
I łzę najczystsza, co mi aż od serca
Płynie
I w jednej kropli cały byt mój kryje
I tak się błyszczy odblaski smutnemi,
Jako ta rosa wieczorna na kwiatach,
Wzrosłych wśród mogił, wśród tej nieszczęść ziemi,
Którą dzień po dniu, ach, lata po latach
Krwia i łzą spulchnia ten los-poniewierca:
Tę krew i łzę tę, co mi aż od serca
Płynie,
Poświęcam tobie, tak, tobie jedynie,
Irynie!



V.

HEJ, ODŁOGIEM LEŻY NASZA ROLA.

Hej, odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania.

Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy,
Kraje bruzdy, choć pot ciecze z czoła,
Piele zielsko, choć zachodzą oczy,
Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy.

My na miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni,
Zapadliśmy snąć w sen nieprzespany,
Usnęliśmy, snąć rychło znużeni,
Na tej miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni.

Wicher ku nam od mogił zawiewa,
I jak złodziej do wnętrza się wciska,

Myśl podcina, że już nie dojrzewa,
Studzi zapał, tak, że już nie błyska,
Ach! ten wichur, że ku nam zawiewa,
Od tych mógł i w wnętrze się wciska!

Prawda, ludzi, chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem,
Że szelesty, poczęte na grobach,
Są ich marzeń serdecznych spowiciem!
Prawda, ludzi chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem.

Lecz grób smutkiem, smutek to beczynność,
A czas płynie i żniwo nadchodzi!
Hej! ubiegnie nas sąsiadów zwinność
Plon nasz zgarnie dla siebie, jak złodziej!
Nas zabije ta smutku beczynność,
Gdy czas płynie i żniwo nadchodzi.

Ach! odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania.



VI.

EXCELSIOR.

Więc my skazani na wymarcie?
Na bezechowy koniec bytu,
Kiedy naokół tętni parcie:
»Naprzód, hej! naprzód w stronę świtu?«
Więc legnąć mamy pośród zgrzytu
Tych sił brutalnych, praw ukutych,
Co serca, rwące się do szczytu,
Ranią nam ostrzem brzytw zatrutych —
Że wiem się, jak węże, pośród dreszczów lutych!?...

Po naszych łańcach smutek wieje,
Smutek do naszych chat się wciska,
Jak widma senne, mkną nadzieje,
A na ich miejscu rozpacz blizka.
Pocięte żyto; suche rżyska
Świadczą, że przeszedł już czas żniwa;
Z pod twardych cepów ziarno pryska,
Lecz któż z tych ziaren chleb spożywa,
Choć w każdej okruszynie trud się nasz ukrywa!?

Niema tygodnia, niema chwili,
Aby nie przyszły smutne wieści,
Że tam, gdzie wczoraj swoi żyli,

Dziś się już obce gniazdo mieści.
Ach! każdy zagon drży z boleści,
Najmniejsza grudka jęk wydaje
Na dzień bez chwały, dzień bez cześci;
Kiedy pług obcy ziemię kraje,
To jęk aż na ostatnie płynie gdzieś rozstaje.

O serce! Niczem półmrok kaźni,
Niczem twych żywych pragnień kaci —
To los, co mieczem tylko drażni —
Wobec tych bruzd na twarzach braci,
Wobec zgarbionych tych postaci,
Którzy, na cierpień patrząc łoża
Onej więdnącej, świętej Maci,
Gdy gardła dławią im obroże,
Zaledwie dyszą: »Boże! święty, mocny Boże!...«

Jednak do góry! skroń do góry!
Niech się o troski nikt nie pyta,
Na skrzydłach wznosić się nad chmury,
Gdzie złotem blasków słońce wita!
Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Niby w popiele skra ukryta:
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchałmy w tę skrę bożą, aż łun spłonie wstęgą!

Witajże, siło! Ucieleśnij
Corychlej w kształty się prześwieże
Na ryk cierpienia, na grom pieśni!...
Oto już, patrzcie! ciało bierze,
Sięga po puklerz, jak rycerze,
Co snuli niegdyś chwały przędzę;
Swych archanielskich skrzydeł pierze
W wielkiej rozwija już potędze —
Więc w górę! więc excelsior: ponad łzy i nędzę!...



VII.

TRZEBA NAM WIARY.

Trzeba nam wiary — nie tej, co nęci
Tęczowej złudy obliczem;
Nie tej, co woła: O wniebowzięci
Słudzy Jehowy!
Trzeba nam wiary — nie tej, co, w nocy
Przed słońca kryje się zniczem
I drży, gdy świtu wielcy prorocy
Podniosą głowy.

Trzeba nam wiary — nie tej, co w duszy
Krzykiem: »tyś prochem jest, człeczcie!
Zabija wolę i tętno głuszy,
To tętno czynu.
Ani też wiary — tej, która każe
Odśłaniać piersi na miecze,
By znów przystroić pychy ołtarze
Liściem wawrzynu.

Trzeba nam wiary — nie tej, co wróży
Duchom, złamanym cierpieniem,
W zamian za kolce ziemskiej podróży
Raj w sferach mitu;
Trzeba nam wiary — nie tej, co zmysły

Piekielnem straszy widzeniem:
»Oto na wieki wam się rozprysły
Tafle błękitu!«

Trzeba nam wiary — tej wszechpotężnej,
Że, wobec głodu i męki
Złączonym w światła hufiec orężny,
Pójdziemy w boje.
Trzeba nam wiary, że my zawiśli
Od własnej woli i ręki,
Że przekształcimy w brzozy swe myśli
I w laurów zwoje!

Trzeba nam wiary, że, na rozsądku
I na miłości oparty,
Śród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie;
Trzeba nam wiary, że ten gmach słońca
I chleba wszystkim otwarty,
Że każdy walczyć winien do końca,
Aż go posiedzie.

Trzeba nam wiary — wierźmy, rówieśni!
O wierźmy, zwycięstw już blizcy!
I bądźmy zawsze jako ci w pieśni
Mężę ze stali:
Bo oto idzie czas zmartwychwstania,
A zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali!



VIII.

ONI I MY.

I.

»Za wiele żółci macie, a za mało
Serdecznych uczuć kryształowej rosy!
Przed nami duszę zamykacie całą,
A gorzką skargę rzucacie w niebiosy
I, przepełnieni swem własnem cierpieniem,
Schylacie głowy, jak czerwcowe kłosy,
Które grad pobił lodowym kamieniem,
I nie wierzycie w ciepłą dłoń anioła,
Mogącą blade orzeźwić wam czoła.

II.

W łachman się chłopski okrywacie z dumą,
Od naszych stołów uchodząc zdaleka.
O, i krzyczycie niedojrzałym tłumom:
»Niemasz tam, niema szlachetnego człeka!
Oni wam kwilą na miłosną nutę,
A dłoń się waszych uścisków wyrzeka
I piersi w pancerz żelazny zakute,
A gdy się który do braterstwa przyzna
I ust wam poda: strońcie, tam trucizna!«

III.

Wszystko, co piękne, wszystko, co szlachetne,
We waszych oczach marą lub głupotą;

Rycerskie hasła i zwycięstwa świetne
I skroń, koroną przystrojona złotą
W urągowsku u was i pogardzie.
Niwelacyjną zajęty robotą,
Wielkie tryumfy widzącym w petardzie,
Ze spiekłej wargi wieczne krzyki płyną:
Hej, chodź, Spartaku! hej, chodź, Katylinu!

IV.

Zbrojni w nożyce fałszywej nauki,
Ufni skalanych zwolenników mnóstwem,
Pragniecie pociąć w najdrobniejsze sztuki
Węzeł, człowieka kojarzący z bóstwem.
Święte małżeństwo religii z rozumem
Wy karygodnem zowią cudzołóstwem,
Gasicie słońce zachwyty przed tłumem,
Kaząc natomiast w bezwstydnym nagości
Szukać rozkoszy, siły i mądrości.

V.

Rwiecie nas naprzód, ale wasza droga
Rani nam stopy jadowitem zieleń;
Wznosicie kościół, lecz kościół bez Boga,
A w nim z was każdy kapłanem mścicielem.
Odwieczne prawdy bezrozumną mrzonką
I Chrystus dla was płonny marzycielem.
Pod apostołstwa niewinną osłonką,
Lud odrywacie od jasnego nieba,
Krzycząc z nim razem: chleba! chleba! chleba!

VI.

O nie tak! nie tak! niecni matkobójce!
Macieź podkładać pod upadłe chaty
Świeże wciąż iskry i męczeństw ogrójce
Nowymi ciągle powiększać rozbraty?!
Uchwycicie wiary pochodnie w swe ręce,
Ducha w pokory przyobleczcie szaty,

Wtórujcie ładu i zgody piosence
I bądźcie więcej wylani i szczerzi,
A my do swojej przytulim was piersi.

VII.

Zadowoleni bądźcie raz z tej strawy,
Którą wam wieki zgotowały dawne:
W kradzieży smutnej nie szukając sławy,
Rzućcie roszczenia śmieszne i zabawne;
Lud nasz do ofiar wiedźcie i poświęceń,
Ucząc, że stany święte są i prawne,
Że ziemska rozkosz znakiem zezwierzęceń,
I w tej szlachetnej nie ustając pracy,
Przestańcie pytać: Henryk czy Pankracy?...«

VIII.

Tak mówią oni... i z swych posterunków,
Na swe gasnące już patrząc ogniska,
Albo się ku nam do bratnich całunków
Poniżyć raczą, widząc, że śmierć bliska,
Lub, dawnych zwycięstw upojeni wonią,
Nie wierząc w przyszłość krwawego igrzyska,
Walczą bezpłodnie śmiechem i ironią,
Lub też, przejęci »oburzeniem świętem«,
Od nas swe oczy odwracają z wstrętem.

IX.

A my? czyż mamy czekać ze spokojem,
Aż się rozegra ten dramat dziejowy,
Którego pierwsze akty łąą i znojem,
Brakiem miłości, światła, karmi zdrowej;
A bohaterem, co swą pierś wypręży,
By zerwać pęta, ten olbrzym ludowy,
A katastrofą — szczęk krwawych oręży,
A epilogiem — równość i swoboda,
Chleb i królestwo miłości i zgoda?...

X.

My idziem naprzód, pragnąc waszej ręki,
Jeśli nam szczerze przynosi sojusze;
Jesteśmy zawsze skłonni do podzięki,
Jeśli swą duszą grzejecie nam duszę.
Umiemy uczcić te męża ze stali,
Eleazary i Makkabeusze,
Co swoje życie dla idei dali —
Umiemy uczcić, choćby ich męczeństwo
Dla dzieci nowe przyniosło przekleństwo.

XI.

Lecz się nie damy ukołysać pieśnią
Owej przeszłości, co dzisiaj ruiną;
Dla nas z grobowca, pokrytego pleśnią,
Uzdrawiające kaskady nie płyną!
Ojce w zwycięstwach nie szukali chluby,
Aby zgotować gnuśny spokój synom:
Oni pragnęli, byśmy, jak cheruby,
U dziejowego postawieni tronu,
Błyskali mieczem przebojów do zgonu.

XII.

Lecz się nie damy uwieść ani zgłupić
Owym szalbierzom społecznej mennicy,
Co fałszywemi grzywny chcą okupić
Krew z naszej piersi, łzę z naszej żrenicy,
My się nie damy zgnieść kamiennym murem,
By tylko błyszczeć na dziejów stronnicy,
Pisanej waszych najemników piórem,
I nie odbierzem swoim dzieciom strawy,
By wasze dzieci miały chleb łaskawy.

XIII.

Wam, przyodzianym w samowładztwa delie,
Trudno się wyrzec złocistej poduszki,
Trudno ubóstwa przyjąć ewangelię:

Milej kornymi otoczyć się służki,
Milej się zakuć w zbroicę dogmatu,
Ludzkie rozумы zmienić na podnóżki
I tak panować zgłupiałemu światu
I, z rafineryą, w szaleństwie zaciekle,
Wyroki swoje pieczętować piekłem.

XIV.

O stójcie! stójcie! Ascetycznych sukien
Kraj się w tym wielkim zapędzie odwiewa,
A z pod tych grubych, z pod włosiennych włókien,
Którymi każdy z was się przyodziewa,
Wygląda nagość bezwstydną niecnoty!
O stójcie! stójcie! Krzyżowego drzewa,
Uświęconego męczeństwem Heloty,
Co świat chciał zbawić szlachetnem marzeniem,
Nie znieważajcie tem brudnem ramieniem!

XV.

Głosim swobodę myśli, wolność ducha,
Wierząc w rozsądek i szlachetność ludzi,
Nie w katowskiego potęgę obucha.
A kiedy dzisiaj już nas nikt nie złudzi
Zaobłocznego wesela fantomem,
Nie będziem czekać, aż nam łan rozgrudzi
Zews lub Jehowa swoim ostrym gromem,
Lecz sami schwycim pługi w rękę czarną
I tu będziemy siali szczęścia ziarno.

XVI.

Na gruncie, dłonią uprawionym własną,
Wznosim świątnicę nowym ideałom,
Nie na wzór waszych kamienną i ciasną,
Ale sterczącą ponad ziemią całą;
Jej Przenajświętszem: to człowieka serce,
A w niem Bóg-Miłość, otoczony chwałą,
Płonie, jak promień w porannej iskierce,

A kolumnami, na których się wspiera:
Rozsądek, piękno, cnota, prawda szczera.

XVII.

Idziemy naprzód! dalej! dalej z nami!
Lepiej wziąć topór, niż paść pod toporem!
Idziemy naprzód, lecz nie ze stryczkami.
Nie ze sztyletem, skrytobójców wzorem!
Idziemy naprzód na otwarte pole,
Idziemy jawnym i ubitym torem —
Idziemy walczyć za ludzkości bole!
Śmierć albo życie! jedna ostateczność:
Dalej! Dziejowa zmusza nas konieczność!...



IX.

WIĘC CÓŻ?

Więc cóż?... więc wam się zdaje, że w tym świecie
Przyszłego jutra wisi mgła zgnilizny,
Która zadusi szlachetniejsze życie
I naszą łódkę stawia wśród mielizny
Hen! od słonecznych daleko przebłysków?
Więc wam się zdaje, że ciężkie spowiecie
Z owocu naszych serdecznych uścisków
Da paryasów, żadnych krwi i zysków?...

Może myślicie, że w wielkim »obłędzie«,
Jaki zawładnął, podług was, sercami,
Na gruzach znowu wasz liktor zasiędzie
I zwyciężonym pogrozi różgami!
Że wy, odziani w bramowane togi,
Cisnąć przez tłum się w gorączkowym pędzie,
Tak go wśród swojej nadeptacie drogi,
Aż nie zawoła: bogi idą! bogi!...

Może myślicie, że ziarno pszeniczne
Znów wyłuskniecie dla własnego stołu,
By nas za trudy darzyć tytaniczne
Garścią plew lichych i garścią popiołu?
Że świat zmienicie na swoje zwierzyńce,

A on wam słupy stawii niebotyczne
Tam, gdzie się ludne krzyżują gościńce,
I będzie krzyczał: »moi dobroczyńce!?!...«

Może myślicie, że u bram świątnicy
Waszej Astarty będą w znak się kładły
Chóry sióstr naszych i waszej żrenicy
Odsłonią łona, drząc, jak kłos pobladły,
A wy, pożądań obryzgawszy pianą
Nagą ich czystość, pobożni cynicy,
Rzucicie drachmę, łzą nieszczęsnych zlaną,
W cześć swemu bóstwu i swoim kapłanom?!

Więc cóż?... milczycie?... znam wasze milczenie!
Potajemnymi nas szepty przeklniecie:
Dziś zachodzące waszych słońc promienie,
Co niegdyś krwawo błyskały po świecie,
Rozgłośniej pieśni ze statuy Memnona
Już nie wywabią. Zamarło wam tchnienie,
Zamarło życie wśród zwiędłego łona
I wasza lutnia kona... kona... kona...

Dawniej, tak! dawniej, ten wasz wieszcz zboleły,
Owiany czasów minionych pomrokiem,
Patrząc, jak łamią waszych gór się skały
Od błyskawicznych piorunów, potokiem
Łez z swego serca zalewał pożary —
I płakał — płakał — tonał we łzach cały
Nad grobowiskiem tej sławy prastarej,
Która dziś poszła między sny i mary...

I była pieśń ta szelestem wędnących
Ziół na ściernisku spalonym; jesiennym
Jękiem tych wiatrów północnych, bijących
O szyby pustych kościołów; brzemienным
Trzaskiem ołtarzy — bez ofiar i cześci;
Odbiciem zorzy wieczornej, gasnących

Gwiazd, meteorów, co, ginąc bez wieści,
Pozostawiają tylko noc boleści.

I można było wówczas schylić czoła
Przed tych serdecznych cierpień majestatem;
Przed tą postacią chorego anioła,
Który, nie w świecie żyjąc, lecz za światem,
Chciał Chrystusowym do przeszłości krzyża
Przykuć go gwoździem, z wiarą apostoła
Lub mistycznego krzyżowca-rycyrza
Czekając cudu, czy się cud nie zbliża.

Lecz z ołowianych chmur waszego nieba
Złociste dotąd nie spłynęły smugi,
Aby z grobowisk, gdy wam życia trzeba,
Wskrzesić stalowych mężów szereg długi —
Abyście, młodzi na własnych mogiłach,
Z tymi, co światła chcą i pragną chleba,
Mogli iść w boje z świeżą krwią w swych żyłach,
O własnej broni i o własnych siłach...



X.

Z WIĘZIENIA.

I.

Stóp kilkanaście wzdłuż i wszerek stóp kilka,
Niewielki przestwór, a jednak tak wielki,
Że tutaj życia niknące kropelki
Zdają się morzem, wiekiem jedna chwilka.

Mówią, że dusza ma skrzydła motylka:
O, tam nad kwiatek umie wzlecieć wszelki,
Lecz tu żelazne, widać, dźwiga belki,
Chociaż ten ciężar byłby tam, jak szpilka.

Tak! tu zachodzą dziwne pojęć zmiany:
Bez końca tutaj, co tam krótkiem głoszą;
Tutaj bolesnem, co tam włoż na rany.

Wszak tutaj nawet słoneczne promienie,
Co tam radują i co tam podnoszą,
Smucą i gnębią, bo tutaj — więzienie.

II.

Daremnie szukam chwili wypoczynku,
Choć mi go daje nieproszona warta:
Jakowaś furja miota mną zażarta,
Że cały ginę w strasznym pojedynku.

Daremnie wołam: »Przestań ty, co rynku
Język zjadliwy i co gon masz charta!«
Oto pierś moja na dwoje rozdarta,
Duch do zwykłego nie wraca ordynku.

Natomiast rwie się, cały wsłuchan w głosy,
Co stamtąd płyną, przeszywając mury:
»Oto jest miejsce, co w zbrodniarzy płodne!«

I ty zbrodniarzem, choć każesz do góry
Powżej zbrodni wzlatywać w niebiosy?
Jedno i drugie w świecie karygodne.

III.

Niedawnom przeszedł te więzienne progi,
A już i serce jest jakby więzieniem!
Niedawno celi męczę się półcieniem,
A już i duch mój jest jak pomrok srogi.

Stąpam po wosku, a myślę, że drogi
Jakieś skaliste ranią mnie krzemieniem;
Siadam, niezwykle połaman zmęczeniem:
Otom wypoczął i — chwieję się nogi.

Słaby, kto w wytrwać blask i moc nie wierzy!
A ci boleści wielcy bohaterzy,
Co całe życie, bez plam i bez winy,

Zakuli w więzy żelaznych pancerzy?
Wy macie słusność i — wielbię ich czyny,
Lecz ci — ze stali, a jam tylko z gliny.

IV.

Nieraz z zadumy budzi mnie śmiech pusty,
Co źródło znalazł w mojej własnej duszy;
Snać zapomniała łoża swych katuszy,
W które ją losów wcisnęli Prokrusty.

Śmieję się sercem i całemi usty,
Śmieję się okiem, że za mną w tej głuszy —
Tak mi się zdaje — każdy przedmiot ruszy,
Choć martwy, śmiechu niezwykle upusty...

Myślę, że, wielki, z obłudnych praw świata
I z tych się śmieję, co na jego roli
Znoszą ich jarzmo, robocze bydlęta,

Że dziś tem głośnie szyderstwo pomiata,
Co wczoraj wzgardy kryła cisza święta,
A ja się śmieję tylko — z swej niedoli...

v.

O złote blaski! o blaski słoneczne!
Co jako miecze, lecz bez krwawej zmazy,
Ludzkiemu sercu zadajecie razy,
I do mnie dzisiaj schodzicie, odwieczne.

Jesteście wolne! jesteście bezpieczne:
Nie powstrzymają was żadne rozkazy,
Ni pręt żelazny, ani ludzie płazy;
Lecz dla mnie miecze wasze obosieczne.

Ich ostrze, czuję, przecina opoki,
Pod które serca skryły się źródlika:
Na chwilę biją z nich rozkoszy rzeki.

Ale w ślad za nią czarnymi potoki
Boleść-tęsknota z wspólnych krynic tryska,
I zdaje mi się, że tak tryska — wieki...

vi.

Nim słońce wzejdzie, nim się dzień rozpali,
Budzę się ze snu i pytam: »Gdzie jestem?«
A oto słoma mówi swym szelestem,
Chrzęszcząc podemną: »Tak! od słońca w dali!«

Spojrzę ku kracie, a na świtów fali
Zdaje się ziemię krwawym zlewać chrzestem
Dzień powstający i ręki swej gestem
Sięga mi w duszę, co na zmrok się żali.

Co? więc to przebłysk nadziei? zaiste!
Zmrok nie jest wieczny, a jasność swobody
Większa, gdyś przeszedł głębie zmroków mgliste.

Lecz czyż koniecznie przez boleści miecze
I kaźń przechodzić na weselne gody?...
O smutne losy! — o losy człowiecze!...

VII.

Mówili ludzie: »Słuchaj! bądź rozumny;
My przyjaciele, dobra nasza rada;
Przeciwko prądom płynąć nie wypada,
Chybaś zbyt głupi, albo nazbyt dumny.

Nie szukaj szczęścia tam, gdzie motłoch tłumny
Odsłania piersi i o sercu gada;
Głowa niech liczy, a ręka niech składa —
Pełne kieszenie to szczęścia kolumny«.

Byłem posłuszny, ale dwie potęgi
Władną nad nami: pełen dobrych chęci,
Ledwie pochwyćę szorstką dłoń Rozumu,

Zbliży się strojne łagodnemi wstęgi
Dziewczę, Uczucie, i głosem, do szumu
Liści podobnym, aż tu mnie przynęci.

VIII.

Cyt... ta melodya!... tak, to pieśń żałoby:
Widać, za miasto wiozą nieboszczyka...
Człowiek do takich pochodów przywyka,
Tu jednak dziwne rodzą dreszcze groby.

Rzecz niepojęta, pewnie znak choroby:
Dźwięk, jak ów promień, i do celi wnika,
Lecz chociaż uszy ma ręka zamyka,
By zamknąć serce, gdzież znajdę sposoby?

Przebrzmiał dla ucha, rośnie w serca głębi,
A nawet kształty przybiera pochwytne:
Rozparł się w wnętrzu, lecz ciałem, co ziębi.

A teraz dzieło straszne podejmuje,
Całe me wnętrze, dotąd życiem szczytne,
Zmienia w mogiłę, co — myśli i czuje.

IX.

Codziennie słyszę, rano i wieczorem,
W modlitwie wspólnej łączą się więźniowie:
Naprzód ksiądz roni słowo im po słowie,
Ale ich serca czyż stoją otworem?

A potem głosów ćwiczonych doborem —
I tej nauki są tutaj maestrowie —
Podnoszą śpiewy... Ale któż mi powie,
Że i ich dusze płyną pieśni wzorem?

Nieraz do szpary gdy nadstawiam ucha,
Mniemam, że płazem wiję im się z wnętrza
Pieśń, zamiast wzlatać na promieniach ducha —

Że słyszę szepty: »A gdzież ty, o Boże?!...«
Może ich dusza nad serce me świętsza,
Może to syk jest mój własny... A! może!...

X.

Religia łączy, bo stąd jej nazwisko;
Więc, gdy się porwie rzeczy ludzkich przędza,
Trzeba naprawić i — wołają księdza,
Niechaj połata stargane siecisko.

I ksiądz z kropidłem w pogotowiu blisko;
Wodą święconą złe duchy wypędza,
I gdzie golizną świeci ludzka nędzą,
By się zakryła, śmiga słów biczysko.

Tak od początku trwa ta procedura,
Tylko się komża i kropidło zmienia,
A w ludzkiej siatce zawsze jeszcze dziura;

Tak od początku kwitną egzorcyzmy,
A świat podobien zawsze do więzienia,
Mimo słów gromkich, mimo świętej chrzyszmy.

XI.

Nim Jahwe zasiadł na tronie płomiennym
I nim przeraził biedną ziemię gromem,
Świat bóstw tysiące mieniły swym domem,
Groząc obłokiem w pioruny brzemienym.

Tyfon i Szywen uczynili lennym
Ducha ludzkiego, że zbryzgan krwi sromem;
Melkart, Astarte, Aryman, co, złomem
Światła przerażon, w mroku legł bezdennym.

I człek, gdy klękał ze czcią, czy ze strachem,
W domu, na wzgórzu, czy pod świątyn dachem,
Zwał to religią i treści nie badał;

I zwał religią, gdy, gasząc rumieńce
Wstydu i grozy, na ołtarzu składał
Ciało swych córek, swą nędzę, swe jeńce...

XII.

Więc gwałt i bezwstyd nigdy nie oniemia?
A więc wiecznymi są tej ludzkiej chłosty
Krwawe żywioły, co wznoszą, jak osty,
Siekące głowy, choć zda się, że drzemią?

Więc niema kwasu, co się piekiel chemią
Sprawiwszy, zrodzi zdrowych sił przyrosty?
I gdzież ta spójnia i gdzież są pomosty
Pomiędzy niebem a pomiędzy ziemią?

Nie wiem... Lecz jedno w serca mego głębi
Leży spokojnie, jak perła ukryta,
Choć dmie wichura, choć się morze kłębi:

Że nigdy świętą nie złączy przyjaźnią
Nieba i ziemi spójnia z prządek zwita,
Które są wojną, polityką i kaźnią.

XIII.

W celi już ciemno... Zmrok za zmrokiem goni
I w kształt czarnego zlewa się obrazu;
Nie zapalono mi dotychczas gazu,
Bo dzień za murem jeszcze światło roni.

Listopadowy deszcz w okienko dzwoni,
Krople po szybie pełzną nakształt płazu
Aż w moją duszę, która snąć jest z głazu,
Ale daremnie wyżłobień im broni.

Kropla za kroplą w jej martwość się wjada
Ach! i ożywia znowu byt jej wszystki,
Ale ożywia życiem listopada:

Cała zajęta, by kwiecie i listki
Pozrywać z siebie, być, jak miesiąc, blada,
Co smutku liście na mogiłach składa.

XIV.

Nim tutaj wszedłem, świat ten był ogrodem
I na swych drzewach pełne miał owoce
I szeptał do mnie: »Patrzaj! jak się złocę
W blaskach jesieni, zbogacon jej płodem.«

A teraz, bijąc przejmującym chłodem,
Z jego strzępami wicher się szamoce
I już nie mają sił słoneczne proce,
By zabić wroga jego własnym lodem.

Lecz cóż mi wicher, świat i słabość słońca?
Cóż mi tych wszystkich przemian nagłe spadki,
Gdy sam już sobą nie jestem wśród klatki?

Tak mnie zmieniły te pręty i mury
I oczekiwań siła tych bez końca,
Że snąć nie czuję już nawet — Natury.

XV.

I po co tęsknić?... Aby ponieść kroki
Między najmitów, tak godnych pogardy,
Co swych języków zatopią oskardy
W serce, że złamią się jego opoki?

Tłum nie oczyszcza, jak górskie potoki,
Które grunt mają przeczysty i twardy.
Bagno!... Im dalej idziesz w środek, hardy,
Tem bardziej grzęzniesz, zbryzgan, w muł głęboki.

Tak!... Lecz i w mule rosną kwiaty — czary,
Że się twa postać rada po nie zgina,
Choć grzęznąć trzeba — rosną nenufary.

I między ludzi dusza sobie ściele
Drogę tęsknoty, tam, gdzie przyjaciele,
Tam, gdzie cię czeka bratnich serc rodzina.

XVI.

O matko moja! o najdroższa w świecie!
Jakżem ja tobie wyschłe raz ostatni
Całował ręce, zanim do tej matni
Niedobrowolnej miałem pójść, twe dziecię.

Miałaś łzy w oku — czułem, że cię gniecie
Troska o byt mój: jak się uwydatni
Ta przyszłość moja, którą losów szatni
W coraz to głębsze tulą mgieł zamiecie.

O matko moja: wierz mi! niech w przezroczu
Twej chłopskiej duszy — szczerą jest i jasną —
Kłamstw swych nie zechcą odbijać oszczerce.

Nic nie uczynię, abym nie śmiał oczu
Podnieść ku twoim oczom z piersią ciasną —
Ale wiem o tem, ty znasz moje serce!...

XVII.

Zwiastując nagle groźnej zimy przyjście,
Oto dziś, widzę, pierwsze szrony padły,
Drzewa w podwórzu więziennym pobladły,
A jeszcze wczoraj miały świeże liście.

Ramiona słońca, choć błyszczą ognisćcie,
Wczesnym się chłodem na trawnik pokładły,
Co, jak przed śmierci smutnemi widziadły,
Odwraca od nich swoje skronie-kiście.

I ja po krótkiej przechadzce do celi
Wracam samotnej, ze smutkiem w mem łonie:
Jak na ojczystym wygląda zagonie?

Czy szron przedwczesny nie powarzył ziarna,
Które rzucili pod ziemię, weseli,
I czy stąd dola nie czeka ich czarna!?

XVIII.

O jakbym gragnał mieć w tej chwili skrzydła
I pierś olbrzyma i olbrzyma ramię,
Co kruszy więzy i co mury łamie
I rwie praw ludzkich żelazne wędzidła.

O jakbym pragnął pozrywać te sidła
I tak ulecieć ku ojczystej bramie
Świątych przybytków, co szczęścia nie kłamię,
Gdy »Tu jest szczęście« głoszą jej prawidła.

Wszedłbym do środka, wyciągnąłbym ręce
I rzekłbym swoim: »Otom wasz na zawsze,
Choć ziarno rzadsze i choć łyzy wciąż krwawsze!

I mękę moją widzę w waszej męce,
W waszej nadziei me losy łaskawsze,
I mego ducha waszym duchem święcę...«

XIX.

Kto nie ukochał swojej własnej ziemi,
Kto na jej ustach sercem nie zawisnął,
O, temu ogień miłości nie błysnął,
Ten i świat dłońmi obejmie zimnemi.

I zawsze dla mnie słowa kłamliwemi,
Z których uczucia potok nie wytrysnął,
Gdy ktoś mi rzecze: »Otom ja przycisnął
Do piersi ludzkość ramiony pełnemi«.

Czyż, aby słodkiej użyzyć tym cieni,
Których znużyła droga uciążliwa,
Pnia nie objęły miłośnie konary?

By się zlać w morze w braterstwie strumieni,
Nie potrzebuje-ż źródła potok jary,
Z którego falą najczystsza wypływa?...

XX.

Na targowisku, gdzie w szyderczej pysze
Schodzą się zewsząd mędrcomie-kramarze,
Aby nicować towar po towarze,
Rzekł raz z nich jeden: »Uszanujcie ciszę!

Jesteście trutnie! błazny i hołysze!
Niczem wasz towar; ja wam inny wskażę,
Co problematu ma wagę, że w żarze
Za łeb się porwą filozofy, słyszę«.

I rzuci w tłumy, pełne zadziwienia:
»Co jest ojczyzna?...« Powstał rejwach srogi,
A potem z śmiechem krzykną: »My nie wiemy!«

Jam nie filozof... Lecz, by serca brogi
I mózg towary wypchali lepszymi,
Rzekłbym tym mędrcom: »Idźcie do więzienia«.

XXI.

Rzekł mi z tych jeden, co pełni ochoty
Trud na swe barki biorą tytaniczny:
»Więszym mi wrogiem jest komin fabryczny,
Niżli dziejowych gwałtów setne młoty.

I bardziej maszyn rażą mnie łaskoty
I dźwięk, co płynie z kotłów, metaliczny,
Niśli narodu jęk tysiączęzyczny,
Gdy na dziejową idzie śmierć heloty«.

Jakież tu pojęć zmieszanie, wy nieba!
I jakie sprzeczne tu uczuć spowicia:
Tam jeszcze życie, chociaż mało chleba,

A tu się w plemię wpijają katusze,
Ażeby, z ciała wyssawszy mu duszę,
Nie pozostawić ni chleba, ni — życia!...

XXII.

Słyszałem dzisiaj gwar i szcęk oręży —
Dziwny mnie poniósł sen na pole bitwy —
I dwa szeregi wśród wrogiej gonitwy,
Krzyczące głucho: »A kto z nas zwycięży?«

I była »Ludzkość« hasłem jednych męży;
Drugim: »Ojczyzna! jej nasze modlitwy
I nasze miecze! jej na ostrzu brzytwy
Życie, gdy trzeba!« z krwawej piersi rżęży.

Tak pierś z gorączką wieku, co porywa
Wszystkich szlachetnych pod koła miażdżące,
Bracia na bratnie odślaniają blizny.

Próżno do ciszy zgoda prądów wzywa:
»W imię Ludzkości do dobra Ojczyzny,
W imię Ojczyzny, gdzie Ludzkości słońce!«

XXIII.

A któż mi powie, że ta krew daremną,
Którą wylano u ojczystych szajców?
I któż mi powie, że światło kagańców
Próżno zapalać w noc ludzkości ciemną?

A któż mi weźmie wiarę, co nademną,
Więziem, lśni boskich promieni wysłańców,
Że tych pozornie przeciwległych krańców
Środki potęgą złączone wzajemną?

Przez pomrok celi patrzę na cud cudów:
Świętej Postaci przywita mnie lice —
Pełne jej kształty o białej nagości...

»Słuchaj« — przemówi — »jestem Szczęście ludów,
A nie z niczegom, lecz moi rodzice
To krew Ojczyzny i światło Ludzkości!«

XXIV.

O samotności, jak sprzeczną twa władza!
Dłoń twa, gdy włożysz ją w wnętrze człowieka,
Albo mu serce namiętnie rozpieka,
Lub rozpalone rzeźwi i ochładza.

I raz mu ducha na szczyty wprowadza,
Które gwar ulic mgłami mu powleka,
To znów go strąca tam, gdzie życie ścieka
Szarymi męty, ach! i przesył spładza.

A jednak jesteś tylko lustra płytą,
W którym istota, dana ludzkim bytom,
Widzi się bardziej pełną i rozwitą —

Tylko pod skrzydeł twych cichemi pióry
Czujemy bardziej dwojakość Natury,
Co raz pcha na dół, a raz rwie do góry.

XXV.

Odpycham książki zaczerwione karty,
Choć towarzyszką była dotąd miłą
I, zdjęty znużeń jakąś rzadką siłą,
Padam w zadumę, o brzeg stołu wsparty.

A wtem się ku mnie przedrze, mimo warty,
Anioł czy Fryne i krew moim żyłom
Rozbudzi, szaleń żrenicą opiałą
Zawisłszy na mnie i łonem — Astarty.

Śmieje się w oczy, porywa za szyję,
Gorące wargi w usta moje wciska —
Pije... snąć życie wszystko mi wypije...

Lecz wtem złudzenie prysło, tak jak pryska
Promyk, gdy gaśnie w odbiciu dalekiem:
O samotności! jam był — tylko człkiem.

XXVI.

Czyliś ją kochał?... Zawile pytanie,
Na które jednak odpowiedź nie trudna,
Choć dusza jeszcze w gniew i wyrzut ludna,
Choć jeszcze ropa na niezaschłej ranie.

Jakież ja czułem nerwów rozegranie,
Jakby melodya rozgrała je cudna.
I cały byt mój, zdaje się, ta złudna
Ciągnąć muzyka nigdy nie przestanie.

Usta i oczy, ramiona i piersi
Stają się jednym czarownym hejnałem,
I my gorętsi wciąż i coraz szersi.

Lecz wśród tej pieśni, syconej zachwytem,
Jakieś akordy zadrzą naraz z zgrzytem —
To nasze duchy!... Jam ją kochał — ciałem.

XXVII.

Emancypacya!... O i ja się burzę —
Niesprawiedliwa i mnie rani modła,
Że świat, gdy czerpie rozkosz z swego źródła
Tym daje krople, tamtym pełne kruże.

I ja tej ciemnej falandze nie służę,
Która kobiecie smutne stawia godła:
»Niech pozostanie tam, gdzie ją przywiodła
Ręka przeznaczeń, leżących w Naturze«

Wierzę, iż łatwo dać jej pojęć zwrotem
Skalpel lekarza, prawodawstw orędzie
I tak ją podnieść na społeczne stolce.

Ale czyż równie łatwym trudem będzie
Podnieść i serce, obryzgane błotem,
W które je wieków przycisnęły kolce?...

XXVIII.

A te anioły, których wdzięk łagodny,
Jak niezmącone źródłiska oblicze,
Że w nich swych źrenic widzisz czyste znicze
I swojej duszy czar, z ich czarem zgodny?

Że w ich uścisku jesteś tak pogodny,
A tak głęboki, jak ich tajemnicze
Westchnień szelesty, co, ciszą zwodnicze,
Zdradzają ocean, w drogie perły płodny?

Tak!... I ocean, choć go ręka burzy
Do dna poruszy, w męty się nie zmieni:
Ale jak nikłą ilość oceanów?

A ileż ścieków, a ileż kałuży,
Które bryzgają, chociaż bez orkanów,
Za lada wiewem, i gdzie gad się pleni?...

XXIX.

Poza mą celą, wewnątrz kurytarza,
Słyszę co rano głośnie kajdan brzęki
I głuche kroki po pleciance miękkiej —
To na »powietrze« prowadzą zbrodniarza.

I tak mnie dziwnie ten moment przeraża,
Że mnie snąć palą jego sine męki,
Że czuję więzy wokół własnej ręki,
A to fantomy, które — litość stwarza.

Oto używa nad grobu otworem —
Zapadł już wyrok: gardłem winy płaci —
Powietrza jeszcze, eliksiru życia...

O! jakże straszni są ci ludzie-kaci!
Nim przetną życie swoich praw toporem,
Dają słodyczne jego do wypicia.

XXX.

Co dzień spotykam wśród zwykłej przechadzki,
Lub powracając w uścisk celi-jędzy,
Co ci swe wdzięki daje — bez pieniędzy,
Więźniów, czyszczących sprzęty lub posadzki.

I codzień szukam — człęk to wyrób tkacki —,
Ile w nich włókien, zwitych z serca nędzy,
A ile drogiej, jedwabnistej przędzy,
Lecz którą splamił ten świat świętokradzki.

I zbyt mi często mówią swemi oczyma,
W których drżą długie znużenia godziny —
Widać, ich dusze straszny ciężar tłoczy:

»Że się nam siły w tej matni tak prężą,
Nie w naszych sercach, lecz w tych szukaj winy,
Co kują prawa i co niemi więżą...«

XXXI.

Co to jest prawo?... Rzym, gdy cudze kłosa
W snop swego jarzma wiązał ręką krwawą,
Rzucał nad światem gardzielą chropawą
Krzyk: »U mnie prawo, a ma ostrze kosy!«

Arbuez, niecąc płomieniste stosy,
Szeptął pokornie: »Wierny-m Boga prawom!«
Fabrykant, brzuch swój karmiąc głodnych strawą,
Dyszy: »Mam prawo, dały mi je losy!«

Co to jest prawo? jakąż jego władza?
I jakież owoc jego plód wylęga? —
Nieraz wypełniam tem pytaniem celę...

To serc i duchów złączonych potęgą,
Która oświeca, żywi, wyswobadza,
Co rodzi ludziom i ludom wesele...

XXXII.

O ty wolności, której fale płyną
Z jednego źródła, ze serca człowieka,
I tak, jak w basen swój kaskada ścieka,
Znowu wracają, znów w tem sercu giną —

O ty wolności, co rozpraszasz siną
Ciemnoty chmurę, gdy nam świat powleka,
Której głód obcy, krwi nieznana rzeka, —
Tyś prawa-szczęścia matką i dzieciną...

Tak! emanacyi i absorbeyi w tobie
W prawdę się cudna hipoteza zmienia
I jasno płonie ponad ziemskim cieniem:

Rodzisz się w duszy, chodzącej żałobie;
Wracasz do duszy z potęgą promienia —
Tam jesteś żądzą, tu jesteś spełnieniem.

XXXIII.

A rewolucya?... Ten chrzcin obrzęd krwawy
Odradzającej się ludzkości?... Huki
Mu towarzyszą, gdy się łamią łuki,
Gdy jej kościoła trzęsą się podstawy.

Pochód, co, blaskiem pochodni jaskrawy,
Depce siew, pali, rwie karty nauki,
Myśl, uwięzioną w gładzie, rąbie w sztuki
I hańbą zwie, co było życiem sławy?

Wiem — i to smutkiem wypełnia mą duszę —,
Że trzeba nieraz przejść lekarstw katusze,
Wiem, że w chirurgji nieraz nóż potrzebny.

A jednak... jednak chciałbym, aby śpiewu
Miała potęgę, co rwie nas, podniebny,
Ta rewolucya, ta — bez krwi rozlewu...

XXXIV.

Zamiatam celę — zwykła to robota,
Zwykłe to więźnia każdego zajęcie,
Nim pierwszy załśni brzask na firmamencie,
Nim ponad ziemią wstanie zorza złota.

Pomywam statki, ostatni helota,
A dnia mnie takie nie gnębi poczęcie,
Tylko mną dziwne owłada zakłęcie:
Bolesna rozkosz, rozkoszna tęsknota.

I nieraz z ręki szczotka mi wypada,
Nieraz płat rzucam i cynowy dzbanek,
Oczy w zmrok wciskam, »co to?« wargą szepce.

A niby głosem tysiąca niebianek
Każda mi ściana, każdy kąt powiada:
»Poezya! anioł w pomroków kolebce...«

XXXV.

Gdzież się twa postać święta nie przeciska!
Raz, by zapalać uciechy rumieńce,
To znów, by składać na mogiłach wieńce,
Gdzie żal i smutek perłą rosy błyska.

Z twej czary złotej żar i chłód wytryska;
Orzeźwiasz starce, rozgrzewasz młodzieńce,
Całujesz usta łagodnemi jeńce:
Ty jesteś wszędzie, gdzie grób i kołyska.

Lecz ponad wszystkich szczęśliw i bogaty,
Bo w sobie chowa całe skarbów światy,
Kogo kapłanem czynisz swej świątyni;

Kto swą i innych boleść i podniecie
Przybiera w kształty, kogo twój, mistrzyni,
Gorący uścisk przemienił w poetę...

XXXVI.

Nieraz, gdy padam w objęcia zadumy,
Na czarodziejskiej, czuję, jestem łące
I olśniewają mnie tu barw tysiące
I wraz kołyszą przetysiączne szumy.

To znowu kształtów witają mnie tłumy,
Chwytam ich rysy, ich muskuły drżące;
To jakieś widzę źródliska, wabiące
Jasną swą głębią spragnione rozумы.

I tak mnie zjawisk tych przywabia morze,
Że cała dusza w tych nurtach skąpana,
A tak mi lubo, tak rzeźwo, gdy — tworzę...

Czuję: muzyka i pędzel malarza
Narzędziem piewcy i rylec rzeźbiarza,
Myśl filozofa i słowo kapłana.

XXXVII.

Sen dziś niezwykły miałem, sen głęboki:
Zdawało mi się, słuchajcie! że — słyszę —
Jakieś szelesty przerywają ciszę,
Jakieś przebłyski — widzę — tną pomroki.

I szum się wzmacza... Tak jęczą potoki,
Gdy je odedna burza rozkołysze;
Tak grzmia pioruny w niweczającej pysze,
Tak drżą, tak rwią się olbrzymy-opoki.

I ja drzę cały, a śnię... szarpią kleszcze,
Skrzące się ogniem gromu: ja śnię jeszcze...
Śnię i nie zbudzą mnie jęki złowieszcze.

I widzę cienie... opadną mnie dreszcze,
Ja śnię... snąć snem się tym strasliwym pieszczę,
Snąć sam z lubością jęczę, drzę, szeleszczę...

XXXVIII.

Śnię... I pełniejsze coraz snu kontury,
Co w słodkiej grozy zakuł mnie kajdany —
To gór kaukazkich tak się trzęsą ściany,
To Jowiszowych gromów odbłask bury.

To płód tytanów ognisto-ponury
Ku niebu rzuca krew stężoną z rany;
To okeanid żal i jęk rozlany
Przeszywa smutną melodią chmury.

Tak! ja go widzę: Rozkrzyżowan leży,
Skuty łańcuchem ze skalnymi złomy,
Żył krwią naszyły, a ta twarz jak blada!

Patrzajcie! Oto, boleścią ruchomy,
Pięść swą ściśniętą w stronę sępa mierzy,
Co mu wątrobę, rdzeń życia, wyjada...

XXXIX.

Śnię; a sen wzrasta, a z nim dusza rośnie,
W Prometejowe przelewa się głosy
I z nimi razem rwie na szmat niebiosy,
Podwala Zewsa tron i grzmi rozgłośnie:

»Ty, co na żar mój patrzałeś zazdrośnie,
Krwaweś siał ziarno i sam zbierzesz kłosy;
Mym i twym władcą są odwieczne losy:
Oto zwyciężam, a ty kończysz sprośnię!...«

A wtem się zbudzę... Snać bez życia treści,
Jak gdybym przeszedł tytana boleści,
Jakby zwycięstwo wzięło wszystkie siły.

O ty, co cierpisz! co w krwawej żałobie
Walcząc, ludzkości, wyprężasz swe żyły,
Ja, cały w tobie, śniłem tak o tobie!...



XI.

ŚWIATŁA I CHLEBA.

»Igrzysk i chleba...« Tak wołano
Onego czasu w starym Rzymie...
I tłum cezara sławił imię
I w proch ugiął swe kolano,
Gdy cesarz poznał, że mu trzeba
Igrzysk i chleba.

Dziś lat minęły dwa tysiące
Otworem stoi dawna rana,
Lecz w haśle tłumu zaszła zmiana —
Jako te morskie fale wrzące,
Biją okrzyki: »Nam potrzeba
Światła i chleba!...«

I w tem dziś dalsza jest różnica,
Że tłum siejącą zmrok godziną
Nie ku Jowisza butnym synom,
Lecz ku swym równym podał lica:
»Spojrzyjcie, równi! mnie potrzeba
Światła i chleba!«

Tak! tak! my równi, choć do syta
Możemy chłonać piersią całą

Wiosennych blasków woń wspaniała,
Choć nas głodowy kurcz nie chwyta —
My równi tłumom, choć im trzeba
Światła i chleba...

Więc jeśli pragniem — nie, by sławił
Tłum nasze imię słowy czczemi,
Nie, by ugiął się ku ziemi,
Lecz, by się równy brat nie krwawił
Nędzą — poznajmy, że mu trzeba
Światła i chleba.



XII.

DROGI KRZYŻOWE.

Ongi, za dawnych, bardzo dawnych lat,
Gdy jeszcze Wiara przenikała świat,
Gdy duch, co dziwy niesłychane czyni,
Nie służył jeszcze w Molocha świątyni,
Zuchwałej pychy zaślepiony łup,
Szły dzieci Pański wyswobadzać Grób.

Gdy nad polami i nad smugą łąk
Piął się w tryumfie wielki słońca krąg,
Wpatrzzone w jasność, te małe dziecięta
Śpiewały chórem: »Zawitaj nam, święta
Jerozolimo! W twój daleki gród
Oby nas Anioł jak najprędzej wwiódł.

Gdzieś jest nie wiemy; lecz mówił nam Bóg,
Że trzeba przemódz tysiąc różnych dróg,
Że przebrnąć trzeba niedostępne lasy,
Zarośla bagien i gór ciemne pasy
I niezmierzone głębie rzek i mórz,
Śpiesząc w kierunku rodzących się zórz.

Tylu nas z rośnych nie powstało leż,
Tylu wir porwał, tylu zabrał zwierz,

Zdziesiątkowani jesteśmy w tej chwili,
A nikt nie zgadnie, ileśmy zrobili,
Gdy nas tak ściga dobra pani, Śmierć, —
Drogi połowę, albo tylko ćwierć?

Jedno wiadome, że musimy iść,
Czy kwiat zakwita, czy opada liść,
Czy ciepło spływa z lipcowej przezroczy,
Czy też zaspami śnieg się na nas toczy,
Czy mamy strawy w naszych sakwach dość,
Czy głód przychodzi, nieproszony gość.

Siostrzyczkom naszym puchnie biała twarz,
A one nuca: Ty, Boże, nas karz
Za przepełnioną czarę ludzkich zbrodni!
Ledwie się wloką braciszkuwie głodni,
A szepcą słodko: Świeży, rajski chleb
Z Jeruzalemskich otrzymamy nieb.

Iżby pokusom opędzić się złym,
Tłum nas, dzieciątek, wysłał gońce w Rzym;
Niech nam, rzekniemy, dłoń twa błogosławi,
Ty, Ojczy ojców! Pokorni i prawi,
Jedną żywimy niezmożoną chęć —
Zdobyć Chrystusa grób! Nasz zamiar święć.

Z siwego starca zwiędłych, smutnych warg
Popłynął potok nieukojnych skarg:
Cóż ja wam, dzieci moje, na to powiem?
Z wątłego ciała policzcie się zdrowiem,
A może nawet schwyci w potrzask swój
Serca i dusze niweczący znój.

Zasię purpurat, który przy nim stał,
Pełne są, mówi, starodawnych chwał
Te nasze księgi święte, przecież w żadnej
Niema, by dzieciak bojował bezradny,

To tylko można wyczytać z ich kart,
Że i młodzianków chytry kusi czart.

W tem wszystkim widzę heretycki błąd!
Chceszli udzielić niezachwiany rząd,
Cześć swej Stolicy zachować od sromu,
Każ im w pokorze powrócić do domu,
A nieposłusznych — sprawiedliwa rzecz —
Dyscyplinami rzemionami siecz.

To rzekł... A nam się zdaje, że jest Duch,
Który rozbija ludzkie groźby w puch,
A który Prawdą przejął nasze wnętrze,
Że mamy Dzieło spełnić przenajświętsze,
Dążyć przed siebie w tę wysnioną wyż,
W rękę trzymając z różg uwity krzyż.

I tak kroczymy, słabych dzieci tłum;
Gór nam nie straszny grzbiet, ni morza szum;
Nie wiemy dzisiaj, kogo z swych czeluści
Dzikiego zwierza pełny jar wypuści,
Lecz to wiadome, iż komuś z nas
Zabłyśnie jutro wschodniej zorzy czas.

I to wiadome, iż nie szczędzić stóp
Temu, kto Pański chce zdobywać grób,
I ścieżki swojej nie słać temu żalem,
Na kogo święte czeka Jeruzalem,
I że wbrew księgom Jego kłamnych sług
Do posłuszeństwa prawo ma li Bóg.

Siostrzyczkom naszym puchnie biała twarz,
A one nuca: Ty, Ojcie, nas karz
Za przepełnioną czarę ludzkich zbrodni!
Ledwie się wloką braciszkuwie głodni,
A szepcą słodko: Świeży, rajski chleb
Z Jeruzalemskich otrzymamy nieb!«

Tak to za dawnych, bardzo dawnych lat,
Gdy jeszcze Wiara przenikała świat,
Wybrańców bożych dążył hufiec młody
W te bohaterskie, męczeńskie zawody,
Ostępem szyderstw i krwawiących bied
Z oczami w górę wzniesionemi szedł.

A ktoby dzisiaj chciał powiedzieć wam,
Że w tym zachwycie był-li złudny kłam,
Że poryw Ducha wiedzie na bezdroże,
Że li Rozsądek prawdą zwać się może —
Ktoby z podstępnyim tak uśmiechem rzekł,
Ten-ci jest głupi i nikczemny człek.

Tchórz to i podlec, zapłacony zbir,
Wyznawca cnoty bękarciej, kto mir
Bożych orędzi, zlecających duszy
Bronić krwi swojej, fałszami naruszy,
Z zakonodawczych wysnutymi kart,
Które napisał Uwodziciel, czart.

Gdy mi te słowa cisną się do ust,
Niebo rozwarło swój orkanny spust;
Głęboki przestwór, od brzegu do brzegu,
Ślepa, bezgwiezdna, czarna noc zalega,
Od strony w mroku zatopionych Tatr,
Garściami deszczu wściekły sypie wiatr.

Zda mi się prawie, że cały ten dom
Wnet się rozpadnie na drzazgę i złom,
Że się na głowę moją dach powali,
Że groźne jęki, które słyszę z dali,
Jakichś upiorów przybierają kształt
I straszą chrzęstem swych całunnych fałd.

O burzo! burzo! ucisz-że swój głos!
Serce, pragnące dawno, by mu los

Zgotować raczył choć chwilę spokoju,
Znowu się szarpie wśród twego rozstroju!
Twych bezlitośnych knechtów widząc huf,
Swe śpiewne struny rwie na strzępy znów.

Wstaję i idę w oszalałą krucz,
Ni człek, którego pozbawiono ócz;
W tem rozkłębieniu dżdżów i mgieł ponurem
Ścieżyny szukam pielgrzymim kosturem,
Przedemną Rozpacz, wlokąc się, jak pies,
Raz po raz szczeknie: daleki nasz kres?!

Nie wiem i tego nikt nie powie nam...
Od najwcześniejszych dni do złotych bram,
Do jasnych tumów z swoją konchą spieszę,
A wciąż mi drogę zastępują rzesze
Równych mnie ślepców... Ominąćbym rad
Ten zarój płaczu, ten żebrzący świat!

Ale nie mogę... Potykam się wciąż;
Pocieszam siebie: Dąż-że naprzód, dąż!
Może w twe krwawopuste oczodoły
Wślizgnie się jeszcze jakiś blask wesoły,
Może gdzie znajdziesz wrzący życiem dach,
Nie samą tylko martwość i strach...

Macam po krajach grząskich, śliskich dróg;
Drętwieją ścięgnięta trzęsących się nóg,
Gdy mnie już do cna trudy te zwąłły,
O pień się oprę, by zaczerpnąć siły —
O lęku lęków! O ty drzenie drzeń! —:
O szubieniczny oparłem się pień...

Krew się strugami leje do mych stóp...
Ten mówi: Nie rób tego! Tamten: rób!
Ten błaga: Nie czas, bracie, rwać się z nożem!
A tamten woła: W Przeznaczeniu bożem

Jest napisano, że przyszłości wał
Ten tylko zdobył, kto krew drogą lał!

A wśród tych z łez i krwi zrodzonych mątw
Krzyki wzajemnych oskarżeń i klątw.
Oszaleć można z bólu! W tej rozterce
Niechby przestało bić już ludzkie serce,
Niechby się w wnętrzu spopielił i zmarł
Wybuchający ten miłości żar!

W rękę się łamie mój pielgrzymi kij —
Pochłoń mnie, nocy! Dmij, wichuro, dmij!
Wszystko mi jedno, czy stanę na straży
Tego, co życiem i śmiercią się waży,
Czy też w samotny, zachwaszczony dół
Złoży swe kości ten, co tylko — czuł...

Nie wiem, jak długo siedłem — cóż ja wiem?
I ty, co dobrem winem, czy też złem
Umęczonegoś napoił wędrowca,
Lub złą czy dobrą ścieżkę wśród manowca
Wskazałeś krokom jego, cóż ty wiesz,
Mój przyjacielu?... Kłamstwa się li strzeż!

Może li chwilkę siedłem, może rok,
Może lat tysiąc — nie wielki to skok
Dla dusz, co takie widziały męczarnie,
Że wieków przyszłych rozum nie ogarnie
Ohydnej prawdy: skazano na skon
Naród, bogaty w mąk ofiarnych plon...

Powoli wicher się uspokajał. Głęb
Niebios, wałących swój ciężar na zrąb,
Na zadyszanej ziemi mglisty kraniec,
Jęła powoli się przecierać; taniec
Potwornych chmur-olbrzymów pierzchnął w dal,
Nie pierzchnął tylko smutek, nie znikł żal.

Widzę, żem stanął śród Krzyżowych Dróg —
Znam-ci tę miedzę, znam ten pola smug;
Tu pod tą cichą, białą Bożamęką
Niegdyś chłopięcą zęgałem się ręką,
Tutaj na słońca wschodzącego cześć
Rozkosznie było hymn poranny wznieść.

Tu po raz pierwszy zapatrzony w łan,
Począłem wierzyć, że zbożom jest dan
Ten sam, co ludziom duch i że przed wieki
Wyłynął z Boga wraz z tą falą rzeki,
Że tylko człowiek, zbyt pewny swych praw,
Drzewo odgrodził od siebie i staw.

Tu — błogosławion niechaj będzie ten
Z gwiazd pałających wysnowany sen! —
Tum śnił, iż życia tworzy fundamenty
Li sprawiedliwość, że będzie przekłety
Dzień, w którym przemoc, siewca trwogi, zbój
I zły niszczyciel, topór schwyci swój.

Tu — szumi jeszcze tej topoli szczyt —
Marzyłem kiedyś, słaby ludzki byt,
Że gdzie zabrakło stalowych pawęży,
Mieczów i włóczni, tam Słowo zwycięży,
Że, śpiewnej ziemi nieodrodny syn,
Może w swej pieśni wielki zaklnę czyn.

A dzisiaj... Kto wy? i dokąd? i skąd?
Bose i nędznie ubrane, w ten mąt
Niepewnej chwili idziecie, w zawieję —:
Ledwie ucichła, znów się rozszaleje!
Patrzcie! Kroplami niewyschniętych ros
Ocieka jeszcze z tej burzy mój włos...

»My ze wsi twojej« — odpowie mi tłum
Dzieci, płynący, jak olchowy szum

W przestrzeń jesienną —; tamci z dalszej strony,
Ci od jeziora, gdzie są Dziwożony,
A tamci nawet aż od morskich wód,
Gdzie miał się zapaść kryształowy gród.

Żaden przed tuczą nie chwyta nas lęk,
Tylko łożyny krzak na deszczu zmiękł!
Cóż nam, młodziankom bożym, dziś się stanie?
Ty, któryś cierpiał rany, Chryste Panie,
Wiedź nas, gdyś kazał temi drogi iść,
Jak woda w rzece, jak ten z wierzby liść.

Wiemy, że wielki jest na świecie kłam
I że ze serca pragnie wydrzeć nam
Gorącą wiarę w święte Jeruzalem,
Gdzie trzy Marye niosły maści z żalem,
Iż nazbyt ciężki jest grobowy głąz,
Pod którym spoczął Ten, co zbawił nas.

A On zmartwychwstał... Chcieliśmy tę wieść
Tak, jak umiemy, po tych polach nieść,
Ale są ludzie bez Pańskiej bojaźni,
Którzy nas biją, zamykają w kaźni,
Którzy nie mogą doliczyć się różg,
By ku swej prawdzie nakłonić nasz mózg.

Juścić nie wiemy, jaka prawda jest
Tą albo inną; a przez krwawy chrzest
To najprawdziej stało się wiadome,
Iż niesytą na dusze oskomę
Mają szatani i że ten jest żyw,
Kto stłumił w sercu swem szatański wpływ.

I tak próbują nas kusić i tak;
Od tych udręczeń, od tych ciągłych plag
Siostrzyczkom naszym białe puchną twarze,
A braciszkuwie nasi tak w tej karze

Strasznej osłabli, że pośród tych dróg
Ledwie udźwigną ciężar wątych nóg.

Ale się wloką... Bo cóż czynić, cóż,
Kiedy nam w wnętrzu szepce Anioł-Stróż:
Poganin zajął dzisiaj Chrystusowy
Grób w Ziemi świętej; bądź każdy gotowy!
Skarb, który ojce wypuścili z rąk,
Wy macie odbić przez Ofiarę mąk.

I tak idziemy... Chcesz-li z nami? Chodź,
Biedny wędrowcze!... Ty zaś, tylekroć
Smagany Jezu, sprawiedliwy Panie,
Okaż nam wszystkim boskie zlitowanie,
Wpuść nas w swe niebo, w swój słoneczny Raj,
I katów naszych na swą Łaskę zdaj!«

O hańbo wieku, co przyszłości ład
Zalewasz morzem krwawem! Groźny sąd
Wyda na ciebie Duch, szerzący ogień
Sprawiedliwego wymiaru! On-ć pognie —
Z bólu ty wówczas, podeptana, warcz! —
Twój miecz bezprawia, twojej pychy tarcz!

A wy, dziecięta chłopskie! Ja, wasz brat
Pewnieć najbliższy, pragnę, aby ślad
Waszej Kalwaryi, twardy i daleki
Błogosławiony był po wszystkie wieki,
By na filarach waszych męstw i chłost
Oparł się zbawczy nad przepaścią most!

Ktoby zaś kiedy chciał powiedzieć wam,
Że w tej ofercie był-li złudny kłam,
Że poryw Ducha wiedzie na bezdroże,
Że li Rozsądek prawdą zwać się może —
Ktoby z podstępnyim tak uśmiechem rzekł,
Ten-ci jest głupi i nikczemny człek.

Tchórz to i podlec, zapłacony zbir,
Wyznawca cnoty bękarciej, kto mir
Bożych orędzi, zlecających duszy
Bronić krwi swojej, fałszami naruszy,
Z zakonodawczych wysnutymi kart,
Które napisał Uwodziciel, czart.



XIII.

OTO JUŻ IDZIE...

Oto już idzie, patrzcie, ostrą drogą,
Śród ciemnych chórów, wielki geniusz świtu,
Spizową depce po ciemnościach nogą,
A czołem sięga do niebios błękitu;
Żrenice topi w złotej słońca kuli,
A dłoń do piersi swej żelaznej tuli
I woła wrogom świetlanego bytu:
Darmo o pierś mą kruszycie orężę,
Jam nieśmiertelny i jutro zwyciężę!

Przed nim zastępy męczeńskich rycerzy,
Co w jego imię spokojni pomarli,
W zielonych wieńcach, w stalowej odzieży,
Jakiej spodleni nie udźwigną karli:
Dumni, że pili z prześladowań czary,
Mkną jak heroldzi tej potężnej wiary,
Której się w sercu nigdy nie zaparli,
A która dziś się prorocstwem odzywa
Wielkiego trudu i wielkiego żniwa.

Poszumem wiatrów, szelestem potoków,
Kiedy spadają z gór srebrzystą falą;
Blaskami słońca, skrzydłami obłoków,

Co się w niebieskich jeziorach kryształą,
Tchnieniem wiosennem, zimową szarugą,
Wstęgą błyskawic płomieniącą, długą,
Grzmotem piorunów, co przybytki wałą,
Wciska się pieśń ich w dusz najskrytsze cienie,
Jak świt wspaniała, wielka jak stworzenie.

O płyńcie pieśni! duch, co was przenika,
Bielszy od łona niewinnej dziewczycy;
Bez bluszczowego liścia, bez rzemyka,
Którym bezczeszczą kształty rzemieślnicy,
Schyla się nagi nad ludzi obliczem
I zachwyconych pięknem tajemniczem
Złączywszy z sobą ogniwem tęsknicy,
Niewysłowionych melodyj szelestem
Szepce i szepce: »Patrzcie! taki jestem!«

O płyńcie, pieśni! płyńcie! Wszak narodzin
Nowego jutra wyście zwiastunami:
Wśród trosk i cierpień, wśród samotnych godzin
Ze serc wysnute, krwią, potem i łzami
Tych wykarmione, co pod jarzmem kończą,
W miecz się przemieńcie i tarczę obrończą!
Tak! aniołami — nawet szatanami
Bądźcie, a jeśli potrzeba wam zgłiszczy,
Niech wasza ręka wszystko w proch poniszczy!...



XIV.

KIEDYŻ PRZYJDĄ CZASY TWYCH WYZWOLEŃ...

Kiedyż przyjdą czasy twych wyzwoleń,
Polski ludu, w pęta nędzy skuty?...
Od pokoleń żyjesz do pokoleń
Kęsem strawy, gorzką łzą zatrutój;
Od pokoleń wieje wicher luty
Na twe łany i twe kłosa warzy;
Z jego szumem ty łączysz swe nuty,
Gdzie się każdy dźwięk na dolę skarży —
Na dolę ostatniego z ostatnich nędzarzy...

Lada chłystki, lada obszarpańce
Pod twym krzyżem stają na Golgocie,
Gną swe grzbiety w potworne łamańce,
Ślinią wargi, pięść nurzają w błocie
I na twarz twą, wykapaną w pocie,
Krwia splamioną, co z pod kółców płynie,
Brud ten miecą i, w wstrętnej brzydocie
Swego serca, podobni gadzinie,
Wciąż syczą: »Hej! niech płód ten raz na zawsze zginie!«

Niema ziemi, niema w świecie kąta,
Gdzieby twoje nie dotarły stopy:
Twoja ręka obcym zboże sprząta,

Obcym wiąże je w krwawiące snopy,
Że dłoń cuchnie od plugawej ropy...
Gdy mróz kraje, gdy wiatr dmie szarugą,
Za przytułek masz podarte szopy;
Za morzami, za tysiączną strugą —
Tyś wszędzie, polski ludu! ach, a wszędzieś — sługą!...



XV.

BOŻE CARJA CHRANI...

Wróg do nas przyszedł i mówi: »Rebiata!
Niechaj wesołość w naszych sercach gości:
Dziś wam ojcuje pan i władca świata,
Car miłościwy! Przeszłość wam zazdrości,
Że za minionych nie śpiewała dni:
Boże carja chrani!«

Wraz się wyprężył, w takt uderzył w dłonie
I, groźne ku nam posławszy żrenice,
Zaintonował w współsiepaczy gronie
Pieśń, która wstydem oblewa nam lice
I kłamać każe chwale dawnych dni:
Boże carja chrani!

Jakto? Na ziemi, którą przodki nasze
Krwia użyźnili — na ziemi, gdzie w tańce
Z dzidą moskiewską polskie szły pałasze,
I zwyciężały, my dziś, jak zaprzańce,
Śpiewać tu mamy na szyd wielkich dni:
Boże carja chrani?!

Od starych kopców, od mogił rycerzy
Głębokie płyną ku wnukom westchnienia:
Łany dziejowe wielkim krokiem mierzy
Śmierć i w żałobę świat nam w okrąg zmienia,

A my nucimy — hańbo smutnych dni:
Boże carja chrani!

Ojczyste pola pod ciosami burzy
Legły pokotem, w borach smukłe sosny
Chylą się z żalu, ptak się w locie nuży
I wody płaczą, a zasię radosny
Ma hymn rozbrzmiewać w te rozpaczne dni:
Boże carja chrani?!

Nie! nie! Ten język niech uschnie w gardzieli,
Niech rozbrat dusze młodzieńcze popęta,
Niżbyśmy kiedy zapomnąć się mieli,
I zdradzić ciebie, nasza ziemio święta,
Pieśnią, co końcem jest twych przyszłych dni:
Boże carja chrani!

Przekleństwo tobie, ty hymnie bluźnierczy,
Coś jest ojcowstwa zaprzeczeniem krwawem:
Na gruncie twoim szubienica sterczy,
Bezprawie każe nazywać nam prawem —
Przekleństwo tobie, hymnie podłych dni:
Boże carja chrani!

W twej nucie słyhać pobrzęk kajdan głuchy,
Lodów sybirskich i kazamat echa
Drżą tu, by straszne, potępione duchy,
Trupich się czaszek żółkły stos uśmiecha
W twojej melodyi, grozo naszych dni:
Boże carja chrani!

Ale już zbliża się twój kres: na sądy
Już cię wzywają zdeptane narody —
Tracisz przed sobą swe morza i lądy:
Brzmieć już zaczyna świeży hymn swobody,
Gdzie dotąd władła ta kaźń wolnych dni:
Boże carja chrani!



XVI.

WARSZAWIANKA.

Oto chwila pomsty, sławy!
Na ulicach lud Warszawy!
Biegnie twardy, groźny, krwawy,
Wie, że nie jest ciźbą sług!
Woła, krzyczy, grzmi rozgłośnie:
Grób nasz trawą niech porośnie,
Zginać, choćby w życia wiośnie,
Byle ujrzeć, że padł wróg...

Świst i gwizd i tętent koni:
To kozacka sotnia goni,
Nahajkami jarzma broni,
W ludu plecy wpił się bat...
Roztocz, Boże, swoją pieczę
Nad despotą! Czucie człecze
Utonęło w krwi, co ciecze
Z naszej rany, hańbiąc świat!

Wyrósł z ziemi tłum olbrzymi:
Kto szlachetny, z szlachetnymi!
Niechaj zgłiszczę się zadymi
Nad pokotem wrażych ciał!
Wrzask i zamęt pośród czerni:
Miłosiernej! Miłosiernej!
Nam kazano, myśmy wierni,
Staniem przy was, jako wał!

Nie staniecie! próżne modły!
Duszę gad wam zatrut podły —
Zemsty dłonie tu nas wiodły,
W naszej zemście padł wasz dzień!
W krwi się wije praw obrońca,
Co przeczyły prawu słońca —
Walczyć będziemy aż do końca,
Do ostatnich walczyć tchnień...

Polska żywa! Wolność żywa!
Lud żelazne więzy zrywa!
Kto tu zmęczon? Kto spoczywa?
Hej! nie nadszedł jeszcze czas,
Nie spoczniemy, aż świat stary
Nie położy się na mary,
Aż zwycięskie te sztandary
Nie zaszumią, jako las!

Aż zaszumią, pewne siebie,
Że na ziemi i na niebie
Niema władzy, która grzebie
Wolność, Polskę w hańby grób —
Że na zawsze się stępiły
Te pałasze wrażej siły,
Co w nadzieje nasze biły,
Z naszej wiary czyniąc łup...

Oto chwila pomsty, sławy!
Na ulicach lud Warszawy!
Biegnie twardy, groźny, krwawy,
Wie, że nie jest ciźbą sług!
Woła, krzyczy, grzmi rozgłośnie:
Grób nasz trawą niech porośnie,
Zginać, choćby w życia wiośnie,
Byle ujrzyć, że padł wróg.



II

PIEŚNI BIBLIJNE

Z MOTYWÓW BIBLIJNYCH

1.

NIEBO I ZIEMIA.

Widząc synowie boży córki ludzkie,
iż były piękne, wzięli sobie za żony
ze wszystkich, które chcieli.

Mojżesz. 1. IV. 2.

A kiedy zorze zagasną,
Na krzewy mirtu, na palm smukłych skronie
Miesiąc się kładzie strugą srebrnojasną.

I ciepłe naokół wonie:
To sennym różom ciekną z warg płomiennych
Czary, co serce odurzają w łonie;

To śnieżny jaśmin w wiosennych
Dyszy uściskach wiatru, co się skrada
Od winnych wzgórzy, od łąków jęczmiennych;

To cały gaj opowiada
Uroczą baśnię poszepty wonnemi
Nocy, co w wieńcu gwiazd spoczywa blada...

I któż ramiony chłodnemi,
Któż piersią z lodu oprze się potędze
Ach! tego raju, tej rozkwitłej ziemi?

Tym snom srebrzystym, jak przędze
Mgieł, które w lekkie otulają chmury
Zioła, w miesięcznej promieniące wstędze?

I córki ziemskie — i córki
Śmiertelnych złożą na mchów pościel miękką
Ciał swoich śnieżność i lica purpury:

Lekki wiatr ciepłą swą ręką
Gładzi im czoła i czarne ich sploty,
W krzewach rozkoszną szeleszcząc piosenką;

A przez liściaste namioty
Tumani księżyc swych blasków koroną,
Aż im się serce rozplywa z tęsknoty.

I białe wznosi się łono,
Pokryte siatką niebieskawych żyłek,
Ujęte w róży pękówkę czerwoną:

Jak toń, gdy przyjdzie dnia schyłek,
Gdy gdzieś za krańcem świata słońce znika,
Traci powoli żar słonecznych bryłek —

Jak blednie lustro strumyka,
Tak się ich źrenic ściemniają kryształ, —
Tak im się zwolna oko w sen zamyka.

I śnią... jak fale, jak wały
W głębin swych wnętrzu marzą o poranku,
Co zdrój rubinów wyleje wspaniały —

Jak te źródliska w traw wianku,
Tak one, strojne w róże i lilie,
Śnią... śnią o szczęściu, o tym bóstw kochanku:

Miłość — ach! miłość za szyję
Chwyta je białą rękami młodzieńców
I z ust kielicha miód i mleko pije —

Miłość -- ach! miłość, rumieńców
Przepełna zdrowych, co w stworzeń wszechbycie
Ma swych służebnych, swych odwiecznych jeńców.

Miłość — ach! miłość, to kwiecie
Barwnych królewien i tych ziół-sierotek,
Ich oddech świeży, ich owoc, ich życie!

Miłość nad złotych błyskotek
Światłość płonąca; miłość nad dyamenty —
Nad dzień słoneczny czar miłosnych zwrotek:

Jakież to szept niepojęty
Miesza się z ludzkich słów pełnymi głosy,
Jak sfer muzyka, jak ruczaj zaklęty?

To się rozwarły niebiosy
I synów bożych spłynął chór skrzydlaty
Ku ziemskim córcom, jak pszczoły na wrzosy!

To sen, w rozkosze bogaty,
Znika dziewicom, gdy płomień całunku
We warg się wpija rozchylone kwiaty;

Gdy rzeczywistość w rynsztunku
Sił i kras świeżych w święte łączy śluby
Ciała i dusze, spragnione jej trunku —

To z śmiertelnymi — cheruby,
To niebo — z ziemią w dźwięcznym rozhowerze:
»Najdroższa! złota!« »o przesłodki! luby!...«

O Raju ziemski, ty Boże
Piękna! o ziemio, ty matko miłości!
Ty czaszo woni! ty rozkoszy łożę!

Fałszem, gdy w człeku zagości
Pragnienie szczęścia, co za tobą leży —
Fałszem i znakiem próżni i słabości:

Wszakże po uścisk twój świeży,
Wszak po te skarby, które w tobie drzemią,
Drogę swą nawet samo niebo mierzy,

O źródło siły i życia, o ziemio!...



II.

HAGAR.

A gdy nie stało wody w bukłaku, porzuciła dziecię pod jednym z drzew, które tam były.

I odeszła i usiadła przeciw niemu zdaleka ile łuk zastrzelić może, rzekła bowiem: Nie będę patrzyła na umierające dziecię; a siedząc naprzeciwko, podniosła głos swój i płakała.

Mojżesz. 1. XXI. 15. 16.

Czemu, samumie, tak wiejesz?

Czemu, ty słońce, tak świecisz,

Ogniste?

Z każdym oddechem w łono żar mi lejesz;

Każdym promykiem ogień w wnętrzu niecisz,

A oczy moje cną zachodzą, mgliste,

Choć w okół światło rżęsiste

Siejesz.

Warg mych kwitnące te róże,

Z których on, mawiał, pił miody,

Spieczone;

Wyschły tych piersi pełne niegdyś kruże —

Ach! kropkę wody! ach! kropelkę wody,

Nim skończy dziecko, nim na wieki spłonę,

Na wieki oko znużone
Zmrużę.

O Mamre, gaju uroczy!
Gdzie on swe rozbił namioty
Płócienne;
Gdzie zdrój się rzeźwy srebrną falą toczy,
Gdzie się w cieniste wiążą liście sploty,
Gdzie piersi chłodzą powiewy wpółsenne,
Nie bije słońce płomienne
W oczy.

Gdzie piasek stopy nie piecze,
Gdzie trawa miękkie kobierce
Zaściela!
Gdzie w barwach toną wszystkie zmysły człecze;
Gdzie się upaja, gdzie usypia serce
Od tych zapachów, od tego wesela,
Co z mirr, co z nardu ach! ziela
Ciecze...

We śnie obwisną ramiona,
Głowa mi na bok opadnie
W snu chwili;
We śnie, gdy dusza z rajskich marzeń kona,
Gdy wszelka siła omdlewa bezwładnie —
Warga swój kielich płonący rozchyli
I... sen uleci motyli
Z łona.

To on! to słodki! to drogi!
W usta całunku mi wciska
Jagody!
W czar się rozptywa rubin, w czar przebłogi,
Aż tu! do serca, winny zdrój mi tryska —
Ach! kroplę wody! ach! kropelkę wody,
Nim w spiecu wyschnie szpik młody
Srogićj.

To on! to miły! to luby!
Wsuwa mi ramię pod szyję
I budzi!...
To on! to sprawca szczęścia i mej zguby
U szyi wieńcem — nie! węzem się wije,
Pas z biodr mi zrzuca, piersi wargą brudzi
I miłosnymi mnie ludzi
Śluby.

Z słów jego jaka opłóść!
Jakie mnie szumy mirtowe
Rozpieszczą!
Nie! nie! nad mirtu szumiącą pochyłość —
Nie! nad te palmy, co wyniosłą głowę
Poddają wiatrom i, ich słodkim dreszczom
Uległszy, słodko szeleszczą,
Miłość!

Blask tego żaru, co w ciemię
Raził mą duszę, nad rzeki
Głąb jasną —
Ponad ten Nil mój, który w ciszy drzemie,
Gdzie kraj ten piękny, ach! a tak daleki,
Jaśniejsza miłość... Ojczyzna za ciasną —
Dla niej rzuciłam swą własną
Ziemię.

Niecny! niewierny! niewdzięczny!
Z dziecięciem wygnał mnie z domu
W pustynię...
Pójdę!... Faraon tłum ma stutysięczny,
Złociste zbroje, miecze, jak błysk gromu,
A każdy z mężów, lew, ze siły słynie,
Ryś, co zdobyczy nie minie,
Zręczny.

Wpadną na wszystko, co żywe,
Na stada owiec, na sługi,

Jak wały,
Jak burze, strojne w gromów jasną grzywę;
Zetną gaj cudny, spalą pszenne smugi
I krwi czerwonej wydepcą kanały —
Serce mi pęka w kawały,
Mściwe!

Lecz kędy?... Piasku ach! fale
I niebios szkliste wokoło
Pogody!
Śmierć! śmierć w tym piasku! Śmierć w nieba kryształach,
Suchym, jak pierś ta, spiekłym, jak to czoło —
Ach! kroplę wody! ach! kropelkę wody!
Nim się, jak głogu jagody,
Spalę.

Ra! Ra! ty królu nad króle!
Boże nad bogi! zwróć ku mnie
Swe uszy:
Pomścij! o, pomścij srom mój, a skończ bóle!
Idź i bądź jemu, czem mnie jesteś, tłumnie
Gdy rzucasz strzały, raniąc mnie w tej głuszy,
Że oczy z strasznych katuszy
Tulę.

O nie! powstrzymaj swe siły,
Wszystkie je w piersi wbij moje,
Odwieczny!
Niech się rozprysną blasków wrzące bryły,
Niech płyną chłodu szeleszczące zdroje —
Tak! niechaj schłodnie, zgaśnie żar słoneczny,
Gdy w sen się złoży bezpieczny
Miły.

Nie mogę patrzeć z żoroty,
Jak ta dziecina zamiera
Bez winy!

Przekleństwo ojcu!... przekleń... Nie! namioty
Niech mu jedwabne ranek rozpościera,
Niech z gron mu winnych słodkie sącza płyną,
Gdy się przebudzi jedyny,
Złoty.



III.

REBEKA.

SIELANKA HEBREJSKA.

Przetoż panienka, której ja rękę: nachyl wiadra swego, że się napiję: a ona odpowie: Pij, i owszem, i wielbłądy twoje napoję: ta jest, którąś zgotował słudze swemu Izaakowi.

Jeszcze był w sobie słów niedokończył, a oto Rebeka wychodziła, córka Bathuela, syna Malchy, żony Nachora, brata Abrahamowego, mając wiadro na ramieniu swoim:

Dzieweczka zbytnie śliczna i panna bardzo piękna i niepoznana od męża.

Mojżesz. 1. XXIV. 14—16.

Albowiem oto minęła zima.

Pieśń Salomon. 11. 11.

Śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Stare przysłowie.

»Zbliź-że się ku mnie, zbliź się, dobry sługo,
Dłoń mi pod biodro włóż, Eliezerze —
Wszak mi już służyć nie będziesz zbyt długo
Wiernie i szczerze:

Wszystkie mnie siły opuszczają świeże
I na starości patrzaj! głos chropawy,
Śmierć krew zamraza, wszystkie siły bierze,
Rozluźnia stawy.

Lecz nim pożegnam świat i ludzkie sprawy,
Nim rzucę gniazdo, gdzie się trud wylęga,
Gdzie o kęs miejsca z wrogiem przebój krwawy
Życie rozprzęga,

Niech uspokoi twoja mnie przysięga,
Żem szczęście syna w zaciną oddał pieczę,
Stokroć pewniejszą, niż stali potęga —
Tarcze i miecze...

I dziś daj dowód... Nim się czas przewlecze,
Zanim na wieki siwą złożę głowę,
Idź i w ten namiot, który złotem ciecze,
Przywiedź synowę.

Tylko nie szukaj tam, gdzie tchy niezdrowe
I pełne jadu płyną z piersi wroga:
Jako robactwa pełne pnie figowe,
Tak i odnoga.

Życiem i siłą dla mnie słowo Boga,
Siłą i życiem było przyrzeczenie,
Że ilość piasku nad morzem przemnoga
Moje nasienie.

A jakież, powiedz, wzrośnie pokolenie,
Gdy ze krwią swoją złączysz płód przeklęty?
Zamiast lwem jarym, będzie jako szczenię
Ród tak poczęty.

Nie!... W kraj rodzinny — idź-że w kraj ten święty,
Gdziem w snopy wiązał jęczmienne pokosy:

I tam w anyże i tam w zapach mięty
Bogate wrzosi.

I tam w słoneczne strzelają niebiosy
Przegibkie palmy; i tam, pełne ziarna,
Gną się ku ziemi zapłonione kłosy —
Praca nie marna.

I tam żrenica, jako węgiel czarna,
Skrzy się u dziewczyn, twarz — winna jagoda,
A krok tak lekki, jak, gdy z krzewin sarna
Wybiegnie młoda...«

* * *

I Eliezer okiełzna wielbłądy,
Przez garb przewiesi wypchane bukłaki
I tak je zwróci, strojne w złote rządy,
W dalekie szlaki.

Ale mu troski, jak niewczesne ptaki,
Osiędą duszę: jakiego wyboru
Użyć, by pańskie zadowolić smaki,
Uniknąć sporu?...

W takich to myślach pod mury Nachoru,
Co w Abramowej ziemi spoczął, biały,
Zbliży się chwila, gdy w blaskach wieczoru
Skapan świat cały;

Gdy, zdjęte ciszą, palmy ledwie drgały,
Kiedy się czasem wokół wiatr zakręci
I kochanice senne, sam ospały,
Wargą ponęci;

Kiedy zapachy świeżych sianożęci
W czar się zlewają z cynamonów wonią

I na myśl ludzką i na ludzkie chęci
Sen duszny ronią.

Że był troskami, co się wzajem gonią,
I drogą znużon, siadł u stóp cysterny,
W cieniu palmowym, ze spotniałą skronią,
Ten sługa wierny.

I jął narzekać: »Trud to niepomierny
Trapi mi ciało, lecz w niepewną duszę
Zatapia żądłem robak siłozerny
Większe katusze:

Niechaj cię, Panie! korną prośbą wzruszę!
Podaj mi znamię, co sąd mój oświeci,
Którą mam wybrać, którą rzucić muszę
Z niw obcych dzieci?...«

Wtem mu światłości lotem myśl przeleci:
»Owej, co do ust nachyli mi dzbana
I da wielbłądom wody — owej z kwieci
Powiem: Wybrana!«

A była pora, zachodem oblana,
Gdzie orszak dziewic, smukłe łanie młode,
Do tej cysterny, co płonie lustrzana,
Biegnie po wodę.

»Jej w te klejnoty przystroję urodę,
Jej te pierścieńce dam oblubieniczne,
Jej owe złota, które z sobą wiodę,
Sykle rozliczne.

Ją zaprowadzę, gdzie łany pszeniczne
Kołyszą w Mamre swe kiście czerwone
I gdzie kokosy chwieją niebotyczne
Włosów koronę.

Izaakowi rzeknę: Wiodę-ć żonę,
A Abrahama przywitam w te słowa:
Niech imię pańskie będzie pochwalone —
Oto synowa!«

* * *

Zaledwie skończył, a od miasta bieży
Jakowaś z dziewczyn, z wiadrem na ramieniu,
Jak promyk zorzy, jak ten zapach świeży
W wiosennem tchnieniu.

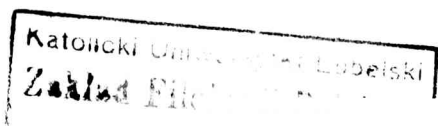
Na twarz, co gubi się we włosów cieniu,
Wyszedł rumieniec, gdy spieszy dziewoja,
A wargi pełne drżą w tęskliwym pieniu:
»O wiosno moja!...

Wiosno! wiosenko! Z przejasnego zdroja
Poisz jelenie, skrapiasz barwne zioła;
I mnie krynica jak orzeźwia twoja —
Rozkosz wesola!

Wiosno! wiosenko! W te błękitne koła
Miesza się jednak jakiś cień tęsknoty,
Że wargą, płonąc, poniewolnie woła:
Gdzie — on? gdzie — złoty?...

Chciałabym, wiosno! posieść orle loty,
Albo słonecznym oskrzydlić się błyskiem
I szukać tego, co mnie w marzeń sploty
Nęci uściskiem...«

I tak się zbliży do wody, co w śliskiem
Gęstych powojów ujęciu spoczywa,
Rozpromieniona wieczoru ogniskiem,
Jak gdyby żywa.



A Eliezer, patrząc na te dziwa,
Na te policzki, na tę kibić cienia,
Na pierś tę pełną, co się lekko zrywa
Pod suknią miękką,

Zajdzie jej drogę, pokłoni się ręką
I potem wskaże ku miedzianej kruży:
»Nachyl swojego mi wiadra, panienko —
Jestem w podróży...«

I ona, płonąc, jak pękówka róży,
»I owszem«, rzecze, dzban na łokciu wspiera,
Bielszym nad marmur, i chłodem obsłuży
Eliezera.

»A teraz pozwól«, powie dalej, szczerą,
»Niech i wielbłądom napełnię koryta;
I na nich, widać, w tym pocie przeziera
Droga przebyta...«

I czerpie z studni ta lilia rozwita,
I poi stado uroczą dziewczyną,
A z ust się piosnka wykrada wpółskryta:
Wiosno jedyna!

I rzecze sługa: »Oto jest godzina!
I oto znak Twój jest widomy, Panie!
Dla tej niech pan mój gotować zaczyna
Ślubne posłanie«.

A potem, patrząc w jej lica zaranie,
Wszystko opowie, jak wyszedł na zwiady
I jak zasięgnął, gdy u źródła stanie,
Boskiej porady.

I jak tę znajdzie, której szukał, blady
Trudem i troską, wyboru niepewny,

I jak w weselne chciałby pójść układy
W dom tej królewny.

I dalej mówił, że to ród pokrewny,
W który powiedzie córkę Betuela
(Nazwała dom swój); że tam czas zasiewny
To czas wesela:

W tyle się bogactw ich ziarno rozdziela,
Rzucone w ziemię! Lecz nad wszystkie płody
W jakim uroku, jak palma, wystrzela
Izaak młody!...

I zasłuchana w te sługi wywody,
Duszę Rebeka topi wśród przestworza,
Potem się budząc, szepnie na znak zgody:
»Snać woła Boża«.



IV.

MOJŻESZ.

1.

W one dni, gdy był urósł Mojżesz, wyszedł do braci swej, i ujrzał ich utrapienie, i męża Egipczyka, bijącego jednego z Hebrzejczyków, braciej jego.

A gdy się obejrzał tam i sam, i widział, że nikogo niemasz, zabijwszy Egipczyka, skrył go w piasek.

II. Mojżesz. II. 11. 12.

Na śmierć niechybną skazany dziecięciem,
Gdy go przypadek z jej bezdni wybawił,
Rósł i spoglądał, jak się w pocie pławił
Naród, jak padał w proch przed obcym księciem.

I rozgorzało zemsty przedsięwzięciem
To serce młode, które srom zakrwawił,
Srom, co mu braci między sługi stawił,
Darząc ich biczem, śliną i kopnięciem.

I tak naszedłszy, jak pchających głazy,
Z których się miały wznieść piramid stogi,
Jeden z dozorców siekł krwawymi razy —

Uniknie świadków i otwartej drogi
 I ciosem skrytym, mszcząc się bratniej zmayı,
 Wyszeptnie głucho: »Krew za krew!... Tak, wrogi!...«

II.

... i siedział u studnie...]

II. Mojżesz. II. 15.

A kapłan madyański miał siedm
 córek, które przyszły czerpać wody:
 a napełniwszy koryta, chciały na-
 poić trzody ojca swego.

Nadeszli pasterze i odegnali je,
 i wstał Mojżesz, a obroniwszy
 dziewczki, napoił owce ich.

II. Mojżesz. II. 16. 17.

... i wziął Seforę, córkę jego
 za żonę.

II. Mojżesz. II. 21.

U stóp cysterny, wsparty o jej kraniec,
 Kiedy południe żywym ogniem pali,
 W cieniu kokosów i w powiewie fali
 Chłodzi swe ciało i swą myśl, wygnaniec.

I, zapatrzony w drżących blasków taniec,
 Co przez liść cisną w słonecznej się dali,
 Zda się sam płonąć: snąć mu głąb kryształ
 Przeczucie szczęścia, złotych skier kaganiec.

Wtem go z marzenia zbudzi rozgwar głośny:
 Dziewki, pragnące napoić swe trzody,
 Ciżba pastuchów odgania od wody...

I wstanie, gromiąc kłótliwych nie w porę,
 Napełni żłoby, a za czyn miłosny
 Bierze w nagrodę uroczą Seforę...

III.

i ukazał mu się Pan w płomieniu ognistym z pośrodka krza...

II. Mojżesz. III. 2.

Ale pódź, a poszlę cię do Faraona, abyś wywiódł lud mój, syny izraelowe z Egiptu.

II. Mojżesz. III. 10.

Mag, co pił z wiedzy czaszy tajemniczej,
Kiedy nim zachceń jęła miotać sprzeczność,
Zwracał się w stronę, gdzie gwiazd płonie mleczność,
I »jak iść?« pytał tych nadziemskich zniczy.

To znów, zabłąkan do pustynnej dziczy,
Gdzie grozą ciszy przejmuję odwieczność,
Jaką być winna życia ostateczność,
Chciał z traw wybadać i z głazów obliczy.

A oto gwiazdy, lśniące w niebios górze,
I krzew, co gorzał w krwawych blaskach wschodu,
Jakby sam Jahwe zszedł tu w swej purpurze —

A oto wszystko, co widział za młodu,
Co jako mąż czuł, w jednym drży mu wtórze:
»Celem żywota — zbawienie narodu!«

IV.

... Pan Bóg Hebrejczyków posłał mnie do ciebie, mówiąc: puść lud mój...

II. Mojżesz. VII. 16.

... i zatwardziało serce Faraonowe...

II. Mojżesz. VII. 13.

... i spuszczę rękę moję na Egipt...

II. Mojżesz. VII. 4.

Przed Faraonem mąż natchniony stanie
I »wypuść lud mój« — do ciemieńczy rzeczy,

»Ty co w swój harap wplatasz ołów, miecze
Zatapiasz ostre w coraz świeższej ranie!

Nie mogę patrzeć — słuchaj, krwawy panie!
Na jad ten żółty, który z wrzodów ciecze
Od twardych cegieł, na ten żar, co piecze,
Na chleb ten z plewy, na głośnie konanie«.

Lecz kat nie zmięknie... Więc on, mocą Boga
Wielki, na kraj mu ściągnie plag bezmiarę:
Niszczy go owad, trąd, mór i pożoga —

Bo nawet niebo, kiedy lud ofiarę
Niedobrowolną na ołtarzu wroga
Składa ze życia, zsyła klątw swych karę...

V.

... i rozstąpiła się woda...

II. Mojżesz. XIV. 21.

I weszli synowie izraelowi przez
pośrzodek suchego morza; bo była
woda jako mur po prawej i po
lewej stronie ich.

II. Mojżesz. XIV. 22.

... i uderz w skałę, a wypły-
nie z niej woda, aby pił lud: uczy-
nił tak Mojżesz...

II. Mojżesz. XVII. 6.

Morze rozdzielił, wyciągnawszy dłonie
Ponad głębiny, aby orszak cały,
Gdy za nim tłumy nieprzyjaciół gnały,
Suchemi stopy przebył morskie tonie.

Na górze Horeb, w spiekłej, martwej stronie,
Z skał wyczarował świeże wód kryształ,

Iżby lud jego, z pragnienia omdlały,
Orzeźwił wargi, zgasił ogień w łonie.

Tak cudem zbawiał brać swą, gdzie oręza
Nie wystarczyło obosieczne cięcie —
W miejscu posuchy, w morskich wód odmęcie:

Bo miłość ludu wszystko przewycięża,
Gdzie rozum chybia, tam jej pocisk godzi,
Bo miłość ludu nawet — cuda płodzi...

VI.

... śpiewał tedy Mojżesz i synowie izraelowi tę pieśń Panu...

II. Mojżesz. XV. 1. str.

»Bądź pochwalony w Twych czynów ogromie!
Przed Tobą lud się izraelski ściele,
Coś go z niewoli wywiódł przez topiele,
Na wrogi jego zesłał gniewu płomień!

Moab, Chanaan, książęta w Edomie
Drżą na twe imię, niby liche ziele...
Bądź pochwalony, Ty, co nam wesele
Jasne gotujesz po smutku i sromie...«

I pieśń ta płynie, jak zapachy świeże
Dzikich jałowców i pustynnych wrzosów;
Wtórzą jej bęben, cymbał i psalterze.

A Jahwe słucha w przybytku niebiosów,
Każdy dźwięk chłonie płomieniem swej chuci,
Bo pieśń tę prostą — zbawca ludu nuci.

VII.

... aleć oto poczęły być słyszane gromy, i łyskać się błyskawice...

... A wszystka góra Synaj kurzyła się...

II. Mojżesz. XIX. 16. 18.

I odpowiedział wszystkim lud pospołu: Wszystko, co Pan rzekł, uczynimy.

II. Mojżesz. XIX. 8.

Biją pioruny, Synaj w błyskawicach
Gore, z gniazd orlich rwia się bystre ptaki,
Gdy prawodawca kreśli ustaw znaki
Na wyciosanych z granitu tablicach.

Tłum grzbiet podaje — z mieczem i przyłbicach —,
Jako wielbłądy pod ciężkie bukłaki,
Bałwochwalstw wszystkie zaciera poszlaki
Na grom słów jego, na błyski w źrenicach.

Tak myśl, co ludom nowe znaczy tory,
Kiedy ją miłość spłodziła gorąca,
Ma siłę gromu, blask niebieskich zwoi:

Wstrząsa, oślepia, stapia w płyn zapory
Dawnych przybytków, bóstwa ich roztrąca —
Lud gnje się przed nią, choć — w niezgiętej zbroi..

VIII.

... i ukazał mu Pan wszystką
ziemię...

V. Mojżesz. XXXIV. 1.

I rzekł Pan do niego: tać jest
ziemia, o którą przysiągł Abra-
hamowi, Izaakowi i Jakóbowi, mó-
wiąc: nasieniu twemu dam ją. Wi-
działeś ją oczyma swemi, ale nie
przejdiesz do niej.

V. Mojżesz. XXXIV. 4.

I umarł tam Mojżesz, sługa
Pański, w ziemi moabskiej na roz-
kazanie Pańskie...

V. Mojżesz. XXXIV. 5.

»Spojrzyj!... Krainę tę przed wieków wiekiem
Praojców twoich przyrzekłem nasieniu:
Strojna palm wieńcem, skryta w cedar cieniu,
Ziemia to miodem płynąca i mlekiem.

Tu stąd się echem poszumów dalekiem
Upój; tu stąd się skąp w zapachów tchnieniu,
Bo przy jordańskim nie legniesz strumieniu,
Pod skał libańskich nie wypoczniesz stekiem«.

I umarł Mojżesz za Jehowy wolą
W stronie moabskiej, w nieprzyjaciół ziemi,
Stopą zagonów nie dotknąwszy świętych:

Zwykłą to bowiem wielkich mężów dołą,
Że im nie dano, by usty spiekłemi
Jedli z owoców, z ich ducha poczętych.



V.

SAMSON.

A książęta filistyńskie zeszyły się
były pospołu, ażeby ofiarowały ofia-
ry wielkie Dagonowi, bogu swemu,
i weselili się, mówiąc: Dał Bóg nam
nieprzyjaciela naszego, Samsona,
w ręce nasze.

Ks. Sędziów. XVI. 23.

I poszedł, by pojmał trzysta li-
szek i ogony ich do ogonów przy-
wiązał, a w pośrodku przywiązał
pochoinnie...

dto XV. 4.

... Które wnet wbiegły w zboże
filistyńskie.

dto XV. 5.

I znalezioną czeluść, to jest
szczękę oślą, która leżała, porwa-
wszy, zabił nią tysiąc mężów.

dto XV. 15.

Potem rozmiłował się niewiastą,
która mieszkała w dolinie Sorek,
a zwano ją Delila.

dto XVI. 4.

Niech umrze dusza moja z Fili-
stynami...

dto XVI. 30.

— »Błogosławiony bądź, Dagonie!
Mocarzu nieba, władco ziemi,

Którego lice płomiennemi
Blaski, jak ogień sam, płonie;
Ty, co tchnień swoich skry wrzącemi
Spopielasz miasta, niszczysz sioła,
Co krwawym mieczem tniesz dokoła,
Że człek daremnie łaski woła,
Gdy we krwi tonie!

Cór najpiękniejszych świeże wieńce,
Najmłodszych dzieci wonne kwiaty
Złożym ci w ofiar stos bogaty
I Hebrejczyków tych jeńce;
Nad mirr dymiących mgławce szmaty
W ogniu ci słodsza woń rozszerzą
Ten szpik, co płodził moc rycerzom,
Ten wdzięk nad świt, nad zorzę świeżą
Owe rumieńce.

Lecz pierwej, wodze i książęta,
Wylejmy wina jasne zdroje!
Kto przeszedł trudy, przeszedł boje,
Niech o rozkoszy pamięta!
Wszak trud i rozkosz krewnych dwoje,
Co się w wzajemnym łączą cudzie:
Trud po rozkoszy równy złudzie
I stokroć słodsza, gdy po trudzie,
Jest rozkosz święta...

A gdzież ów ślepiec? Hej, na chwilę
Niechaj przestanie kręcić żarna;
Niech kaźń porzuci, co go, czarna,
Więzi w podwójnej mogile;
Niechaj drużyna ta ofiarna,
Co święci uczy czar dziękczynny,
Skosztuje pieśni miodopłynnej:
Pieśń nieci w sercu żywot inny,
Skrę w każdej żyłę!...

Zagraj na harfie, zanuć psalmy,
Rozebrzmij z nami w okrzyk głośny:
Zawitał dla nas dzień radośny —
Chwalmy Dagona! o, chwalmy!
Niechaj dźwięk strun twych, dźwięk donośny
Aż do danickich pól dopłynie,
Niechaj w Zarei echem zginie,
Gdzie brać nam twoja rzuca ninie
Swych hołdów palmy...«

— »Zwycięzonego napój słony;
Zwycięzonemu w twarz rzucacie
Szyderstwa mokry płat po płacie,
W ócz jamy kłując, jak wrony;
Pragniecie pieśni, brzmień żądacie,
Które ta ręka z strun wycuci?
Serce we wnętrzu się przewróci,
Kiedy wam zagra, gdy zanuci
Mąż zwyciężony...

Z enaków powstał — czy słyszycie?...
I u młodzieńca pierś olbrzyma
Płomiennym ogniem się wydyma
I woła: niczem to życie,
Gdy je w okowach gnuśność trzyma!
Czyn! tylko jego tchnień potęga
Rozkoszy wrzący płód wylęga,
Tylko ten ogień w niebo sięga,
Skrząc się obficie!...

I na weselu, zięć Tymnity,
Rzeczę bękartom wrogów: »Chłystki!
Z męznego płynie napój wszystkie,
Z mocarza zdrój miodosyty;
Zdepcę, jak drzewa zwiędłe listki,
Gdy nie zgadniecicie, głupi, słabi!
Ale kto treść mi stąd wywabi,

Trzydzieści barwnych dam jedwabi,
Płaszcz złotolity«.

I askalońskich lwów trzydzieści
Na miazgę jednym startł zamachem —
I jęknie wrogów tłum ze strachem:
»Jakież słyszymy to wieści?
Dzieci pod naszym ubił dachem;
Czyżby tak myślał płacić, mściwy,
Za popalone ojców niwy,
Za przestach matek, płód nieżywy,
Ronion z boleści?

Hej! zanim ostre sierpy błysną,
Nim słońce zbieli włos jęczmieniem,
Zanim winnice się zrumienią,
Nim płyn z oliwek wycisną,
Wpadniem, podobni krwawym ceniom,
Z tysiącem mieczy i pochodni,
Że posinieją, ranni, głodni,
Że im na wieki krnąbrnej zbrodni
Siły owisną...«

I powstał popłoch, i opiłą
Strachem utopią weń źrenicę:
»Zbawiaj! tyś winien, błyskawicę
Ściągnąłeś sam gromożyłą!«
I bez puklerza, bez przyłbicy,
W polu znalazłszy oślą szczękę —
Ha! ha! pochwyci kość w swą rękę
I tysiąc wroga w mściwą dziękę
Pobije — siłą...

Oko za oko!... Strzepy strzępem,
Purpurę zawsze płąć purpurą;...
Stawia cię w górę, staw ich górą,

Gdy sęp cię kłuje, bądź sępem...
I wnet zawładnie — lisów chmurą,
W ogonach wznieci żar wspaniały
I tłum pochodni żywych cały
Wpuści w łan wrogów, w ich migdały,
Niszcząc — podstępem...«

— »Uragasz, ślepcze! Śpiewasz własną
Pieśń, nam, zwycięzcom, dobrze znaną...
Lecz śpiewaj dalej... Trądu raną,
Gardzieli obrozą ciasną,
Piersią, rozpaczy szaleń rwaną,
Uragowisko tym, co w klęsce:
Mieczem nie ranią tak ciemieżce!
Lecz złotcie słabych w śmiech zwycięzce
Tylko podrasną...

Śpiewaj do końca... Blaskiem słońca,
Który rozprasza zemsty nocę,
Zwycięzcom — słabych pieśń migoce,
Choć sama zemstą gorąca:
Snać ci się cała pierś szamoce,
Litość nad słabym mają wrogi —
Hej! o tych kolumn marmur drogi
Oprzyj ramiona, chwiejne nogi,
Śpiewaj do końca...«

— »Soreku jasne, srebrne wody!
Te wasze głębie jak zwodnicze:
Zatopię duszy wrzące znicze,
Zatopię ciało swe, młody;
Na chłód rozkoszy rzeźwej liczę,
A fala żarem we wnętrzu wcieka,
Wypija żarem siły człeka,
Żarem kryształę oczu wypieka
W miejsce ochłody.

O grona pełne i soczyste
Z winnic Engaddi!... Podniebienie
Jak łechcą waszych kras płomienie,
Rubiny jagód rześiste!
Pochwycę owoc i strumienie
Wcisnę do świeżych ust kielicha,
Ale z goryczy krtań wysycha,
Z goryczy pierś ma ach! wydycha
Kłęby ogniste!...

Jak w miękkim piasku gład przydrożny,
Który rozpiekły skry słoneczne,
Tak olbrzym legł na łono mleczne,
Rozżegnion w ogień niezbożny.
I zemsty miecze obosieczne,
Co wrogów sercom i żrenicom
Iskrzą się grozą, strachem świecą,
Oddał wraz z sił swych tajemnicą
Dziewce nałożnej...

Hej! Filistyni! Przyszła chwila,
Słodkiego przyszedł czas rachunku!
Co nie wykonał tłum w rynsztunku,
To wydołała — Dalila!
Zdrada w rozkoszy pocałunku,
Bezwładna słabość w jej uścisku:
Hej! Filistyni, na wrzosisku
Pochwycie pszczołę! w łąk łożysku
Schwycie motyla...

I tak go zmoгли... Koniec pieśni?
A z nią czyż koniec i nadziei?...
Coś mnie napoił w Ramat-Leji
Potokiem z zęba cieśni,
Kiedym zapragnął w suchej kniei« —
I strzaska harfę — »wróc mi siły!« —
I schwyci słupy dwa, pochyły,

Aż krwią zapłoną wszystkie żyły,
Jak owoc wrześni.

I — »niechaj razem z pieśnią skończę,
Niech skończy dusza z Filistyny!« —
Wstrząśnie przybytkiem... Tej godziny
Zginął tysiączny wróg...



VI.

JUDYT.

I zawołała Abry swej, a zszedłszy do domu swego, złożyła z siebie włosienicę, i zewlekła się z szat wdowstwa swego, i omyła ciało swe, i pomazała się olejkim wybornym, a ochędożyła włosy głowy swej etc.

Jud. X. 1. 2.

A iż wiedzą synowie izraelscy, że obrazili Boga swego, strach twój nad nimi jest. — Nad to i głód przypadł na nie i przez suchość wody już między umarłemi są policzeni.

Jud. XI. 9. 10.

A iż się Bóg rozgniewał na nie, to samo posłana jestem, abym ci opowiedziała.

Jud. XI. 17.

.. i ucięła mu głowę.

Jud. XIII. 10.

— »O spiesz się, Abro! rozczesz włosy!
Kosztowną nardu zlej je wonią,
W błyszczące pukle zwiń nad skronią,
Z tyłu w dwie ciężkie zapleć kosy!
Nim słońce zgaśnie, zanim zronią
Górskie jałowce srebrne rosy,

Trzeba nam rzucić bramy miasta:
Co męże nie zdołają, wykona niewiasta...

Już dni dwadzieścia tłum pancerny
W okół szarańczą się rozściela;
Strach przejął dzieci Izraela,
W strachu, patrz! bluźni naród wierny:
»Hej! doczekali my wesela!
Wróg odciął studnie, skrył cysterny,
Gardło pragnienie nam wypieka,
A Jahwe gdzie? Do Jahwy droga zbyt daleka.

Lepiej kolano zgiąć przed wrogiem,
Lepiej przełamać kark w pokorze
I rzec mu: panie! rzec mu: boże!
Pod swych przybytków zdepc nas progiem;
Weź nasze złoto, zajmij łożę,
Na łonie cór używaj błogiem,
Budź się z południa, kładź o świcie,
A tylko nie daj umrzeć, zostaw nędzne życie...«!

O wielki ojczel! władco wielki!
Piorunujące ściągnij ramię,
Co spienia morza, skały łamie,
Co tnie na wiory cedar belki;
W dawnych sojuszów święte znamię
Siłą, co zmienia w zdrój kropelki,
Odwróć od dzieci hańbę nagą,
Ten lud swój wybaw cudem — kobiety odwagą...

Łańcuch mi, Abro, włóż na szyję,
Nad czołem perły zwieś rzesiste,
Naramienniki daj złociste,
Te, które mają kształt, jak — żmije,
Te, wiesz, tak gładkie, te tak czyste:
Manasse luby — ach! nie żyje! —

Za te klejnoty, za dyadem
Z Parwaim kupcom płacił całem owiec stadem.

Prędzej! o, prędzej! dwakroć traci,
Kto nie korzystał z jednej chwili:
Trawa wnet wzrasta, gdzieśmy żyli,
A gdzie my zwłóczym, spieszą — kaci!
Ciało ostatki niech wysili:
To nic, gdzie słabną siły braci;
Duch niech omdlewa z łez i trudu:
To nic, gdzie łzy przyćmiły jasną duszę ludu!«

* * *

A przed wieczorem, nim ze stoków
Gór betulijskich zorze spadną,
Nim pierwsze gwiazdy się przekradną
Przez niebieskawą tkanę mroków —
Obce niewiasty drogą zdradną
Pośród namiotów, zbrojnych tłoków,
Przed szafas księcia wiodą strażę:
»To suki dwie hebrejskie, co wódz nasz rozkaże?«

— »Tak! my hebrejskie... Idziem z grodu,
Nad którym boski gniew zawisnął;
Ostatni promyk w niwecz prysnął
Przed cimą pragnienia, nocą głodu;
Strasznej pewności wąż im ścisnął
Te piersi z głazu, serce z lodu,
Że, zanim nowe spłoną świty,
Jehowa ześle bicz swój, z krwawych klęsk uwity.

Zbiegłyśmy stamtąd potajemnie,
By przed tym biczem schylić czoła —
Cześć ci, co krnąbrne tniesz dokoła!
Cześć ci, co walczysz niedaremnie!
Latorośl mężnych »cześć ci!« woła:
Masz Symeona wnukę we mnie —

Nad Symeona któż był drugi?
To Abra, powiernica, przyjm, panie, swe sługi!»

— »Heah! przynieście w lot puhary,
Postawcie wina pełne kadzie!
Kto pozostaje z Bogiem w zwadzie,
Ten niechaj sypie popiół szary;
Zbyt ciężkie cienie noc pokładzie,
Nim się twych prorocstw spełnią czary:
Komu udzielił Bóg oręża,
Ten czasu dość ma jeszcze, ten chwilą zwycięża!

O pij, przepiękna! pij, jedyna!
Aż się rozżarzą czarne oczy!
W te piersi białe niech się stoczy
Skrą każda kropla tego wina!
O pij, aż warg twych kwiat uroczy
Spłonie, jak róża, aż, jak trzcina,
Zadrży ta postać słodkim szaleń, —
Co wszystkie miesza zmysły, co je więzi — ciałem!

Rozkoszny przejdźcie raj Niniwy,
Asyryjczyków całe plemię:
Nebukadnezar w swym haremie
Czyż taki zamknął skarb, szczęśliwy?
Ten żar tajemny, który drzemie
Tu, w naszym wnętrzu, dziw nad dziwy,
Kiedy go boski wdzięk rozzęgnie,
Nie spocznie, aż człek cały płomieniom ulegnie.

Zaścielcie łożę mi purpurą,
Spuście fałdziste w dół dywany,
Które uniosłem z Ekbatany,
Które medyjskim wzięłem córom:
W szmaragd i topaz szmat dzierzgany,
Złoto, co bujnym wprzędły sznurom,

Nieraz żrenicą swego błysku
Patrzyły na ich nagość w zwycięzcy uścisku.

Ha!... na Mylittę!... na Baala!...
Nie!... klę na twoje się bożyszcze,
Że, nim o świecie to poniszczę,
Co zniszczyć Bóg mi twój pozwala,
Nim gród wasz święty zmieni w zgłiszczę
Mojej pożogi krwawa fala,
W rozkosznej nocy tej godzinie
Cudniejszą Holofernes zdobędzie świątynię!*

* * *

Rankiem, o rosie, gdy wschód złoty
Uśmiechem niebo rozweseli,
Jakież to plamy na tej bieli,
W którą rozlały się namioty?
Jakież to popłoch dym ten dzieli,
Co się gęstymi wznosi sploty?
W jakież to strumień, wrzący, dziki
Rwia, łączą się te jęki, te rozdarte krzyki?

— »O zbudź się, wodzu! wieść przesmutna:
To nasze trzeszczą tak puklerze,
To naszej krwi zapachy świeże
Płyną kłębami, płamą płótna!
Święcili rozkosz twą żołnierze,
Jaka z rozkoszy żółć okrutna:
W snu pogrążonych słodkiej cieczy
Opadli Hebrejczycy tysiącem swych mieczy.

O zbudź się, wodzu, stań na przedzie,
Lubieżne zakończ wieczornice!
Wszak dnia już jasne błyszczą lice,
Nie na miłosne dzień spowiedzie!
O pochwyc miecz swój, włóż przyłbicę —
O wodzu! wodzu! w krwawej biedzie

Oto już reszta daje życie,
A ci jak krzyczą głośno: sława! cześć Judycie!«

Ale napróżno: wódz nie słyszy:
Nie zbudzić wodza czczemi słowy —
Pewnie upaja czar go nowy...
Wpadną do wnętrza dziwnej ciszy, —
A na tapczanie trup bez głowy,
A tu miecz krwią niezaschłą dyszy —
Jak na nieznany znak zaklęcia
Hebrejska znikła dziewczka razem z głową księcia.



VII.

BALTAZAR.

Rozkazał tedy już pijany, aby przyniesiono naczynie złote i srebrne, które był zabrał Nabuchodonozor, ojciec jego z kościoła, który był w Jeruzalem, żeby pili z nich król i panowie przedni jego i żony jego i nałożnice.

Daniel. V. 2.

Tejże godziny ukazały się palce jako ręki człowieczej piszącej przeciw lichtarzowi na ścianie sali królewskiej, a król patrzył na członki ręki piszącej.

Daniel. V. 5.

Tejże nocy zabił jest Baltazar, król chaldejski.

A Daryusz Medczyk nastąpił na królestwo.

Daniel. V. 30. 31.

Baltazar, dumny władca świata,
Skrzydlate w świat rozesłał gońce,
Gdzie ranna zorza wieńce spleta
I gdzie zachodzi krwawe słońce:
»Opuście niebios jasne końce,
Do jaśniejszego spieszcie grodu —
Lenniki króla i obrońce
Niech złożą hołd swój, czynsz narodu,
I uczt skosztują żaru i słodkiego chłodu« —

I psy posłuszne i służalce
W złote przystroją kark obroże
I w sił dyszających strasznej walce
Padną u stopni, jękną: »boże!
Co daje ziemia, płodzi morze,
Co się w człowieka gnieździ łonie —
Złoto, jaśniejsze ponad zorze,
Perły, srebrzystsze ponad tonie,
To męstwo i tę wierność zdepc przy swoim tronie...«

I róż uśmiechem błyszczą ściany —
Strzałą, zmieniając się, wysłańce
Hen! aż z Saronu ten wybrany
Czar na dalekie słali krańce;
I leją strugi skier kagańce,
A drogi zapach w każdej skierce...
Hebany stołów, patrz, rzezańce
Kryją w sydońskie już kobierce —
Aż ślepie jasne oko, aż omdlewa serce.

I arf tysiączne zabrzmia dźwięki
I cytr stłumionych i psalterzy,
A tych melodyi ciężar miękki
Na piersi słodkim jarzmem leży...
Wybranych kobiet wieniec świeży
Porankiem łona, nocą włosów
Tumani wodzów, ćmi rycerzy,
Uj! a spienione fale głosów
Tryskają, że dotrzną snąć do bram niebiosów.

I kipi wino, nad złocisty,
Rzeźbiony brzeg się w żar przelewa:
»Ten Rehobotu kryształ czysty
Takim zwierciadłem nie olśniewa!
Lecz nad ten płomień, co rozgrzewa,
Nad świętej studni chłodne blaski —
Niech pieśń prawnuków o tem śpiewa —

Droższe królewskiej zdroje łaski:
O cześć ci, strojny w zwycięstw i względów przepaski«.

— »A ci z Karmelu i z Libanu
I z pól szerokich Ezdrelomu,
Gdzież są, by złożyć czynsz swój panu
I nagiąć karku w jego domu?
A wszakże głos mój siłą gromu
Aż do ich granic skalnych sięga?
A wszak z skalnego spada złomu
Piorunujących grzmień potęga,
Aż w krwawy szmat się skłębia ich jordańska wstęga?!

Czyż łąk karmelskich bujnej trawy
Nie wypasają białe stada?
Ofirskich skarbów stos jaskrawy
Komuż w tajemną dań przekłada
Żeglującego wnuk pradziada?
Cedrami-ż Liban nie owity?
Czyż owoc słodki z fig nie spada?
Nie sączy-ż galban miodosyty,
By król woń jego wdychał, miłością upity?

Może to gniazdo, to poddańcze,
Słońce mych względów nazbyt grzeje?
Może w zanadrzu węża niańczy?
Wskrzeszam zuchwałe ich nadzieje?
Hej! nim zmrok pierzchnie, nim zadnieje,
Nowe wyostrzyć dam topory,
Nowych ukazów grad posieję —
Jakież to będą plonne zbiory,
Jakimiż to zaznaczę drogę w przyszłość wzory!

Motłoch, słuchajcie! jest jak fala,
Która, szerokiem mknąc łożyskiem,
Nad brzeg kłębami się przewala,
Że nawet tron twój podścieliskiem:

Smagnij ją młyńskich kół biczyskiem,
Kiełznaj kamiennych tam lejcami,
A bezpieczeństwo złączysz z zyskiem,
A wypchasz spichlerz swój skarbami —
Hej! smagnę ja tę falę, załśni dzień nad nami!...«

A wtem wśród gładkich ścian izbicy,
Gdzie alabastru błyszczą śniegi,
Widmo płomiennej o! prawicy
Płomiennych liter znaczy ściegi:
»Dni twych zliczono już szeregi
I rozkosznego dni Babelu...
Ojciec twój skończył... Nim się biegi
Gwiazd u rannego skończą celu,
Ty skończysz... to lud boski... jam jest w Izraelu...«

— »To nic!... z gorączki płód wylęgły!...
Wino fantomy w mózgu stwarza...
Zbyt silne państwa mego węgły,
Żaden rys władcy nie przeraża...
Dni policzone... Jak rozżarza
Męskość to serce, świeżość duszę!
Trosk życie króla nie przysparza,
Nawet zgrzybiałych lat katusze
Melodyą wyszukanej rozkoszy przygłuszę...

Wyście widzieli?... Nic!... To złudy
Strasznej chcą gnieździć się ohimy
Tu, w mojej piersi, między cudzy
Młodego lata, między dymy
Słodkiego płynu... Wnet spłoszymy
Te czarne ptaki czarnej troski...
Ten płód przedwczesnej, chmurnej zimy...
On w Izraelu... to lud boski...
To nic!... wnet ja zaleję te ogniste głoski!

Otwórzcie skarbiec szczerozłoty,
Na stół postawcie święte czary,

To zdobycz ojca, gdy namioty
Rozbił w ich grodzie ojciec jary...
Ojciec zakończył... Mary!... mary!...
Siedmioramienny lichtarz wnieście,
Niech nas świętymi zleje żary!
Hej! ten lud boski w boskiem mieście
Czyż kiedy swemu bóstwu takie składał czeście?

O piękna Basmat! Tamar cudna!
Rzućcie te lekkie gazy z łona!
Piękność — tak, prawda! — nazbyt złudna,
Mrokiem przejrzystym osłonięta...
Lecz dziś niech każdy zmysł mój kona,
Niech go oślepią blasków zdrojem
Biódr kość słoniowa, piersi grona:
Starość wam drażnić... Mąż przebojem,
Zabiera, chwyta czaszę z jawnym niepokojem...

Wasi ojcowie, wasze matki
Spędzili żywot swój w żałobie,
Z ócz wypłakali łez ostatki,
Starli kolana swe na grobie,
Gdzie Syon w starej legł ozdobie,
Gdzie w jego bluszczach gad dziś hula —
Wy skry żywicie skrzystsze w sobie:
Rozkosz do piersi was przytula,
A miast świątyni macie hej! komorę króla...

Złam szyki zbrojne, porąb stolce,
W gruzy wyniosłe strzaskaj łuki,
Niech twych pochodów ostre kolce
Zesieką łany... Pchaj w swe juki
Sard, jaspis, szafir, złota sztuki;
Dłoń twa niech perz im w skibę rzuci,
Że z głodu zemrą praprawnuki —
To nic!... Zwycięstwo li, gdy w chuci
Kobieta zwyciężonych łono k'wrogom zwróci...

Skryj pierś, tę pierś, co nad miód słodsza,
Nad śnieg to bielsze ukryj brzemię,
Miriam! Miriam! ty najmłodsza
I najpiękniejsza w mym haremie —
Masz!... zawieś!... urim... z drogich płytek
Tarcz... arcykapłan, świętych plemię,
Zdobit nia piersi, gdy w przybytek
Szedł pański... I tyś z świętych i tyś jest z lewitek...

O zawieś!... zawieś!... szal mój wzrasta,
Szał to bez cugli, bez wędzidła,
Snać go poskromi li niewiasta,
Ona go w miękkie ujmie sidła...
Świętości ludu i prawidła
Stratuje człowiek w dzikiej sile,
Lecz nie okiełza tego skrzydła,
Co rwie go z siebie, kruszy w pyle —
O zawieś, czar mi cały odsłonisz za chwilę!...«

Wtem, gdzie barwista wre biesiada,
Gdzie miłość płynie, gdzie chuć pryska,
Z nienacka orszak zbrojny wpada
I »gdzie Baltazar?« okrzyk ciska —
Podwładnych jego miecz-to błyska —
»Ty psie lubieżny, ty ciemiężco,
Chwila poskromień patrz! jak bliska!...«

— — — — —
I padł Baltazar... A zwyciężcą
Babelu wnet Daryusz, król Medów...



2

EZECHIEL

1.

Oto jest słowo pisma — posłuchanie
Dajcie mu dzisiaj uszy powolnemi:
Nad rzeką Chebar, w Chaldejczyków ziemi,
Jak kwiat złamany, na niewoli łanie
Wiądnął Ezechiel wspólnie z bracią swemi,
On, prorok, który pańskie zrozumiał wezwanie.

Pan panujący, Jahweh, w zapalczywej
Złości na lud swój, jako w grzechach tonie,
Ukaże mu się w błyskawic koronie,
Rozwianych nakształt płomienistej grzywy,
I w oczy wichrem północnym mu wionie
I zleci, by szedł straszne opowiadać dziwy.

A od tej burzy, która towarzyszy
Rozkazom Jego, wstrząsną się posady
Nieba i ziemi: kamieniste grady
Z gór się posypią i las, wyrwan z ciszy,
Jęknie w swych gąszczach, pożółkły i blady,
I woda, niby piersią, głębiemi zadyszy.

Kreatur wszystkie, jakie są rodzaje:
Lew i pantera, ryś i tygrys dziki
W rozdzierające wnet popadną ryki
Na głos Jehowy, co obłoki kraje;

Orły w przepaściach zadrzą, jak osiki,
I łania, przerażona w lotnym biegu staje.

I prorok ręką zasłoni swe oczy
Od onych blasków i, na pół przegięty,
Słucha, jak rozkaz, w piorunach poczęty,
Do jego wnętrza, niby żar, się toczy,
Jak go biczuje gromowymi pręty,
By szedł pomiędzy braćmi podnieść głos proroczy.

Odporny duch ich i bezbożne czyny
Zatrzasną przed nim niegościnnie wrota;
O pomstę w niebo krzycząca sromota
Skoń mu pokalą tej samej godziny,
Gdy przed nich rzuci, niby garście błota,
Kałużę ich podłości, odpadki ich winy.

Ale nie taki cel boskiego męża,
Aby się lękał przed obelgą tłumu,
Co, jak kłos z ziarna, odarty z rozumu,
Na swych najlepszych dobywa oręża:
Śliny wśród wargi syczącego szumu,
Lub głupstwa, które bardziej truje, niż jad węża.



II.

A gdy umilknie głos, co w każdej łozie
I w każdym drzewie jękiem ech się sroży,
Kiedy w obłoki uleci dech boży
Na płomienistym cherubinów wozie,
W wór Ezechiel szorstkie ciało włoży,
U biodr wiszący w fałdach na grubym powrozie.

W puszczy prostego nauczon sposobu,
Między dwa polne, a twarde kamienie
Garść soczewicy i wyki pożenie
I ziarn jęczmiennych i czarnego bobu,
By na śrót utłuc i mieć pożywienie
Proroków, do pańskiego nieprzywykłych żłobu.

I on, co nigdy w swoim życiu całem,
Ażeby nie wejść z zakonem w zatargi,
Do nieczystego nie przyłożył wargi,
Upiekł podpłomyk, z sercem rozboleł
I pośród głośnej i krwawiącej skargi,
Przy ogniu, nasyonym odpadków kawałem.

»Panie!« — tak jęknie, pomieszawszy z piaskiem
Brodę, co w ciemnym opada kędziorze —
»Zawszem ja chodził po zakonu torze,
Zawsze ten umysł, nieskażon niesnaskiem
Z twemi ustawy, kapałem w jeziorze,
Błyszczącem twojej prawdy pozłocistym blaskiem.

Świadomy władzy, która drży nad nami
I sercom krwawe sprawia biczowanie,
Lub jest balsamem na ich krwawej ranie,
Nie tknąłem mięsa z tego, co zębami
Zwierz był poszarpał, i mej duszy, Panie!
Dotychczas jeszcze żadna zdechlina nie plami.

Lecz, gdy tak pragniesz, niechże me wnętrzności
Spali kęs chleba, upieczon przy gnoju!
Niech szarpiącego doznam niepokoju,
Niechaj mnie wyrzut kłuje nakształt ości,
Lub ostrych igieł albo pszczoł na roju —
Gdy pragniesz, niech w mem łonie wieczny trąd zagości.

Pójdę! jak laskę, podpłomyk przełamię
I część pod stopy Izraela rzucę
I tak im rzeknę: w tej skalanej sztuce
Waszych dziś losów tkwi ohydne znamię:
Po chleb, co raczej dać go głodnej suce,
Będziecie wyciągali niecierpliwe ramię.

Pokarm wam będzie wydzielon pod wagą,
Zgotowan w garnkach nieczystych; pod miarą
Wody wam dadzą, gdy na pastwę żarom
Pierś przy najmictwie odsłonicie nagą,
I wszystką siłę utracicie jarą
I na czczość waszą plaga upadnie za plagą.

Czuję swą duszę, jak sierpem podciętą
I wysmaganą, jak gromów maczugą;
Przecież, żem zleceń Twoich wiernym sługą,
Ku obrzydzeniu, Jahweh, i ku wstrętom
Przed ich obliczem część rozgryzę drugą
I wchłonę na znak hańby tę strawę przeklętą.



III.

W ziemi Telabib, u twardych wybrzeży
Chebarskiej rzeki, w niewoli dziedzinie,
Ezechiel ręką ku pojmańcom skinie
I, zaryknawszy nakształt rannych zwierzy,
Gdy strzał samotną nawiedzi pustynię,
Spożyje chleb i w ciżbę prorocstwem uderzy.

I wielka groza owładnie ich duchem:
Z zapalczywością w wrzącej krwi i oku
Skoczą dokonać pomsty na proroku,
Związać go sznurem, skrępować łańcuchem,
Na wstyd go podać wśród zbitego tłoku
I zamknąć przeniewiercę we więzieniu głuchem...

Lecz w wieszczem słowie większa jest potęga,
Niż w złościach tłuszczy: nad rozżartym ludem
Ezechiel cudów zapanuje cudem,
Skra, co się w wnętrzu z bożych skier wylęga
I nieskalana jest powszednim brudem —
Tą skra, co patrz! w swój rydwan najzaciętszych wprzęga.

»Stójcie« — tak prorok krzyknie ponad tłumem —
»Gniew wasz, jak burza, zerwał się daremnie,
Waszą on duszę zakryje w swą ciemnię,
Lecz prawdy Pańskiej nie zgasi i szumem

Słów Króla Judy nie zgłuszy: przezemnie
W tej chwili Jahweh swoim przemawia rozumem!

Na falach wichru — od rodzinnej strony,
Od bram świątyni, słyszę, drgają hymny,
W cześć złotych cielców wznoszone, i dymny
Obłok z kadzielnic widzę rozkłębiony,
A ołtarz boży odarty i zimny,
Kapłani sami święte zdeptali zakony...

I w żużelicę zmienił lud się wszystek:
Co było srebrem, miedzią i żelazem,
W piecu występku stopiło się razem
W rudę spaloną; nędzny tam dziś chłystek,
Gdzie był bohater; orzeł stał się płazem,
A silny dąb osiką, drżącą jako listek...

Jeruzalemskiej wstyd i hańba córce:
Ciało jej ludu jest, jak owy kubek,
Nieczystą ciecżą nalany pod czubek,
Jak rozjechany wóz przez bogoburce,
Precz porzucony, bez gwoździ i śrubek,
O kołach potrzaskanych i luźnej rozwórcie...

I oto na znak tego splugawienia,
Tego upadku, co wśród nas się zjawił,
Jam własne wnętrze nieczystem splugawił.
I na ten jeszcze znak, że pokolenia
Będzie Jehowa w swoim gniewie pławił,
Równając je z zastępem wrogiego plemienia.



IV.

Od puszczy Dyblat jęknął wiatr, żarzewie
Wraz z skalnym żwirem sypiąc dookoła;
Opoki, nagie wysunawszy czoła,
Zdały się topić w jego dzikim śpiewie,
Hufcom, zmienionym w głąz, podobne zgoła —
Skąd przyszedł, by skamienieć, żaden rozum nie wie.

Ezechiel zamilkł, sam jak skamieniały;
Poblądł, snąc życia nie czuje już w sobie,
Na dół, ku biodrom, zwisły ręce obie,
Wzrok martwy wpił się nieruchomie w skały,
Przygasty, senny, jak gdyby w żałobie
I we łzach nieskończonych źrenice spłowiły.

Lecz naraz spłonie, jak pochodnia żywa,
Gdy ją zapalą pośród gęstej nocy;
Z ocz jego naraz, jak pociski z procy,
Skra się za iskrą lotem wydobywa:
To Jahweh dał im swej ognistej mocy —
Moc Jahwy na proroka płomieniami spływa.

I tak do braci swojej prorok rzecze:
»Oto duch boży, wionawszy od góry,
Ducha mego ze śmiertelnej skóry
Wyrwał i poniósł na boleści miecze —

Tam, gdzie Libanon kraje ciemne chmury,
Gdzie Jordan ciężkie fale, pełen smutku, wlecze...

Rychło go powiodł w przybytek rozpusty,
Gdzie posiew grzechu plenną znalazł rolę,
Między dwie siostry, pomiędzy Aholę
I Aholibę, różanemi usty
I białą piersią biorących w niewolę
Wsze zmysły i łamiących je, by zeszkłe chrósty.

I oko moje spostrzegło makaty,
W Tyrze dzierzgane przekunsztowne wzory;
Od krwi czerwiejsze sydońskie bisiory,
Złotych wezgłowi taki skarb bogaty,
Że zbyt kowniejszej nie znajdziesz komory,
Choć przeszedłbyś od końca do końca przez światy.

W alabastrowych krużach światło płonie,
W złocie na czasie kadzielnic przekutem,
Cyzelowanem pierwszych mistrzów dłutem,
Kłębią się w dymy najprzedniejsze wonie,
To lecą w górę przedziwem rozsnutem,
To na dół opadają w ciężkich mgieł robronie.

A na wezgłowiach miękkie ciała leżą:
To Aholiby i Aholi ciała;
Żar od nich bije, oko iskrą pała,
Zęby do śmiechu głośnego się szczerzą,
Piersi falują — żądza się rozlała
Po członkach, nieodzianych skromności odzieżą.

Na okół łożnic zalotników zgraje:
Assyryjczycy i młodzieńcy z Kohy,
W hyacynt strojni, zmiatający prochy
Jedwabnistymi płaszczami, o staję
Błyszczący złotem — tłum rozrzutny, płochy,
Co duszę razem z kiesą za uciechę daje.

I wnet rozpustne ogarną ich wiry;
I dech swój topią w wszetecznic oddechu,
A potem hojnie do naczyń grzechu,
Tak, jak się rzuca do kadzielnic mirry
Garście za garścią, sypną pośród śmiechu
Klejnoty — topaz, beryl, onyks i szafiry.

I duszę moją ten widok zaboli
I Jahweh gniewem napełni mi serce:
Skądże wam przyszło zbierać przeniewierce
Koło swych łożnic — rzeknę do Aholi
I Aholiby —, skąd stawać w rozterce
Ze czcią za szych, z pogańskiej przyniesiony roli?

Ojcowie wasi — znałem ich oblicze,
Bogate w dumę — w krwi padali z ręki
Tych, których synów na swój tapczan miękki
Ciągniecie dzisiaj, suki niewolnicze,
Godne zaprawdę, by wam głośne jęki
Tłumiły echem razów nieprzyjaciół bicz...

Rozum wam każe — tak ku mnie cedzicie,
Gryząc zębami wstrętne szyderstw ziarna!
A Jahweh mówi, że mądrość to marna,
Jeżeli hańbą chce okupić życie,
Lepsze męczeństwo, lepsza śmierć ofiarna,
Niż rozkosz w splugawionym znaleziona bycie.

I patrzcie! za to, żeście nagość swoją
Kazały odkryć w kupczącym zapale
Assyryjczykom, urągając chwale
Ojców, co marli, naodziani zbroją
Cnoty, w służalstwa nie skąpani kale,
Ja na was — mówi Jahweh — ściagnę rękę moją...

I co się z waszych narodzi uścisków
W ten czas dzisiejszy, skalany nierządem,

Będzie skarłate, obrzucone trądem,
Jak gad pełzliwe, nie znoszące błysków
Dnia promiennego, tak, jak wy, pod sądem
Szlachetnych, co nie gonią w ślad hańbiących zysków.

A was — słuchajcie! mówi Pan Zastępów —
Gdy wam z rozpusty wyschnie białe łono
I kiedy do cna już wam gnieciono
Piers dziewczości, rzuci, nakształt strzępów,
Nieobrzezanych zalotników grono,
Lub nakształt kości, z mięsa obżartej przez sępów...

Takie panuje bowiem wszędy prawo:
Rzuca się flaszę, kiedy już bez wina,
I miecz się rzuca, gdy przyjdzie godzina,
Że jest poszczerbion, albo nawskroś rdzawą
Śniedzią przegryzion, jako już nie wszczyną
Odwagi, gdy do walki trzeba stanąć ławą.

A wasze ciała będą jako flasze
Próżne, bez płynu, który ogień nieci,
Lub jako miecz ów, rzucon do rupieci;
A gdy rzemienie wstydu dłoń odpasze
Z biodr, w pożądliwe by przywabić sieci,
Nie żar, lecz ckliwość wzbudzą zalecanki wasze.

I pełni wstrętu, ci, co wczoraj jeszcze
Do łon się waszych, jako psy, łasili,
Z wielkiego gniewu w tejże samej chwili
Do stóp was rzuca, w kolan schwyca kleszcze
I bić was będą i nakształt badyli
Podepcą, nie zważając na próśb waszych dreszcze.

Nie! wasze łkania — mówi Pan nad pany —
Jeszcze w nich większą zaciekłość rozzęgną:
Krzykną i zewsząd, jak wicher, nadbiegną
Ich sojusznicy, wodze i hetmany

I ciżba ludu i dom wasz oblegną
I z waszą wnet słabością w krwawe pójdą tany.

I uczyniwszy pośmiejch z waszym żalem,
Zedrą z niewolnic suknie złotolite,
Zabiorą skarby, występkiem zdobyte,
I dom ich zniszczą — każdy z nich szakalem
Stanie się dla was, wstydem nieokryte —
Służalcza ty Samaryo! grzeszne Jeruzalem!...«



V.

Na twarde głązy, na rozgrzane piaski
Nad rzeką Chebar, w Chaldejczyków ziemi,
Mroki ciałami złożą się chłodnemi,
Słońca ostatnie rozpędziwszy blaski:
Gdzieniegdzie tylko oczy świecącemi
Zabłyszczą widma — gwiazdy, jak płonące trzaski.

Tłum się rozbiegnał, spoczynku spragniony,
Prorocze słowa rozbierając w skrusze,
Co mu pociekły płynnym ogniem w duszę,
Lub tak raniły, jak miecz wyostrzony;
Straszne milczenie ogarnęło głuszę,
Jak gdyby świat przygniotły ciemne nieboskłony.

Z pomiędzy żwirów, przerośniętych trawy
Zwiędłej resztkami lub zeschniętymi krzaki,
Jaszczur przelotne zakreśli zygzaki,
Lub wąz wypełźnie, jak ten żwir, sinawy;
Skrada się cicho, niby rabuś jaki,
Ostrożnie czyhający wśród nocnej obławy.

I prorok, zmilkłszy, na kamieniu spocznie
I twarz zmęczoną w chude dłonie skryje.
Lecz wnet żrenicę, niby martwą, wbije
W tę dal bez końca, w tę tajemną mrocznię,

Co się nad światem, jak kłęb dymu, wije,
Że, zdaje się, na świat ten upadnie niezwłocznie.

Patrzy i patrzy i słuch swój wyteży:
To łuny błyszczą na przyszłości niebie,
Syon w zwaliskach swoje mury grzebie;
Od strzał poświstu, od szczęku oręży,
Od łkań, ginących w wojennej potrzebie,
Na okół wszystka ziemia, jak szeroka, rżęży.

Łzy popłynęły po Ezechiela
Zwiędłych policzkach, gdy tak ujrzał duchem,
Jak lud wybrany ginął pod obuchem
Babilończyka, co drogę zaściela
Jego trupami i brzęczy łańcuchem,
Pod jarzmo swe zginając karki Izraela.

I ze żałoby ogoliwszy włosy
Głowy i brody, jedną część ich spali,
A drugą część ich potnie ogniem stali,
A trzecią część ich porzuci na losy
Wiatru, co zawiał, by na jego fali
Ginęły tam, gdzie łany lśnią krwawemi rosy.

I »Jahweh! Jahweh!« — jęknie — »Jakże srodze
Dłoń twa karząca upadła na braci:
Jednych posiekli babilońscy kaci,
Drudzy w straszliwej zginęli pożodze,
Inni, jak włos ten, co się z wiatrem traci,
Po świecie się rozpierzchli, upadając w drodze.

O Jahweh! Jahweh! lud ten nieszczęśliwy,
Pomimo winy w sercu mojem leży;
Ongi, jak cedra, i smukły i świeży,
Dziś, jak wiór, suchy, jak kosodrzew, krzywy
Pod klęsk ciężarem, sługa, bez rycerzy,
Na pastwę wroga rzucon pośród obcej niwy.

A tu na ziemi ojczystej, na łące,
Ongi tak w blaski bogatej i wonie,
Noc swoje czarne rozpostarła dłonie
I w lód zmieniała, co było gorące:
Grób tu przy grobie w mrocznych mrokach tonie
I wszędy tylko kości, kości bielejące...

O Jahweh! Jahweh! powstrzymaj swe ramię!
Dosyć straszego, jak pomór, przykładu!
Niech się z zeschłego puszcza winogrodu
Pędy zielone; daj widome znamię,
Że żywot jeszcze nie zginął bez śladu,
Że spajać umie ręka ta sama, co łamie«.



VI.

Przedziwna siła, wlana przez Jehowę,
Wieszcza nad wieszczę, w pierś jego wybrańców,
A która, nakształt płomiennych kagańców,
Przyszłości mroki rozświecasz grobowe
I pośród życia spustoszałych szańców
Rycerzy, pełnych męstwa, stawiasz hufce nowe!

Święta potęgo, co po dniach boleści,
Po latach nędzy, niewoli i sromu
Otwierasz bramy słonecznego domu,
Gdzie wielki ołtarz swobody się mieści,
Którego kalać nie wolno nikomu,
Na słupach chwały wsparty, na kolumnach cześci!.

Kiedy tak prorok w łzach bolesnych tonął,
Niebo swe bramy ogniste otworzy,
I z wielkim szumem ku niemu dech boży
Na cherubinów skrzydłach znów przywionął,
Znowu swą iskrę do piersi mu włoży,
Że znowu, jak pochodnia, prorok cały spłonął...

I rzeknie Jahweh: »Ta ci moc jest dana,
Jakiej zjadacze nie zaznali prości:
Lżeś był w sobie przepętn miłości,
Lżeś skon ludu krwawą odczuł raną,

Synu człowieczy, prorokuj do kości
Poległych wojowników, niechaj zmartwychwstaną«.

I Ezechiel, nad pole cmentarne
Ściągnawszy rękę, wielki głos podniesie...
I szum powstanie, jak w odwiecznym lesie:
Kości ruszyły! Pożółkłe i czarne,
Rozsiane w polu — kość do kości rwie się,
Składając się do siebie, niby wojsko karne!

Tysiąc goleni pełźnie, nakształt węży,
Ku swoim stawom; tam się kulą toczy
Czaszka za czaszką, wyżartemi oczu
Szukając swoich kadłubów; ku mężu
Poległych żebrom tu znów grzbiet przyskoczy,
Tam z trzaskiem tłum szkieletów już się w górę pręży.

Grzechot, syk, szelest, głuchy skrzyp, pękanie,
Jak gdyby burza łamała konary,
Jakby liść z drzewa padał zeschnięty, stary,
Jakby dalekie desek piłowanie,
Jakby po żwirze szły ładowne kary —
Tak trą się kość o kości na cmentarnym łanie.

Już kość przy kości; każda kość ma pieczę
W kości, co do niej, jak trzeba przystała;
I już się zwarła szkieletów nawała
W hufiec olbrzymi... I znów Jahweh rzecze:
»Synu człowieczy! Prorokuj do ciała,
Niech mięsem kość porośnie, skórą się powlecze!«

I kości mięsem porosły i skórą
Wraz się powlokły młodzieńczą i żyły,
Pełne krwi wrzającej, naraz wystąpiły
I lica naraz skraśniały purpurą
I oczy naraz życiem zaświeciły —
Rycerzy to kość z kości, co chodzili górą.

Krew ze krwi mężnych, co ludu zbawienia
Nigdy w służalstwie nie szukali nizkiem,
Dla nieprzyjaciół byli gromu błyskiem,
A dla własnego chwałą pokolenia;
Co, nie zwabieni zdradliwym uściskiem,
Gdy było tego trzeba, kończyli bez drżenia.

Znali ich, rączy do krwawego sporu,
Amorejczycy, moabscy książęta,
Chanaanitów szarańcza przekłęta,
Dzieci Ammona, królowie Hasoru,
Tyr ich wspomina i Edom pamięta
I Madyan i Filistyn, gorszy od pomoru.

I rzeknie Jahweh: »Prorokuj do ducha —
Od czterech wiatrów niechaj duch przybędzie!«
I duch zawładnął w zmartwychwstałych rzędzie,
I pieśnią boju zagrzmi puszczą głucha:
Rycerze pańscy suną w wielkim pędzie,
Rwać pęta niewolników, zbawiać z pod obucha.



3

CHRYSTUS

Wszystkie boleści, wszystkie łzy wylane
I wszystka ducha walczącego sprzeczność
Niech zabrzmia, w pieśni rozgrane.

Niechaj zwątpienie ozłoci słoneczność
Twórczego słowa — zwątpienie, co, w serce
Raz się zarywszy, trwa wieczność...

W życia przeboju, ach! w życia rozterce
Jakąż bezdenną grób przepaścią zieje,
Gdy gaśnie skra po iskerce;

Gdy znikające człek widzi nadzieje,
Kiedy na dążeń promieniste znicze
Noc swój ponury zmrok leje...

Są wówczas duchy, co straszne gorycze
Chłoną z spokojem, co z przedziwną ciszą
Patrzą w rozpacz oblicze...

Lecz są znów duchy, co, gdy »nic!« usłyszą,
Jęczą jak dęby, gdy dzikie wichury
Ich konarami kołyszą —

Rwą się w rozpacz, jak jodły, gdy z góry
Grom w nie się wryje, gdy śmiercią szeleści
Las naokoło ponury.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści
I krew rzucają z ropiejącej rany,
By znów zamilknąć — w boleści...

O Chryste Panie! o Ukrzyżowany!
Godziż się rzucać potępienia głazy
Na byt, jak łachman, stargany?...

Gdy drzewo rwie się, syczą tylko płazy;
Widz, co ma serce, jękiem mu zawtórzy
Na gromów chłoszczące razy...

A że się niebo ponad lasem chmurzy,
Że z drzewa jęki rozpaczy wycina
Piorun, wylęgły z tej burzy,

Czyjaż w tem wina, Chryste! czyjaż wina?



I.

NARODZENIE CHRYSTUSOWE.

Chwała na wysokościach Bogu,
a na ziemi spokój ludziom dobrej
woli! Ś-ty Łukasz. II. 14.

I będzie mieszkał wilk z ba-
rankiem, lampart z koźlęciem; także
cielę i szczenię lwie!

Jezajasz. XI. 6.

Na wysokościach chwała Bogu! chwała!
Na ziemi spokój ludziom dobrej woli!
Zadrżij z radości! zadrżij, ziemio cała!

Bo czas nadchodzi, gdzie świat ten wyzwoli
Potęga serca i ducha potęga
Z tego, co rani, i z tego, co boli.

Wszystkie żywioły, które złość rozprzęga,
Że w bezprzestannym ścierają się boju,
Połącz y w jedno promienista wstęga!

I będzie cisza w miejsce niepokoju,
I w miejsce żółci nastaną słodycze,
Będzie zwycięstwo po walkach i znoju.

I tam, gdzie szumią niedostępne dzicze,
Kłosa lśnić będą w złotych blaskach słońca,
A blaski będą, jako sny dziewicze:

Ta wszystka ziemia od końca do końca
Zaróżowieje od rannych promieni,
Bo oblubieniec idzie i obrońca;

Bo mąż ów idzie, co światłem wśród cieni,
Co przed wiatrami osłoną, co w suszy
Będzie jak woda żyźniących strumieni...

Rozetlij iskry wśród ogniska duszy,
O ziemio grzeszna, lecz od dzisiaj święta,
Rodzie królewski, do dzisiaj pastuszy...

Wygładźże twarz swą, bo troską pomięta,
Świecie!... On, patrzaj! sieje ziarno pszenne,
I błon da owoc, twoją ręką zżęta.

I używanie będzie już niezmiennie...
I będzie słońce po burzliwej chmurze,
Po zmrokach nocy jasne światło dzienne...

Nastanie zgoda w zwaśnionej Naturze:
Lampart z kozłębem, z barankiem lwie szczenię
Będą igrały na libańskiej górze.

I wszystek byt ten okryje odzienie
Sprawiedliwości... Tak, nowe orędzie
To sprawiedliwość i spokoju tchnienie...

LUCYFER.

Kiedyż to będzie! Ach! kiedyż to będzie!...



II.

CHRYSTUS W NAZARECIE.

Oto Panna pocznie i porodzi
syna, a nazwie imię jego Immanuel.

Jezajasz. VII. 14.

A ty, dzieciątko, prorokiem Naj-
wyższego nazwane będziesz.

Ś-ty Łukasz. I. 76.

A dzieciątko ono rośło i uma-
cniało się w Duchu, pełne będąc
mądrości. *Ś-ty Łukasz. II. 40.*

A gdy się modlił, stał się inakszy
kształt oblicza jego.

Ś-ty Łukasz. IX. 29.

Albowiem sprawiedliwość będzie
pasem biodr jego, a prawda prze-
pasaniem nerek jego.

Jezajasz. XI. 5.

A oto w nędzy, pośród wyrobniki,
Chował się boski Odkupiciel świata,
Którego imię poniosą języki

Na krańce ziemi — tam, gdzie bluszcz oplata
Bogatych zamków błyszczące marmury,
I tam, gdzie drzemie w zmrokach chłopska chata.

I ani berła i ani purpury
Nie miał ten mocarz, ten król nad wiekami,
A tylko duchem sięgał niebios góry.

O Nazarecie! Pomiędzy miastami
Władniesz, jak prorok między rzeszą tłumną,
Choć prorok w szmatach, a tłum łśni blaskami

Złocistej szaty i postawą dumną.
O, ty się równasz, nędzny Nazarecie,
Lichym na pozór, ale pełnym gumnom...

I tak się działo, że niezwykle dziecko
Wyrasta w mistrza w ubogiej mieścinie,
Co miała zostać najbogatszą w świecie!

A czas, jak potok, płynie rącho — płynie
W warsztacie ojca, to u stóp Taboru,
Albo w zielonej, jordańskiej dolinie:

Gdyż często, porwan melodyą choru,
W który się łączy wszystek płód Przyrody,
Do cedrowego biegł nad Jordan boru.

I tutaj dumał ten marzyciel młody,
Wszystką swą duszą wsłuchany w poszumy
Lasu, w śpiew ptaków i w szelesty wody,

I w takich chwilach, wśród takiej zadumy,
Rychło się cały w swym duchu przemienił,
Rychło rósł, wzrastał nad zwykłe rozumy:

Ten ptak, co nucił; las, co się zielenił;
Jordan, co jęczał sercem smętnej fali;
Kwiat, co się w blaskach słonecznych rumienił;

Tabor i Sulem, co w niebieskiej dali
Gubiły szczyt swój, jemu braćmi byli;
Z niemi się cieszy i z niemi się żali

W chwili radości i w boleści chwili,
I z niemi strzela nad ziemię, w niebiosy...
A gdy się dzionek do upadku chyli

I na błóń kwietną występują rosy,
Wraca znów w miasto, tam, gdzie jego uszy
Rażą zawiści rozkłócone głosy.

I nie mógł pojąć w swej natchnionej duszy,
Dlaczego braćmi nie czują się ludzie,
Gdy on był bratem nawet leśnej głuszy...

I patrzył na to, jak w powszednim trudzie
Łamiał się serca; jak ich blask promienny
Gaś, zamiast w rajskiej spotężnić ułudzie.

I patrzył na to, jak o chleb codzienny
Toczą się walki, a narzędziem boju
Duch, w niską chciwość i zawiść brzemienny.

I zdało mu się, że na rany znoju
I ziemskiej troski potrzeba balsamu
Niebieskiej ciszy, rajskiego spokoju.

I myślał prawdę wnieść na miejsce kłamu;
I słowo boże stawić w miejsce chleba;
I ludzi powieść do boskiego chramu.

Nie w imię ziemi, ale w imię nieba,
Co nań tak patrzy pogodnemi oczu,
I w Jego imię złączyć ludzi trzeba.

A On mu nie był bogiem, co się mroczy
Chmurą ołowiu i grzmi gromem gniewu,
Że się aż ziemia w swych posadach toczy:

On był mu dźwiękiem słowiczego śpiewu;
On był mu lasu łagodnym szelestem;
On był mu szmerem rzecznego przelewu...

On był mu słońcem, co promiennym gestem
Kaze tym kwiatom, aby kwitły z nowa,
Aż kwiat mu każdy odpowie: patrz! jestem!

A chociaż przed nim lali inne słowa
Uczeni w Piśmie, gdy za próg jasniwy
Chodził w sabaty, daremna ich mowa:

Do serca głos ich nie płynął zdradliwy —
Pyszni, szeptali, odchodząc pobici:
Skarz »syna krnąbrnych«, ty Boże Gniewliwy!.

I tak przed duszą codziennie mu świeci
Ten promyk boży, aż się w dzień przemieni,
Przed którym zadrzą nietoperze skryci...

I tak codziennie z tajemniczych cieni
Gorących marzeń zarysy wychodzą
Mistrza, proroka i blaskiem promieni

W serce mu godzą i w ducha mu godzą,
Aż serce rwie się, aż rwie duch się cały...
I Pisma słowa potężne wnet zrodzą

Nowe nadzieje i nowe zapały:
Sam się wczytywał, lub słuchał, podróże
Czyniąc na Syon, w ten gród Pańskiej chwały.

I zadrżał nieraz, gdy świątyni stróże,
Starce zsiwiali i o chwiejnym głosie,
Śmierzyli ludu rozplakane burze:

»Słuchajcie, młodzi i wy w białym włosie!
Miejcie nadzieję; za chwilę swe czoła
W górę wzniesiecie, jak kwiaty po rosie...

Bo czas już idzie, gdzie w mury kościoła
Wejdzie król nowy, arcykapłan nowy,
I będzie radość i szczęście dokoła.

I spocznie na nim święty duch Jehowy,
Ten duch mądrości, duch siły i rady —
I, wielki, wstąpi na tron Dawidowy.

I w nim nie będzie fałszu ani zdrady,
Gdyż sprawiedliwość będzie biodr mu pasem,
A prawda mieczem... Zniknie czas zagłady!...

Na świętej górze źródł krwi owym czasem
Już nie popłynie... I nikt już nie będzie
Chępił się biczem i krwawym zapasem...

I będzie wielki ten wódz w wodzów rządzie...
I równą miarą narodom wymierzy,
»Którym go dałem«, mówi Pan, »na sędzie!...

Wstrząśnijcie serca, niechaj serce wierzy,
Że Panna poczne i porodzi syna:
W nim wasze szczęście i zbawienie leży...«

Tak za godziną płynie mu godzina
Nieraz... On słucha i marzy i słucha:
Zostać tym zbawcą, myśl jego jedyna.

Wszak czuje w sobie tę potęgę ducha,
Wszak codzień rwie się za owem weselem...
Nawet — rzecz dziwna, o nakłońcie ucha! —

Matką mu panna... I rozkoszy zieleń
Duch mu się stroił, gdy mu w bożym domu
Jakiś głos szeptał: tyś tym zbawicielem...

LUCYFER.

On zbawicielem?... Zbawicielem? komu?



III.

KUSZENIE NA PUSZCZY.

I był tam na puszczy przez
czterdzieści dni, będąc kuszony od
szatana. *Ś-ty Marek. I. 13.*

Tedy proroków i mędrców sposobem
Zwrócił się w stronę, gdzie go puszcza głucha
Przynęca ciszą i żądz ziemskich grobem.

W spokoju serca i skupieniu ducha
Dla rozstrzelonej chciał poszukać braci
Złocistych ogniów wiecznego łańcucha.

Albowiem wierzył, że narodu kaci,
Faryzeusze i arcykapłani,
Winni rozdziału, co ich w moc bogaci.

I że z natury ludzie nieskalani,
Przez nich straciwszy swoją czystość łona,
Odbili łodzie od szczęścia przystani:

Błądzą wśród morza, gdzie fala spieniona,
Bez gwiazdnych sterów i bez blasków słońca,
Poddani mocy czarnego eona.

I zmrok ołowiu od końca do końca,
I straszna przepaść bez dnia i bez brzegu,
A znikąd jasny nie spływa obrońca...

I jako fale na tym morskim ściegu
Pienią się, syczą i biją do góry
I znów spadają w rozhukanym biegu,

Tak i duch mistrza, troskami ponury
O przyszłość świata, ten statek zmurszały,
Rwie się i rwie się, to znowu, do chmury

Podobien ciężkiej, gdy ją słońca strzały
Na szmat poszarpią, błyska jako szczera
Jasność poranna, jak dzień zmartwychwstały.

A wokół niego właśnie noc zamiera:
Przez skał szczeliny, co ponad nim wiszą,
Świt oto drogę złocistą otwiera.

I, purpurową jaśniejący ciszą,
Wstaje powoli wszechmocny król świata,
Że aż z podziwu strop i ziemia dyszą.

A razem z słońcem ku niebu ulata
Orzeł, ten władca przestrzeni powietrznych,
Co na urwiskach nagich tron swój splata...

Ugodził mistrza tych blasków słonecznych
Urok wspianiały i ich druh, co sięga
Sfer niedostępnych, onych sfer przedwiecznych.

I czuł, że owa przedziwna potęga,
Dzierżąca berło nad szczęściem i bólem,
Atomy wnętrza w jedną siłę sprzęga:

Czemużby nie miał i on zostać królem
Nad tymi ludźmi, co są jako pszczoły?
Ponad tym światem, co rojnym jest ulem?

Czemużby nie miał wieść ich na wesoły,
Kwiatem świecący rozłóg i na wrzosa,
Pachnące miodem?... I duch ponad czoły

Rósł skalistemi, wciąż rósł, aż w niebiosy
Sięgnął słoneczne — w wyż nad orła wzloty,
W wyż ponad słońce. I usłyszał głosy:

»Powiedź ich dotąd! Na skrzydłach tęsknoty
Wiedź, mimo cierni!... Tu kraina ducha
I tutaj szczęście i tu raj jest złoty!«

I oto, jako ogniwa łańcucha
Czarnoksięskiego, te nieznane tony
Wiążą mu duszę... I mistrz słucha... słucha...

»Zostań tu władcą nad nimi!... Korony
Innej nie pragnij nad ducha dyadem...
Tak!... Królu duchów, bądźże pozdrowiony!«

A oto dźwięków tych niebiańskich śladem —
Zdawało mu się, że echy tajnemi
Inne się głosy wiją opok spadem —

Że skały szemrzą: »Bądź-że królem ziemi!«
Że drzy ostokrzew i jałowiec szepce:
»Bądź królem ziemi!« że wargi spiekłemi

Dyszą mchy żółte, które stopą depce:
»Bądź królem ziemi!« że mu głuży zdala,
Jak rozpieszczona dziecina w kolebce,

Górskiej rzeczułki rozigrana fala:
»Bądź królem ziemi! o bądź królem ciała!«
I innym ogniem znów się mistrz rozpala.

I był jak żeglarz, którego łódź mała
Jest w środku morza, między dwoma prądy,
I drży, gdy jasna jej gwiazda nie pała.

Lub jak wędrowiec, którego wielbłądy
Między dwie rajskie zawiodły oazy:
Któraż z nich wybrać? nazbyt trudne sądy!

A wtem znów z niebios bez plam i bez skazy
Spływa na pierś mu światłość wyłaczana
I znów, jak złoto, dźwięczą mu wyrazy:

»Synu! nad ziemię!... Słuchaj swego Pana
I ojca swego, a pogardź szeptami,
Które cię kuszą, to szepty — Szatana!«

A więc nad ziemię! Ku niebu! Skrzydłami
Ducha czystymi popłynię ku onej
Głębi, co tak go blaskiem słońc swych mami.

I weźmie z sobą ludzki ród, zbiedzony
Żądz i trosk ziemskich gniotącemi juki,
By zbawiającej doznał tam obrony.

I taka będzie treść jego nauki:
Co jest doczesne, niech zgina swe szyje
Przed tem, co wieczne! Górskich rzek rozhuiki

Głuchną, gdy piorun ze grzmotem się wije,
Bo rzeki — ziemskie, a grom — głosem nieba.
Orły — po niebie, dołem pełzną żmije.

Wszystka namiętność i ciała potrzeba
Niechaj ustąpi przed niebieskim celem,
Ach! nawet żądza powszedniego chleba...

Wtem zaczął łaknąć... Nadziemskim weselem
Pojąc wciąż ducha, dla ciała nie chodził
Za leśnym miodem i pożywczem zieleń.

I zdało mu się, że go Szatan zwodził,
Że naokoło szepcą skały zdradne:
»Rozkaż głazowi, by się w chleb przerodził!

Rozkaż, boś królem; masz berło wszechwładne,
Które jest — z nieba!... Chcesz przemienić ludzi?
Przemień i głazy, do zmian więcej snadne«.

I wnet w nim Szatan święty gniew rozbudzi:
I rzecze prorok: »Odstąp precz odemnie!
O chleb się dzienny syn boży nie trudzi!

Widzisz tych kruków zlatującą ciemnię?
Wszakże nie sieją, ni w gumna zbierają,
A jednak żyją!... O, kuszysz daremnie!

A owe lilie, które płaszcze mają
Stokroć piękniejsze, niż Salmona szata,
Czy tę jedwabną tkankę same tkają?

Idź, gdzie cię czeka pomrok i zatrata!
Idź precz! Mym chlebem to słowo jest boże,
A me królestwo nie z tego jest świata!...«

A oto z twarzą, jak czerwone zorze,
Płomieniejące boleści płomieniem,
Że ich początek, słońce, pada w morze,

Fioletowem okryty odzieniem,
Jak w czas zachodu wschodnia niebios strona,
Zjawia się przed nim on, co jest Zwątpieniem,

Co Świadomością jest życia, że kona,
I prawd bezwzględnych Negacyą, i sumień,
Drżących bluźnierstwem wśród ludzkiego łona,

Że niema kresu ostatnich rozumień,
Wszechwładnym królem; on, ta Przepaść myśli,
Co w uniwersum, jako w morzu strumień,

Toną bez śladu; on, co-ć koło kręśli
W mózgu i mówi: »To wszechbytu koło:
Patrz, jacy mędrce tu przyśli i wyśli,

A któż z nich odgadł, choć pali się czoło,
Gdzie peryferyi koniec i początek?...«
On, co przenigdy nie spojrzał wesoło,

Bo jest Boleścią, jest Żalem; on, Wątek
Daremnych pragnień — on przed mistrzem stanie,
I w jego serca najskrytszy zakątek

Wnikając blaskiem swych oczu, że ranie
Stało się krwawej podobne, wyrzecze:
»Mistrzu!...« A prorok: »Odstąp precz, Szatani!...«

»Mistrzu! daremnie!... Ja w dusze człowiecze —
I to przekleństwem jest mojego bytu —
Wbijam zwątpienia siedmiorakie miecze...

I od nadiru aż do zenitu
Wypełniam przestwór swymi tchy... Ja jestem —
Razi cię blask mój — nie aerolitu

Jasnym odłamem, który spadł z szelestem
Z gwiazdy jakowejś, ale gwiazdą samą,
Choć blask jej krwawy krwawym tobie chrzestem...

Kiedy byt pierwszy uwił poza bramą
Niebios swe gniazdo, jam go — tak w swem nizkiem
Klną rozumieniu — skalał grzechu plamą.

Nim tyś się z ziemskim spokrewnił ogniskiem,
Zanim się stałeś tem, czem jesteś — człekiem,
Jam był!... A darz mnie, jakim chcesz, nazwiskiem:

Wysłańcem piekła, które swoim ścięciem
Zatruwa serca; Szatanem, Zagładą —
Zwij Lucyferem, jak w echu dalekiem

Zwać będą wieki, co, jak mgła, się kładą
I, jak mgła, znowu się kłębią i giną,
Mknąc w przyszłość smutną, ach! w tę przyszłość bladą —

Jestem, czem jestem: Piekłem, Zbrodnią, Winą.
Dość, że mam władzę — nawet ponad tobą...
Mistrzu! czy widzisz tę mgłę zmroków siną?«

— A właśnie strop się okrywać żałobą
Nocy rozpoczął; w miejsce dziennej krasy
Wznosił się zwolna cień, właściwy grobom. —

»Widzisz, proroku, tę mgłę?... Tak, to czasy,
Co idą... Tłum ten, co z mroków czeluści
Wypływa, widzisz?... Patrz! patrz! to opasy,

To fabrykanci i bankierzy tłusci,
Twego królestwa obrośnięci sadłem...
Lecz cyt!... to głos ich!...

CHÓR FABRYKANTÓW I BANKIERÓW.

A juści! A juści!

Że nie pracuję ni broną ni radłem,
Że nie dźwigamy kosi ani młota,
Że nam po licu rumianem — pobladłem

Chyba z nadmiaru słodkiego żywota —
Nie lśni pot słony, nie cieką łez zdroje,
A jednak mamy chleb i kiesę złota...

Przyjdź two królestwo, zniwecz ziemskie znoje —
Codzień ta prośba ku tobie ulata,
I mamy, Chryste! to królestwo twoje!

CHRYSTUS.

Moje królestwo nie z tego jest świata!

LUCYFER.

Spojrzyj! Za nimi tłumy idą nowe,
Lecz jak odmienne! Podarta ich szata,

Nogi się chwieją, na dół chylą głowę;
Twarze pożółkłe i zeschłe, jak liście,
Jako te liście — widziałeś — palmowe,

Które samumu zabójczego przyjdzie,
Od pnia urwawszy, swym żarem spaliło...
Na puszczy samum przewiewa ogniście,

A wśród tych tłumów nieprzepartą siłą
Szaleje nędza i patrzaj! co robi
Z ludzi rodzących się zdrowo!... Mogiła

Dla nich jest życie, kiedy tamtym żłobi
W marmurach łaźnie rozkoszy... O boży
Zbawco!... Posłuchaj!... Gdybym mógł, Hijo

Zmieniliby się... Patrz, oni!...

CHÓR NAJMITÓW.

W obroży,
Jak psy, kroczymy i, jak psom, żyć trzeba
Ogryzkiem kości, aż się w grób położy

To ciało!... Mówią, że nie warcim nieba —
Że my zbrodniarze... Ha! jeśli zbrodniarze,
To chyba z głodu! Chleba! chleba! chleba!

Spojrzyj, o Chryste, na zorane twarze,
Oczy zapadłe, na dłonie, pęcherzy
Pełne, na grzbiet nasz, co w słonecznym żarze,

Gdy tak pracujem — nie na nas —, swój świeży
Szpik już utracił, a przecież, o Chryste!
I on był wiśny!... Patrzaj, jak to mierzy

Pot i krew naszą to plemię nieczyste,
Ta czerń przed nami... A gdzież to przebywa
Twa sprawiedliwość?... Czy jasne, czy mżyste,

Panie, tve niebo, codzień się wyrywa
Głos nasz ku tobie: Ukróć nasze znoje!
Przyjdź tve królestwo! Twoja dobroć żywa!

GŁOS Z NIEBA.

Synu! ku niebu! obróć oczy swoje,
Synu, od ziemi, tam, gdzie niebios brama!

CHRYSTUS.

Nie z tego świata jest królestwo moje!

LUCYFER.

Zbawco! i dla tych odpowiedź ta sama?...



IV.

KAZANIE NA GÓRZE!

Aleć ja wam powiadam: miłujcie nieprzyjacioły wasze.

Ś-ty Mateusz. V. 42.

A gdy się znajdzie między liczną rzeszą —
Od miast dziesięciu płynie rozśpiewana
Czerń, z Jeruzalem gwarne tłumy spieszą,

By zmiłknąć przy nim i posłuchać Pana
I aby serca napoić spragnione
Kroplami miodu, sączących się z dzbana

Ust jego kraśnych — przed tłumem ochronę
Mistrz na pagórka znalazłszy wyżynie,
Spocznie, zgarnawszy w tył pukle złocone.

A lekki wietrzyk, co od morza płynie,
Całunki kładzie na jedwabne włosy,
Jak gdyby jego ukochał jedynie.

Źrenice patrzą łagodnie: niebiosy
Ranne takimi nie płonieją wdzięki,
Kiedy na kwiaty srebrne sieją rosy.

Tłum, jako fala, a on ruchem ręki,
W górę wzniesionej, uciszy jej szumy
I sam rozpocznie w ton szeleścić miękki:

»Błogosławieni, którzy cierpią z dumy
I kłamstwa bliźnich, kamienne urazy
Spłacając chlebem...« I słuchają tłumy:

Przykazań bowiem Mojżeszowe głązy
Innemi dotąd nauczały słowy:
»Oko za oko! krew za krwawe zmazy!«

A on im mówił: »To jest zakon nowy,
Abyście swoje miłowali wrogi
I nałożone ponieśli okowy...

Idźcie spokojni wśród ciernistej drogi,
Gubiąc żrenice między błękitnemi
Chmur osłonkami, tam, skąd promień błogi

Spływa na ziemię i tchnieniami swemi
Złe jak i dobre zarówno ogrzewa.
I będzie boże królestwo na ziemi,

I uczujecie, jak wam raj dojrzewa
We waszych sercach!!...«

LUCYFER.

Przyjdą takie chwile —

Ja, com rozkazał z świadomości drzewa

Jeść człowiekowi, że przez to w mogile
Świat się słoneczny zatopił, oczami
Patrzę jasnymi w tę przyszłość —, gdzie sile

Twojej dobroci, która ich tak mam, i
Ufając szczerze, będą w wrogów matnię
Padać narody... »Niech on się nad wami« —

Krzykną — »zlituje!« I wraz jak ostatnie
Zdepcą je plemię, co w milczeniu głuchem
Znosi swe jarzmo i zębów nie zatnie

Do krwawej zemsty... Tak je swym obuchem
Zgniółszy, w twe niebo, od krwi tamtych mżyste,
Spojrzą, wołając, opętani duchem:

»Hej! skończyliśmy, spojrzij na nas, Chryste!...«



V.

BURZA NA MORZU.

Tedy powstała wielka nawałność
wiatrów, a wały biły na łódź, tak,
że się już napełniała.

Ś-ty Marek. IV. 37.

I zmrok zapadał i przygaśł dzień biały,
I czarne chmury, wstawszy na zachodzie,
Pełzły i lazur powoli skrywały...

A on rzekł uczniom: »Odwiążcie swe łodzie!
Płynmy, gdzie głodne wyczekują tłumy,
Choć zmrok na niebie i choć zmrok na wodzie«.

A gdy faliste ogarną ich szumy,
Mistrz głowę schyli nad barki krawędzie
I tonie wszystek wśród sennej zadumy.

Zapewne myśli, jaki czas to będzie,
Gdy między ludy z sypką wieków falą
Słów jego święte popłynie orędzie.

Jakie się blaski w wspólny żar skryształą,
I jak promieniem wieczystego świtu
Zalśni twarz ziemi, i jak się rozpała

Serca i duchy, podsycane bytu
Rajską rozkoszą, i jak ziemia czołem
Słonecznych niebios dosięgnie błękitu...

A wtem nad morskim zajęczy rozdołem
Tysiącem gromów szalejąca burza,
Smaga bałwany, wirujące kołem,

Rozdziera żagiel, łamie maszt i nurza
W smołowej fali ową łódź rybaczą...
Mistrz śni... Snów złotych nic mu nie zachmurza.

I towarzysze, przejęci rozpaczą,
Zbudzą go ze snu i rzekną: »Śpisz, Panie,
A nawałnice ślad swój śmiercią znaczą?!«

A on z obliczem, jasnym, jak zaranie,
Słodko płonącym różowymi czary,
Które w snach jego świeciły, powstanie

I tak im powie: »Ludzie małej wiary!
Czyż nie uśmierzy wichrów syn człowieczy?«
I zmiłkły wiatry i pierzchnął mrok szary...

LUCYFER.

Słuchaj! Gdy burza zakrwawionych mieczy
Wraz się rozpęta — może w imię twoje —
I świat zanurzy w rozpienionej cieczy,

Czyż twe zaklęcia uśmierzą krwi zdroje?



VI.

CHRYSTUS W DOMU FARYZEUSZOWYM.

A oto niewiasta, która była w mieście grzeszna, dowiedziawszy się, iż siedzi w domu faryzeuszym, przyniosła alabastrowy słoik maści; a stanawszy z tyłu u nóg jego, płacząc, poczęła łzami polewać nogi jego, a włosami głowy swojej ocierała i całowała nogi jego i maścią mazała.

Ś.ły Łukasz. VII. 37—38.

Pewnego razu w domu Faryzeusza
Zaszedł ten rzecznik biednych i wzgardzonych...
Był właśnie wieczór, gdy ciepły porusza

Powiew ogrodem i cicho w zielonych
Dźwięczy gałęziach cedrowego boru —
Harfiarz tajemny, na strunach złożonych

Blasków, ginących w półmrokach wieczoru,
Grający pieśnię gasnącego życia...
I ku blizkiemu płynie pieśń jezioru,

I, na jeziorze doznawszy rozbicia,
Z szelestem fali i jaśminów wonią
Napowrót wraca, jak obraz wśród śnicia,

Co zbiegł na chwilę, lecz z jaśniejszą skronią
Jawi się znowu... A tam srebrne chmurki,
W żar pokraśniawszy, gonią się i gonią,

Jako jagnięta, puszczone z obórki,
Gdy białe runo okraśi im zlekką
Słońce, spływając na wrzosów pagórki.

I natchnionego rośnie pierś Człowieka,
I cały świat ten ogarnia swem tchnieniem,
I dźwięczy z wiatrem, jak dźwięcząca rzeka.

A wtem od tyłu zbliży się ze drżeniem
Jedna z tych kobiet, co na ustach ludzi
Żyją, pogardy znaczone imieniem.

Do nóg mu padnie i płacz się w niej zbudzi;
A gdy mu łyzy jej nagie stopy zroszą,
Żar ich palący chłodną maścią studzi.

Potem, ujawszy kędziory, z rozkoszą
Na alabastru płynące ramiona
I na dwie piersi, które łyzy podnoszą,

Zwinie je w ręcznik niewiasta wzgardzona
I stopy jego obetrze swym włosem
I znów pomaści i znowu jej z łona

Płyną łyzy ciepłe... Przejęty jej losem,
Mistrz na nią patrzy ze słodyczą w oku,
Serce jej sercem ogarnia... Ukosem

Spojrzy nań Szymon, siedzący przy boku
Gościa świętego, myśląc potajemnie:
»Jawno-grzesznica! snać nie wiesz, proroku!«

Lecz Mistrz, zajrzawszy w jego duszy ciemnię,
Wielki tą chwilą i miłością wielki,
Rzecz do niego: »Czemu wąpisz we mnie?

Czy ty wylałeś oliwy kropelki
Na moje włosy, gdym progi izbicy
Twojej przestąpił?... Czyś ty z tych, co belki

Nie chcą dopatrzeć we własnej źrenicy,
A zdźbła dopatrzą pod powieką brata?«
I, zapłonawszy ogniem słońca-święcy,

Która rozprasza zmrok Kościoła-świata,
Rozpocznie dźwięczyć i słów swoich dźwięki
W jedną, przedziwną melodyę posplata:

»Otom ja przyszedł, aby wygnać męki,
Łzy i pogardę i stawić miłości
Ciche ołtarze... I skinieniem ręki

Zbiorę tych wszystkich, co biedni i prości,
I tych, co w grzechów chadzają odzieży,
Przyjmę do siebie za najmiłszych gości

I do królewskiej posadzę wieczerzy...
I to zakonu mojego zadatkem
W czasie, co idzie i do mnie należy...«

LUCYFER.

Ha! ha! ha! ha! ha! Oto jestem świadkiem,
Jak twej nowiny zwiastuny-wybrańce,
Z licem, modlitwą i pokorą gładkiem,

Z okiem, co, płonąc, jak więzień kagańce,
Odsłania zmroki ponure ich ducha,
Rzucają ślinę na losów skazańce.

I wzgarda płynie im ze serca głucha:
»Precz, grzeszni, od nas, wszak my sprawiedliwi!
Wielbim Chrystusa i — Chrystus nas słucha!«

Czy ty to słyszysz?... Czy to cię nie dziwi?...



VII.

U STÓP CYSTERNY W SYCHAR.

Rzekł jej Jezus: — Niewiastol
wierz mi, iż idzie godzina, gdy ani
na tej górze ani w Jeruzalem nie
będziecie chwalili Ojca.

... Bóg jest duch, a ci, którzy
go chwalą, powinni go chwalić
w duchu i w prawdzie.

Ś-ty Jan. IV. 24.

I potem, judzką opuściwszy ziemię,
Skierował krok swój ku rodzinnej stronie,
Gdzie nazarejski gród w spokoju drzemie.

Była spiekota... Słońce żarem płonie,
W drodze dalekiej opuszczają siły,
I pot wystąpił Mistrzowi na skronie.

A kroczył łanem, co jak smak niemiły
Był w uściech żydów, gdyż zakonu słowa
W sercu Samaryi już się dawno stliły...

Szedł i na piersi opadła mu głowa;
I cała postać łabędziej urody
Jako kłodzina chwieje się palmowa:

Zapewne dumał nauczyciel młody,
Dlaczego ludzi rozprzęgły zakony,
I jakby wspólne zgotować im gody.

I tak, myślami i drogą znudzony,
Gdy się przybliżył pod mury Sycharu,
Usiadł na stopniach cysterny, ochrony

Szukając w cieniu przed strzałami skwaru.
I oto palmy rozpuściły włosy
Nad tą postacią, tonącą wśród czaru

Rozkosznej wiosny. Dołem kwietnie wrzosa,
Na które słońce zlewa ogień złoty,
A tam, ponad nim, błękitne niebiosy

Porozpinały szafirów namioty.
W jasne, przeźrocze, niezmierzone dale,
Kieruje dusza swe natchnione loty.

I zdało mu się, że w rajskim kryształu
Zatopił serce i że dusza wzrasta
W nadziemskim czarze i w nadziemskiej chwale...

A wtem, od strony niewiernego miasta,
Bosa i z krużką miedzianą na głowie,
Jakaś ku studni zbliży się niewiasta.

I Mistrz wnet ku niej zwróci się i powie:
»Pozwól mi napić się z twojego dzbanka,
Pragnę, a w drogi dopiero-m połowie«.

I zadziwiona tem Samarytanka:
»Aż żydowi pić z nieczystej krużki?«
Rzecz, pańskiego zmierzyszy baranka.

»Wy w Jeruzalem, a my na tej górze
Chwalimy Pana — zwyczaj nasz odmienny,
Więc nie tą stroną czynić ci podróże«.

A Chrystus, twarz jej ujawszy w płomienny
Uścisk swych oczu, do niewiasty rzecz
Głosem, co płynie, jak strumień, brzemienny

W słodkie rozdźwięki, dźwiękiem, który ciecze
Jako ten ruczaj, skoro spłyną lody,
Albo tak bije, jak serce człowiecze,

Gdy zakosztuje rozkosznej swobody
I w niebo rwie się swobodnemi pióry —
»Przyjdzie« powiada, »o, przyjdzie czas zgody!

I nie Garizim, ani święte mury,
Lecz duch człowieka w świątnię się zmieni,
I Ducha sławić będą duchów chóry...«

LUCYFER.

Oto spostrzegam wśród dalekich cieni,
Jako tam władnie krwiożercze bożyszcze...
I widzę łunę pożarnych płomieni.

Wśród nich, przy krzyku »Poniszczę! poniszczę!«
Czciciele Ducha z wzniesionemi czoły:
Świat jest jak łzami przygaszone zgliszcze,

A na niem wznoszą kamienne kościoły.



VIII.

CHRYSTUS POŚRÓD SWOICH.

Iż to ten nie jest on, syn cieśli?

Ś-ty Mateusz. XIII. 14.

Ale Jezus rzekł do nich: Nie jest - ci prorok beze czci, chyba w ojczyźnie swojej, a między pokrewnemi i w domu swym.

Ś-ty Marek. VI. 4.

... A nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego, żeś nie poznała czasu nawiedzenia twego

Ś-ty Łukasz. XIX. 44.

A gdy w ojczyźnie, między braćmi swymi,
Rozpocznie ducha otwierać źródlika
I tłum olśniewać potoki jasnymi,

Od razu rzesza, w swej zawiści nizka,
Mrok, co nie znosi, że jest nad nim zorza,
Złośliwe jady w piersi jego ciska:

»A skąd ci nasze prostować bezdroża?
Wyrzucać grzechy i wzywać pokuty?
I skąd ci naraz taka mądrość boża?

Czyś stalowemi nie pracował długi
Razem z swym ojcem, z tym cieślą, w warsztacie?«
I dalej mroził go ten powiew luty:

»Posłuchaj, chłystku! Patrzaliśmy na cię,
Jakoś się wspólnie z swymi braćmi chował
I z siostry swemi, na podwórku, w chacie,

Która jest niemal bez ścian i bez powań?
A jak ci dzisiaj być mistrzem?... Do ławy
Powróć ojcowskiej, boś swój krok skierował

Na tor fałszywy!... Lepszy cieśla prawy,
Niż mistrz, gdy z cieślów i gdy może głodny:
Idź, przy warsztacie szukaj sobie strawy!...«

A on, spojrzawszy na ten tłum wyrodny,
Co ma dla swoich serce, jako złomu
Kawał skalnego, odpowie, pogodny:

»Któż jest prorokiem w swoim własnym domu?
Niech słowo prawdy, jako źródło, pocieczy,
Szemrzący słodko; niech potęga gromu

Rwie się i pada na serce człowiecze:
I źródło tu ścichnie i piorun przeminie! —
Jasne to prawo, Salomona miecze

Są tutaj zbędne!... A jednak!... Zaginie
Ród, który pluje na własne proroki!
Wznosćcie ołtarze, budujcie świątynie —

Ołtarze runą i świątyń wysoki
Szczyt się zapadnie, a i głaz na głazie
Nie pozostanie, tylko czarne zmroki

Zawisną ciężko nad tobą, ty płazie,
Który się czołgasz bagniskiem i jadem
Bryzgasz wokoło na święte, że w zmazie

Twej śliny kończą!... Ten król, co dyadem
Kryje w niebiosach płomienny, ołtarze
Ze swych proroków uczynił; ich śladem

Każe wam spieszyć i przy nich wam każe
Rozpalać serca, nie widząc uciechy
W nikłym odmiennych całopaleń żarze!...«

LUCYFER.

Jeśli to prawo — a prawem są grzechy,
Albowiem płyną z człowieka natury,
Którego grzesznym On stworzył; a śmiechy

Wzgardliwe z zbawców są grzechem, ponury
Wyraz mającym — poco deptać Jemu
Płazy, stworzone płazami, i mury,

Które te płazy zbudowali swemu
Stworzycielowi, szpecić ruin zieleń?...
Złe wszak złe rodzi, i On równy złemu,

Bo stwórcą grzechu jest i niszczycielem!



IX.

WJAZD DO JERUZALEM.

Raduj się wielce, córko Syonu,
wykrzykuj, córko Jeruzalem: oto
król twój przyjdzie tobie sprawiedliwy i zbawiciel, on, ubogi, a wsiadający na oślicę i na źrebię, syna oślice.
Zacharyasz. IX. 9.

W święta przaśników, by uczcić zakony,
Do Jeruzalem z swymi apostoły
Spiesz, rodzinne porzuciwszy strony.

A kiedy Syon, kamiennemi czoły
Sterczący w niebo, przed sobą spostrzeże,
Rzecz do uczni, natchnion i wesoły:

»Oto, słuchajcie! w świętych bram ościeże
Niechaj z tryumfem wejdzie syn Człowieczy!
On, co przybytku Salomona strzeże.

On, co ma swojej powierzone pieczy
Kubki serc ludzkich i ducha ich misy,
By je oczyścił z kalającej cieczy.

On, który królestw pękających rysy
Spaja słów glina, pragnąc w zamian grzywny,
By ludzie byli gołębie nie lisy!...

Idźcie, gdzie ogród widnieje oliwny,
A ze źrebięciem znalazłszy oślicę,
Przywiedźcie do mnie, aby się przedziwny

Wypełnił sen ów proroka, żrenicę
Kiedy podnosił ku niebu i nucił:
»O rozchmurz czoło! o rozpromień lice,

Córko syońska! Ten, co cię zasmucił,
Dziś cię pociesza! Na wspaniałej pychy
Tronie cię sadza ten, co w pył cię rzucił!

Bo oto k'tobie, pokorny i cichy,
Zbliża się król twój, pod jarzmo swe bierze
Wątlą oślicę i ten płód jej lichy«.

I wraz uczniowie przywiodą mu zwierzę,
Ukochanego wsadzą na nie Mistrza,
Na grzbiecie miękkie złożywszy odzież.

I rosła dusza, ponad źródło szklistsza,
Nad toń cudowną w Syloe cudniejsza
Ponad promienne słońce promienistsza.

A ciżba ludu wzdyć się nie pomniejsza,
Sypie się z miasta, niby ziarna żyta:
»Któż jest ta postać, juści-ć nie dzisiejsza?

Czyjeż to lico?« — tak zdumiona pyta —
»Bielsze od lilii? To oko tak ciemne
W swoim kryształ, jak głębia, okryta

Cieniem palmowym, lecz lśnista: podziemne,
Widać, na dnie jej nie spoczęły szlamy —
Kryształ i granit tu sobie wzajemne...

To on-ci, rabi Joszua, my go znamy!
To on-ci, prorok z Nazaretu, iście
Bez żadnej skazy, wkracza w Pańskie chramy!!!«

I, jak na stepie rozbijały liście,
Faluje tłum ten, lub jak brzozy w lesie,
Co włos rozwiały wśród wiatrów rzęsiście.

I głos falisty ze serca im rwie się:
»Cześć! On nas z nocy, jak zorza poranna,
Zbawia! On tron nasz z rumowisk podniesie!

Ojcom w pustyni spadła z niebios manna,
A tyś nad mannę, synu Dawidowy!
Hosanna tobie! Hosanna! Hosanna!«

LUCYFER.

Heach! patrzajcie! jak to chylą głowy,
Jak to podołki swoich sukien ścielą
I liść pod stopy rzucają palmowy!

Myślelibyście, że ich dusze ziela
Strojne niezwiędłą na wieki, że zbożne
Nigdy już w nich się iskry nie spopiela.

Lecz wnętrza ludzkie to krzewy przydrożne:
Ledwie czerwcowy deszcz z nich kurze spłucze,
A oto w świeży kał i pył znów możne...

I znowu trzeba, aby przyszyły tucze
I sok im swymi odświeżyły gromy
I z liści warstwy pozmywały krucze.

Lub są te wnętrza jako garście słomy:
Rzuć w nie iskierkę, a przy tej iskiecce
Rychło wystrzelą w ognia blask widomy.

Ale za chwilę tam, gdzie było serce,
Jak żar ten jasne, szary popiół legnie,
Którym się zbrudzisz... O, w dziwnej rozterce

Fałsz i szlachectwo tu staje, aż zegniesz
W pył się — szlachectwo... O, w dziwnym tu boju
Słabość i siła, aż siłę ubiegiesz

Bezduszną słabość... A potem w spokoju
Zgniłym zamiera całe ich jestestwo,
I pustka tylko po walce i znoju...

I na tych wnętrzach stawiasz swe królestwo?...



X.

W OGRODZIE OLIWNYM.

Tedy poszedł Jezus z nimi na
miejsce, które zowią Getsemane.

Ś-ty *Mateusz. XXVI.* 36.

Tedy im rzekł Jezus: smężna
jest dusza moja.

Ś-ty *Mateusz. XXVI.* 38.

Ojczel jeśli chcesz, przenies
ten kielich odemnie.

Ś-ty *Łukasz. XXII.* 42.

Tedy szedł, spragnion spokoju i chłodu,
Gdy wre mu serce, gdy dusza się pali,
Do Oliwnego z uczniami Ogrodu.

Tutaj, nad brzegiem Kidronowej fali,
Pod drzew zielonem, bywało, sklepieniem
Częstokroć siada i cicho się żali

Drzewom i wodzie, co serdecznem drżeniem
Liści i fali z prorokiem się łączą,
Z jego nadzieją i z jego cierpieniem.

Tutaj się myśli zawile rozplączą:
Ich burze zmieniają się w pogodne świty,
Dusza do marzeń o słońcu jest rączą.

Lecz dziś daremnie ulatać w błękity
Miesięcznej nocy, choć tak srebrną ciszę
Leje na cedry i oliwek szczyty.

Dziś, choć się fala tak wdzięcznie kołysze
I tak powabnie zaleca swe wdzięki,
Mistrz nie odpowie: »Szeleść dalej, słyszę!...«

Dziś, choć mu szepce natłok lilii miękkiej:
»Pij! wszak dla ciebie ronimy te wonie«,
Mistrz po ich kielich nie wyciągnie ręki...

Dzisiaj on wszystek w swej boleści tonie,
Do krwi mu serce szarpia przeczuć kleszcze,
Aż krople krwawe wystąpią na skronie.

Spojrzy ku miastu, nad miastem złowieszcze —
Widzi — w oddali zwieszają się chmury:
Jutro ogniste posypią się deszcze.

Na Jeruzalem, na syońskie mury
Krwawy się strumień pożarów rozleje...
Oto już błyska, już płomień ponury

Strzela ku niebu, że na niebie dnieje,
Choć noc posępna wypełnia przestworze...
Wala się gruzy, tłum smagany ziele,

Woła na zbawcę... lecz znaleźć nie może...
Żył — wczoraj!... Tyr-by i Sydon słuchały,
A Jeruzalem... Boże!... Boże!... Boże!...

Spojrzy na miasto: mgieł przejrzystych zwały
Srebrzą się w blaskach, które księżyc wplata
W ich przedzę nikłą, że zdaje się cały

We mgłach rozpływać — tak, że jego szata
Ze mgły i srebra kryje wszystką ziemię —,
A w mgłach i blaskach tych srebrnych... Golgata!

Miejsce straceńców!... Zaś tam! dołem, drzemie
Krzyża gwiazdzista konstelacya!... Panie!
Oto Twe ziarno, Twe szlachetne plemię,

Któremuś świata oddał panowanie,
Przeraża sfora, puszczone ze smyczy!
Pot nań wystąpił, sił mu już nie stanie...

I drżąc przed widmem mogiły, zakrzyczy —
Spojrzawszy w niebo, zajęczy boleśnie:
»Ojczy! odejmij ten kielich goryczy!«

Potem ku uczniom, pogrążonym we śnie,
Zwróci się, prosząc: »Ach! czuwajcie ze mną!
Smutna ma dusza aż do śmierci! Wcześniej

Śmierć ta przychodzi!...« Zbawca, co, nad ciemną
Cedrę, sterczącą na najstromejszym grzbiecie
Gór libanońskich, wyrósłszy tajemną

Ducha potęgą, lał balsam po świecie,
Czerpie ochłodę z zbyt płytkiej głębin
Serc, by je w oddźwięk spieniły zamiecie!

U jałowcowej to cedra krzewiny
Szuka schronienia, gdy burza się rusza,
Ulgi ranny orzeł u szczygła!... »Mrok siny

Idzie już po mnie... smutna jest ma dusza!
Czuwajcie ze mną!... Czuję to: nie długa
Chwila, gdy życiem zatętni ta głusza;

Przyjdą ci wszyscy, co wczoraj mnie strugą
Kwiatów zlewali, hosanna! wołali,
Że echo smugi podawały smugom —

Na krzyż przybiją gwoździemi ze stali...
Ach! a na usta jeden z was mi złoży
Żar pocałunku, który zdradą pali...«

Gdy się tak skarży przed płazem syn boży,
Zaszcześnie bronie, zapłoną pochodnie
I ogród zleją blaskiem krwawej zorzy:

To tłum się zbliża, który mierzy zbrodnie
Nie bolem bratnich serc, lecz — o sromoto! —
Swem własnem sercem, bijącym wyrocznie...

»Gdzie mistrz, Judaszu? Wszakże wzięłeś złoto?«
A wtem go Judasz całunkiem przywita:
»Bądź pozdrowiony, mój mistrzu!... Ten oto!...«

LUCYFER.

Patrzcie! o patrzcie! jaka krwawa świta
Prowadzi króla, gdzie wśród chmurnej ciemni
Tron mu zbuduje czerń, szaleń opita.

Zagrzmijcie śmiechem, duchowie podziemni!
Radości blaski rozniećcie ogniste:
Ludzie zdradzają, bo ludzie nikczemni,

Lecz Bóg, twój ojciec?... A gdzież On?... mów, Chryste!...



XI.

CHRYSTUS PRZED PIŁATEM.

Tedy powstawszy wszystko mnóstwo ich, wiedli go do Piłata. I poczęli nań skarżyć, mówiąc: Tegośmy znaleźli, że odwraca lud i zakazuje dań dawać cesarzowi, powiadając, że on jest Chrystusem królem.

Ś-ty Łukasz. XXIII. 1. 2.

I tak pojmuwszy go na rozkaz możnych,
Faryzeuszów i arcykapłanów,
Przed sąd zawloką pogromcę bezbożnych.

A za dni onych sędzią judzkich łanów
Był Pontski Piłat, Rzymianin, gdyż dźwigał
Syon już dawno jarzmo cbcych panów.

»Oto burzyciel« — krzykną —, »co się wzdrygał
Uchylić czoła przed godłem cezara
I przeciw Bogu bluźnierstwami żygał...

Ukarz! daj przykład! buntowników kara
Od zbrodni przyszłe straszy buntowniki,
Tron podtrzymuje ludzkiej krwi ofiara!«

I ulegając tej wichurze dzikiéj,
Którą tłum przed nim rozpętany huczał,
Jadem oszczerstwa ślinąc swe języki,

Spyta starosta: »Czyś to tak nauczał,
Bóstw hańbicielu i porządku wrogu,
Lud, co ci serce i mózg swój poruczał?«

»Odpowiadałem u świątnicy progu:
Co cesarskiego, cesarzowi zwróćcie,
A zaś co boskie, to oddajcie Bogu«.

»Uśmierzcie wrzawę, swą skargę porzućcie,
Nie widzę żadnej winy w tym człowieku,
Sprawiedliwości fałszami nie kłóćcie!...«

»Mienił się królem, a przecież od wieku —
Od Machabejów na tym tronie siedział
Wasz prokurator!« — bryzgną z łona ścieku.

»Aż to prawda?« — »Prawda, tyś powiedział,
Lecz me królestwo nie z tego jest świata,
Od tronów ziemskich zbyt to wielki przedział«.

»Idźcie!... Nie sięgnę ja po topór kata
Na kark niewinny... Fałszywego sędzie
W straszny swój uścisk orszak furyi wplata.

A gdy koniecznie chcecie krwi, niech będzie!
Dam mężobójcę, wydam Barabasa,
Lecz krwią niewinną w szalonym rozpędzie

Niechaj się ręka nie pokala wasza!
Wszak krew niewinna spada na prawnuki,
Trąd wszczepia w ciało, spokój z serc wypłasza...«

»Ehej! ukrzyżuj!« — wrzasną czarne kruki —
»Galilejczyka ukrzyżuj, co nowe
W władztwie cesarów rozsiewał nauki.

Wyżej nad nasze nosił swoją głowę,
A był żebrakiem... Wyrósł na śmieciisku,
A chciał tłumaczyć zakonu ośnowę...

Dziś nam urągał, a zaś jutro z błysku
Cesarowego zaszydzi... Myśl o tem,
Jutro sam cesarz przezeń w pośmiewisku!

Ukrzyżuj! pysk ten opętaj, co błotem
Rzucał na możne i święte tej ziemi;
Krew buntowniczą cesarz waży złotem...

Puść mężobójcę, niech się zbrodnia plemi —
Miecz w naszej dłoni, gdy k'nam przyjdzie, wściekła,
Ale przed ćmy nas broń buntowniczymi.

Wahasz się, sędzio? obawiasz się piekła?
Krew jego na nas, jego krew nie na cię,
A my ją zniesiem, choćby morzem ciekła.

Ehej! ukrzyżuj! wszak po takiej stracie
Pies nie zaszczeknie, a w niebezpieczeństwie
Cesar Augustus — sam cesarz, Piłacie!...«

»Weźcie! przybijcie! weźcie! w swem przekleństwie
Unurzcie człeka, który snąć jest czysty —
Wasza, nie moja wina w tem męczeństwie...«

LUCYFER.

I tak pokalał obraz promienisty
Sprawiedliwości, przed widmem cesara
Drząc sercem płazu i duchem służbisty...

I on, Chrystusie, na rdzeń słów tych zważa —
Dał cesarzowi, co jest cesarskiego,
Choć, czynsz ten płacąc, płaci czynsz — zbrodniarza.

Gdzież jest granica dobrego i złego
W tem, co rozkazem żądają cezary
Od swego tłumu, od służalcy swego?

Do jakiej godzi uciekać się miary,
Gdy dań zanosić przed trony potrzeba,
Gdy na ołtarzu trzeba kłaść ofiary?

Gdy wołać będą, słuchaj! w imię nieba:
»Dajcie im wszystko« — czyż im płaszcz ostatni
I czyż im rzucić kęs ostatni chleba?

Gdy w imię królów dusiecie płatni
Będą dławili narody, z ochotą
Czyż poddać karki i skończyć w ich matni?

Wszak krew jest zbrodnią, a czyż krew jest cnotą,
Gdy w hołd cesarów wylana? Świętością
Wszak życie ludów, a ma-ż być sromotą

Strzedz tego życia? Czyż rzucać je złościom
Władzców na pastwę i być jak zaprzańce?
A w późne czasy wszak ze żmij chytrością

Uczyć tak będą twoich prawd wysłańce...



XII.

GOLGOTA.

I przywiedli go na miejsce Golgata, co się wykłada: miejsce trupich głów.

Ś-ty Marek. XV. 22.

A ci, którzy mimo chodzili, bluznili mu, chwiejąc głowami swojemi.

Ś-ty Mateusz. XXVII. 33.

A o godzinie dziewiątej zawołał Jezus wielkim głosem: Eloi! Eloi! Lamma sabachtani, co się wykłada: Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił!

Ś-ty Mateusz. XV. 34.

Zasię przywiódłszy na puste go wzgórze,
Co od głów trupich zowie się Golgata,
I zdjawszy suknie — w królewskiej purpurze

Gwoli igraszki lśnił monarcha świata,
Co świat owładnąć pragnął sercem swoim —
Na krzyż przybili krwawą ręką kata.

I na skroń bladą, owiniętą zwojem
Cierni i głogów, pluje tłuszczą podłą,
Mieszając ślinę z krwi przeczystym źródłem...

I tak go między zbrodniarzy przywiodła
Myśl, co się rwała kawałami serca,
By duchom ludzkim nowe stawić godła!

I tak to w miejsce kwietnego kobierca,
Na którym spocząć winien prorok wzniosły,
Droga krzemienna i szczyt-trupożerca.

I barwne tłumy wciąż rosły i rosły:
Bogaci w szaty, obszarpańce wstrętnei,
A wszyscy śmiechu i uragań posty.

Na głuchem wzgórzu dzisiaj życie tętni,
Lecz życie zbrodni; tu, gdzie ani trawy,
Że serce ludzkie bije coraz smętniej,

Zgraja w radośne rozkłębia się wrzawy:
Pieni się, klaszcze, chichocze, lży, wyje,
Że aż zamiera w gardłach głos chropawy.

Rozpiera łokcie, w górę wznosi szyje,
Krzycząc: »Niech ujrzym!... Oto idą straże!..
Ustąpcie!... Dalej!...« Syczy, jak te żmije,

Jak w lód rzucona stał, gdy cała w żarze.
Plwa, zieje, wrzeszczy, jako psiarnia szczeka,
Jelenia w pustym złowiwszy obszarze:

»Ehej!... spojrzycie na tego człowieka!
Syna bożego!... Króla Izraela,
Który — tak głosił — na tron judzki czeka!

Hej! królewskiego-ś doczekał wesela!
Na wyniesionym, hejże! jesteś tronie,
A władzę z tobą dwóch łotrów podziela!« —

W ukrzyżowanych bowiem łotrów gronie
Konał ten Czysty, ten Człowiek bez winy,
Którego dusza, jak świt jasny płonie —

»Jedynowładnym jeśliś tej krainy,
Pokaż!... Z cedrowej zstąp teraz stolicy,
A przyjmą ciebie Dawidowe syny!

A jeśliś mówił: »Rozwalę świątnicy
Kamienne szczyty i w trzech dniach jej mury
Wzniosę na nowo«, rozkaż błyskawicy,

Niech gromem spadnie znad karmelskiej góry,
Rozedrze krzyż twój i ciebie w swym błysku
Stawi żywego i wróci znów w chmury,

Na galilejskiem wyrosły śmieciisku,
Pyszałku nędzny!... Psem w ciasnej obroży
Było strzedz tobie, ku dzieci igrysku,

Nazareńskiego podwórka!... Syn boży!...
Wstrętny bluźnierca!... Oto jak go słucha
Ten Bóg... ten Ojciec... nasz!!!« I tak się sroży

Wśród czarnych mętów ludzkich serc i ducha,
Pokalanego zawiścią i zdradą,
Ta nawałnica... A na krzyżu głucha

Zwolna zamiera pieśń boleści... Błądą
Twarz ściągłe bruzdy rysują: to skonów
Duchy swe ręce lodowate kładą —

I całe ciało, jak narzędzie tonów,
Drży... Każden muskuł, każda drobna żyła,
Jako ta struna, pośród milionów

Wibracyi drży... drży... Ach! to skarga była,
Że ci krzyżują, rzucają nań ślinę,
Których chciał zbawić... A potem jej siła,

Ukryta w duszy posępną głębinę,
Rośnie, wciąż rośnie, aż w rozpacz wyrośnie...
Mistrz śmierć odpycha i, zwróciwszy sine

Oczy ku niebu, zajęczy rozgłośnie:
 »Eloi! Eloi! Lamma sabachtani —
 Przecz mnie-ś opuścił? Boże! Boże!...«

TŁUSZCZA.

Sprośnie

Skończył ten człowiek — bluźnierstwem, co rani
 Czyste nam serca!... Ehej!... idźmy...

LUCYFER.

Boże!...

Bo... niema Boga!...

CHÓR ANIOŁÓW. Z niebieskiej przystani

Przypłynęliśmy, aby zgasić zorze,
 Gwiazdy i słońce ciężkim łez potokiem,
 Bo oto zagasł, co ziemi bezdroże

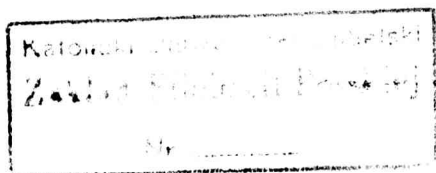
Oświecał duchem! Nad wielkim prorokiem,
 Nad synem Twoim, Boże! co się złożył
 Dziś do mogiły, niechaj żalu mrokiem

Serce się wieków zakryje... Przedrożył
 Boże-ś tę ziemię jego krwią... to błaha
 Czerń —

LUCYFER.

A kto stworzył czerń tę? Kto ją stworzył?

Hahahaha!...



III

PRZYGODNE

1.

RORATE COELI!

Rorate coeli!... Spuśćcie nam niebiosy
Wiarę w tę przyszłość, której nasze oczy
Prawie że dostrzedz nie mogą w zamroczy
Mgły, spadającej na zgnębionych losy.

Rorate coeli!... Prawdy nam potrzeba,
Aby rycerskie móżdż zachować zamię
W walce, gdzie fałszu dłoń szlachetność łamie:
W prawdy nas miłość uzbrójdzie, o nieba!

Rorate coeli!... Waśń, jak chytry złodziej,
Wciska się między bój toczące rzesze,
Roztrąca braci ku wroga uciesze:
Niech się nam jedność i zgoda narodzi!

Rorate coeli!... Snać nam sił nie stanie,
Tak wyczerpuje nas straszna Głgota:
Nim upadniemy pod krzyżem żywota,
W słabnące dusze wlećcie nam wytrwanie.

Rorate coeli!... Abyśmy nie byli
Jako wzgardzeni służalce, swą szyję

Sami chylący do ręki, co bije,
Dumę nam dajcie w tej upodłej chwili.

Rorate coeli!... Za ojców tych męstwo,
Co marli w bitwach i kaźniach, za twarde
Znoje ich synów, za dzisiejszą wzgardę —
Nie nam, lecz wnukom zgotujcie zwycięstwo!

Rorate coeli!...



II.

NARODZENIE CHRYSTUSOWE.

Zabłyśła gwiazda! Zapłonęła, złota!
Od skier jej sypkich niebo się rumieni!
Z pomroków wstaje wielki Dech żywota,
Co popłoch rzuci między rój szerszeni,
Jest bowiem Czynem, przed którym stoczeni
Jadem gnuśności zadrzą, jak w powodzi
Ulew sierpniowych te łany, z zieleni
Świeżej odarte, gdy w nie grom ugodzi!
Jak one mgły ponocne, kiedy dzień się rodzi!..

Zabłyśła gwiazda! Zbudźcie się, nędzarze,
Miejsca u pańskich nie mający stołów!
Gospodarz idzie, który wam okaże,
Że jest mu drogi takich gości połów;
Nie hekatombą poświęconych wołów,
Pod nóż na ciasnej wiedzionych obroży,
Lecz tłuszczem słowa żywicieli aniołów
Rozstrajający głód serca umorzy —
On Chrystus! On wybawca! Pomazaniec boży!

Ciałem się stało słowo! moc truchleje!
Przed garścią siana truchleje moc świata!
Wy swej radości otwórzcie wierzeje,

Niech dźwięk za dźwiękiem, jak promień, ulata
W przestwór daleki, niech się z szumem brata
Dzikich nawałnic, rzucających gromy,
By przez nie ziemia była w woń bogata!
Tak! hymn zanućcie, bo w tej wiązce słomy —
W tem sianie waszej siły leży znak widomy...

Każdy obłoczek, każdy błysk na niebie,
Każda roślinka, każdy płaz na ziemi,
Ostatni owad, co za żerem grzebie
Pomiędzy prochu grudkami nikłemi,
Niech się z uciechy połączą waszemi!
Pyłek, co w maju zapładnia te kłosa,
Że wypełniają ziarny się ciężkimi,
Szron, w który ranne zmieniły się rosy,
Niech drżą na podzwiek pieśni, płynącej w niebiosy!...

Miłość się rodzi! W stajence! Z ubóstwa
Idzie potęga, co dziwnemi słowy
Śród trędowatych zapanuje mnóstwa
I w chór szermierzy przemieni ich zdrowy!
Co w oczy ślepców rzuci promień nowy,
Ażeby patrzeć umieli, jak z ducha
Wznoszą się szczyty wspaniałej budowy,
Jak ta świątnica, nie martwa, nie głucha,
Żywymi płomieniami z swych ołtarzy bucha!

W stajni! Z ubóstwa!... Zamienia się w ciało
Przedwieczne słowo wśród najlichszych z ludzi...
Bo czyjeż ucho gdykolwiek słyszało,
Że ze krwi możnych wielka myśl się zbudzi?
Zimny ich oddech nieraz skrę wystudzi,
Dłoń bezlitośna nieraz szyję zgniecie,
Gdy się zapragnie wznieść nad kał, co brudzi!
Neroni tłumy postawią w poczecie
Męczeńskim — śnać już taki jest ich cel na świecie.

I wół i osioł zginają kolana
Przed tchnieniem boskiem, którem drżą przestworza!
Wszystka przyroda rozpoznała Pana,
Co berło dźwiga nad lądy i morza!
Gdy Sprawiedliwość, rodzicielka boża
Nowych porządków, w łachmanach się zbliża,
Żywioły rwą się z ukrytego łoża,
W jej cześć ich nuta, jak błysk, leci chyża,
A tylko ci ją wloką do stóp swego krzyża!...

Miłość się rodzi! Miłość w żłobie leży!
Patrzcie, słoneczne otwiera oczęta!
Na wargach uśmiech wypoczywa świeży,
I pełen woni, jak łąka nieścięta!
Miłość się rodzi! Zrywają się pęta
I lód topnieje, który serca ścina!
Jak tajemnica wiosny niepojęta,
Miłość się rodzi — bez plamy Kaina,
A czyż to tam echo jej poród przeklina?!...

To histryoni na cesarów tronie,
Służalców nędznych otoczeni świtą,
Którym zamarła sprawiedliwość w łonie,
Rozkazem złości szarpią pierś przeżyta:
I pną się ognie ku niebios błękitom,
Paleni żywcem tracą dech po dechu,
Tłuszcza wtoruje neronowym zgrzytom,
A tu, amfora spodlenia i grzechu,
Poppea klaszcze w uda z lubieżnego śmiechu...

Spieszcie, heloci, głodni, choć swą ręką
Złoto w chlamidy dla sytych dzierzgacie!
Spieszcie, oddani w moc liktorskim pękem,
Wy, co falerno w czasie nalewacie,
Gdy senatorów tłum w biesiadnej szacie
I w róż koronach z tej rozpusty rżęży!

Spieszcie i kończcie! Krew wasza nie w stracie!
Chrystus w jej kroplach, a Chrystus zwycięży,
Choć niema wilgnych kaźni i krwawych oręży!

I usłuchali, szli i zwyciężyli,
Jak dzień zwycięża ciemną noc...

.



III.

BÓG SIĘ RODZI!...

Bóg się rodzi!... Moc truchleje, co wołała »zab za zab!«
Krwawe zmaży krwią płaciła, tchnień litosnych gasząc żar;
Nowe, jasne idzie prawo, by przeniknąć mroków głąb
I miłością spór rozstrzygać i przebaczać w miejsce kar.

Bóg się rodzi!... Moc truchleje, co na ludu zgięty kark
Ma obrożę, albo topór, co swobodę depce w proch,
Sprawiedliwość i szlachetność na szyderczy niesie targ,
A czcicieli prawdy bożej we więzienny wtrąca loch.

Bóg się rodzi!... Moc truchleje, co dla siebie i swych sług
Chciwie wszystek chleb zagarnia, co obdziera innych z szat,
Aby sama lśnić w bisiorach, gdy w łachmanach głodny brat.

Bóg się rodzi!... Obnażonych i zgłodniałych idzie Bóg...
Biczowanych idzie zbawca; idzie sędzia a nie kat:
Miłość jego wielkie imię, a świątynią cały świat.



IV.

Z OPŁATKIEM.

Czegoby życzyć wam
W tę świętą noc,
Gdy betleemskiej gwiazdy jasna moc
Kieruje drogę swą od niebios bram
Ku waszym zbożnym chatom?
Kiedy w ten skrawy śnieg,
W ten mroźny szron
Spłynie do waszych utęsknionych łon
Słodką opowieść, że w żłobie ten legł,
Co odkupienie światom
Pragnął zgotować przez męczeńską krew?

Kiedy aniołów chór
Do waszych wrót
Zapuka cicho, mówiąc: »stał się cud!« *oluf*
Człowiek jest jako piękny, boży wzór,
Stworzony do swobody!
Kiedy wam szepnie tak
W ten krwawy dzień,
Gdy do ostatnich trzeba walczyć tchnień,
Aby na ciele różg nie został znak,
Aby po kaźniach młody
Nie zniszczał pragnień bohaterskich siew —

Kiedy obsiadłszy stół,
Ujawszy w dłoń
Białą opłatek, pochylicie skroń,
Albowiem każdy będzie żywiej czuł,
I że w ten wieczór wesela
Tylko na smutek stać
Głęb prawych dusz — + dot
Dziś, gdy nie wina, ale żółci kruż
Wychylać musi nasza droga brać,
Od brata i przyjaciela
Jakiż świąteczny chcecie przyjąć dar?...

Chcę wam otuchę wniesć...
W ten wielki czas
Jakiś się nowy grom obudził w nas —
Wy o tem wiecie, matki, których cześć
Roznosi drobna dziatwa;
Z krwiście stworzyły straż
Niezlomnych praw,
Więc zawoławszy: zbaw nas, krwi, o zbaw!
W wieczór dzisiejszy rozpogódźcie twarz;
Choć to ofiara niełatwa,
Cieszcie się dzisiaj z wszystkich mąk i kar.

A w tym zamęcie sił,
Gdy własny brat
Przeciwko bratu straszny wyrzut kładł
Na szalę czynu, co się w bólach wił,
Niech się dziś kaja i korzy,
Kto kłam wysuwał w bój.
A zasię ten,
Kto w prawdzie czystej snuł przyszłości sen,
Niech się raduje: Niepłonny był znój!
Z prawdy się rodzi Syn Boży,
Kruszyciel więzów i rozdawca łask.

✓ Błogosławiona bądź,
Chwilo, coś jest

Po to nam dana, by przez ofiar chrzest
Mogły się dusze ku wyżynom piąć
Boskiego objawienia, + ołot
Że człek, choć z prochu wstał,
Szatana zmógł,
Jeśli nie stracił wśród rozstajnych dróg
Żądy swobody! Blaskiem wszystkich chwał
Ona go opromienia,
Boć najprawdziwszych to niebiosów blask.

Zapada cichy mrok,
Najpierwsza z gwiazd
Lśni już nad bielą naszych siół i miast; + ołot
Aniołów śnieżno-skrzydłych mgławcy tłok
Śnieżystem polem spiesz,
Staje u węglów ścian,
Kwiecisty mróz,
Który na szybach tak przemożnie wzrósł,
Stapia oddechem śpiewu — dobrze znan
Jest hymn tej świętej rzeszy,
Miły jest sercom ten niebiański gość.

+
Zasiądźmy wszyscy w krąg;
Radość nasz dom
Niechaj napełni! Jakiś nowy grom
Zbudził się w wnętrzu naszym! Żądny mąk,
Lęka się wróg zawzięty!
Sianem nakryty stół —
Kolędy głos
Tej najprzedniejszej, którą dał nam los,
Pójdzie w daleki świat, by świat ten czuł,
Że już zbieramy sprzęty
Z ofiar, co bujnie tak musiały rość... + ołot



V.

ŻEGNAJMY DZISIAJ ROK STARY.

Żegnajmy dzisiaj rok stary
Bez żalu i bez goryczy
I trwożnie pytać przestańmy,
Co nowy rok nam użyczy.

Zapewne się w nasze progi
Zbyt nie pokwapi wesele,
Wszak przywykliśmy do tego,
Że radość dróg nam nie ściele.

Za nami idzie niedola,
Naprzeciw spieszy nieszczęście:
Prawo zginęło ze świata,
Panują na nim li pięście.

Zwalony nie ma przyjaciół,
Więc sami kierujmy kroki
W tę przyszłość, co pięścią grozi,
W bezprawia pomrok głęboki.

Tylko w tej drodze dantejskiej,
Śród tych piekielnych czeluści,
Niech wierną będzie nadzieja,
Niech męstwo nas nie opuści.

Z sztandarem wolności w ręku
I z mieczem, co prawdy strzeże,
Idźmy przez straszne te kręgi,
Nowego życia szermierze.

Choć z naszej wielkiej otuchy
Rzechotać się będą czarci,
Zdążajmy, co krok dowodząc,
Że życia jesteśmy warci.

Czujecie globu wstrząśnienia?
Podziemne słyszycie łaskoty?
Wulkani w kuźnicy jutra
Podnoszą ciężkie swe młoty!

I w nas, na pozór zwątlanych,
Drzemią olbrzymów tych moce,
I w nas jest przyszłości siła.
Co tron bezprawia zdruzgoce.

Więc idźmy razem w szeregu,
Do góry podniósłszy głowy,
I nie pytając się trwożnie,
Co nam przyniesie rok nowy?



VI.

O ROKU NOWY.

Nie pacholęciem jesteś, Roku Nowy,
Wchodzącem do nas w futerku bielutkiem,
W czapce puchowej,
Z uśmiechniętymi oczyma:
W okna chat naszych, wypełnionych smutkiem,
I w rozbawionych pałaców podwoje
Pukasz, wyrosły od razu w olbrzyma,
Przyodzianego w groźną, twardą zbroję
Od stóp do głowy!
Pukasz i wołasz: »Niech każdy na boje
Będzie gotowy!«

Błogosławiony, kto ten głos twój słyszy,
Komu nie podciął słabych nóg zdradliwy
Zapach haszysz, —
Nie oszołomił ducha;
Kto, do napiętej podobny cięciwy,
Na posterunku z oczy otwartemi
Czeka, wytężyć nie przestaje ucha —
Oręż ujawszy rękami obiema —
W pomroki ciszy,
Czy gdzieś w pobliżu, przyczajon do ziemi,
Wróg nie zadyszy.

Jesteśmy ludźmi, co, jako upiory,
Krocząc śród drogich grobowisk cmentarzy,
Światłne fosfory
Z radością serca witamy!
Smutek nam schodzi z rozbolałej twarzy
I, jak pijany, klaszcząc w suche ręce,
Każdy z nas woła: »W słoneczne już bramy
Wchodzimy w tryumfie po nocy i męce!«
Marne pozory
Mają za prawdę te mózgi dziecięce,
Ten duch nasz chory.

I spać idziemy, jakby nasze dłonie
Penne już ziarna chwalebnej przyszłości
Na tym zagonie
Nieuprawnionym posiały!
Jakby lipcowy wiew już przyszedł w gości,
Naginał kłosa i wzywał swym szumem,
Że czas do żniwa, bo łan dojrzał cały!
Śpimy, szczęśliwi, że nad rabów tłumem
Wróg schylił skronie,
Że, myśląc za nich swym wilczym rozumem,
W szyderstwie tonie.

A tam, nad gnuśnych i głupich łożnicą,
W chmurze, powstałej z oparów posoki,
Z łez, które świecą
Niezastygniętem morzem,
Łzawe i krwawe, w żałobie głębokiej
Widmo, bezwładne, jak dziecko w kolebce,
Na łan wskazuje, nie zasiany zbożem,
Naprzemian jęczy i przekleństwo szepce,
Że, z soczewicą
W jednej, cześć naszą nieprzyjaciół depce,
W drugiej z pętlą!

O uderz w róg swój — wszak go masz gotowy —
Niech wyszłe z ciebie przepotężne brzmienie

Nad sennych głowy,
Nad zaślepiénce popłynię!
Zbudź eumenid straszne pokolenie,
Niech nas ścigają, niech nam syczą w uszy,
Że prawo życia mają ci jedynie,
Którym błyskotka nie przygasi w duszy
Iskry bojowej!
Czujnych a dumnych szermierzy w tej głuszy
Zbudź, Roku Nowy!



VII.

ALELUJA! ALELUJA!

Wesele spływa dziś na ziemię:
Raduj się, raduj wszelkie plemię!
Spada już z ciebie zmroku brzemię
Aleluja! Aleluja!

O, jakie cuda się spełniły,
Gdy Pan słoneczny wstał z mogiły,
Mocą jasności Swej opiły.
Aleluja! Aleluja!

Kiedy ramiona Swe promienne
Ponad piekielną wzniosł Gehennę
Nad mąk czyścowych ćmy bezdenne.
Aleluja! Aleluja!

Ciężkie na rzekach pękły lody,
Ku swoim morzom lecą wody,
Na uściech mając pieśń swobody.
Aleluja! Aleluja!

Po skibach kładą się opary,
Śpiewa skowronek, jesion stary
Zieleniejące gnie konary.
Aleluja! Aleluja!

Jastrząb się zbratał z ptaszków rzeszą
I barankowie z wilkiem spieszą,
W poprzek nie staje miecz lemieszom.
Aleluja! Aleluja!

O, jakie cuda się spełniły,
Gdy Pan słoneczny wstał z mogiły,
Mocą jasności Swej opiły.
Aleluja! Aleluja!

Łazarza z gnoju wyprowadził
Pomiędzy możne go posadził:
Bogacz żebraka już nie zdradził.
Aleluja! Aleluja!

Do grobu poszły trzy Marye:
Kamienną płytę łza ich myje,
A On przed niemi znów ożyje!
Aleluja! Aleluja!

Przybył do Emaus, chleb rozdzielił,
Słowem swem bożem rozweselił
Tych, których smutek onieśmielił.
Aleluja! Aleluja!

Tomasz się dotknął krwawej rany
I odszedł wierny, pokonany:
Wielbmy Cię! Panie Ty nad pany!
Aleluja! Aleluja!

Niechaj złowróźbne pieją kury:
Nie zaprze się już Piotr niektóry
Gwoździ, ni cierni, ni purpury.
Aleluja! Aleluja!

A izby była Jego chwała,
Krew strumieniami się poląa,

Że w niej utonął świat bezmała.
Aleluja! Aleluja!

Białym dziewicom z liliami
Posoka suknie białe plami,
By On miał wieczną moc nad nami.
Aleluja! Aleluja!

By On panował, hufce zbrojne
Z rozradowaniem szły na wojnę,
O śmierć czy życie swe spokojne.
Aleluja! Aleluja!

I szął po ziemi przebiegł siny:
W rękę rzemienne dyscypliny,
By On przemazał ludzkie winy.
Aleluja! Aleluja!

Z trzaskiem i dymem groźne stosy
Stały płomienny żar w niebiosy,
By świat rzeźwiły Jego rosy.
Aleluja! Aleluja!

W spiż Swego gniewu nad cmentarze
W dzień ostateczny trąbić każe,
By strach pobiełł wieków twarze.
Aleluja! Aleluja!

O, jakie cuda się spełniły,
Gdy Pan słoneczny wstał z mogiły,
Mocą jasności Swej opiły.
Aleluja! Aleluja!

A iż nam boleść duszę mroczy,
Ku Twojej zorzy wznosim oczy,
Ona nad nami blask roztoczy.
Aleluja! Aleluja!

Iż do naszego dzisiaj stada
Zgraja żarłocznych rysiów wpada:
Jutro z okręgu zniknie zdrada.
Aleluja! Aleluja!

A iż nad naszym grobem, Panie,
Słysząc już kruków złych krakanie,
Przyjdzie nam zbożne zmartwychwstanie.
Aleluja! Aleluja!



VIII.

A KIEDY ZMARTWYCHPOWSTAŁ...

A kiedy zmartwychpowstał,
Rzekł uczniom i apostołom:
Radujcie się razem ze mną,
Wieść wam przynoszę wesolą.

Rozwarłem piekielne bramy,
Życie-m uwolnił od męki,
Słoneczność spływa po świecie
Z mojej wszechmocnej ręki...

A Marya z Magdali, usłyszawszy te słowa, rzekła:

Zbawiłeś mnie, Panie, od grzechu,
Do krzyża przygwożdżony —
Niczem już nie pragnęła,
Prócz Twej cierniowej korony.

Nie znałam większej słodyczy,
Wonnejszej nie znałam woni
Nad krew z Twojego boku,
Nad krew z Twej świętej skroni.

Dzisiaj, gdy patrzę w Twe lice,
Skąpane w wiosennem złocie,

Cierpienia chęć mnie opuszcza,
A skrzydła rosną tęsknocie.

Chciałabym szeptem trawy,
Która kiełkuje z pod ziemi,
Opiewać nieśmiertelność
Ustami dziękczynnemi.

Chciałabym puchem kwiecia,
Obsypującym czereśnie,
Żywoć uwielbiać wieczysty,
Niezmilkłe nucić mu pieśnię.

Chciałabym lotem jaskółki,
Przybywającej z za morza,
Wznieść się w Twój Raj objawiony,
Gdzie władnie żądza-li boża.

Zbawczą jest siła boleści,
Lecz większą moc ma w sobie
Pragnienie nowego życia,
Wyrosłe na życia grobie...

*Tak rzekła Marya z Magdali, zachwycona jasnością twa-
rzy Chrystusowej, a Tomasz, który był niewierny mówił:*

Dotykam się Twej rany,
Bo chcę mieć znak widomy,
Że nie jest złudą Twa miłość,
Co ma ogarnąć ogromy.

Spoglądam w Twoje oczy,
Wolne od śmierci przesłony,
Bo chcę w nich wyczytać spokój,
Idący na świata strony.

A z poza Twojej Golgoty,
Z za granic zmartwychpowstania,

Przypływa wrzask i zamęt,
Ciemny się mrok wyłania.

Nowe stawiają krzyże
I płyną krwi strumienie,
Na Chrystusową szatę
Tłumna się zgraja żenie.

O Panie jasny i cichy,
Coś przemógł wrzawę i ciemnię,
Daj sercu wypoczynek,
Odpędź te widma odemnie.

Pokrzep mą słabą duszę,
Bo z niepewności omdlewa —
Wiem: Józef z Arymatei
Zdjął Twoje ciało z drzewa...

Bożego spragnion Królestwa,
W całunne owinał płótna —
Złożyła Cię do grobu
Jego tęsknica smutna...

Wiem: poszły trzy Marye,
Z drogiemi szły maściami:
»Któż« — rzekły — »głaz nam odwali,
Litując się nad nami?«

Wiem, o zwycięzco śmierci,
Że gdy nad grobem stały,
Ogłosił im chwilę tryumfu
Wysłaniec Twój, anioł biały.

Żeś jednej się objawił
Po krzyżowania męce,
Promienny, rozradowan,
Z chorągwią w świętej ręce.

Wiem: rzekłeś do niej słowo,
Co skrzydła przypina tęsknocie
Za nieśmiertelną wiosną,
Gdzie kres jest dan Golgocie...

Położ mi dłoń na sercu,
Położ mi dłoń na czole,
Bym czuł, że ona to niegdyś
Łamała chleb przy stole...

O tak, to ręka ta sama,
Już wątpić mi nie trzeba —
Lecz gdzież ta, zbawiająca
Od głodu, miara chleba?

W okręgach drżą powietrznych
Twe wielkie przyrzeczenia,
A mrących nowa rzesza
Z starą się rzeszą mienia.

O Panie zmartwychpowstały,
Dajże mi znak widomy,
Że nie jest złudą Twa miłość,
Która ogarnia ogromy.

Milczący patrzysz mi w oczy,
A ongiś szeptał: »Mój ludu!«
Rozerwij te tajemnicze
Pieczęcie Twojego cudu...

*Ale Chrystus nie odrzekł nic, tylko gdzieś, na dalekiej Pół-
nocy, w krainie głodu i ucisku, obudził głosy dziecięce,
kazując im śpiewać:*

Zawitał dzień nam radosny,
Od dawna pożądanym:
Chrystus Pan zmartwychpowstał,
By ludzkie ukoić rany.

Przybity był do krzyża,
Trzy dni przeleżał w mogile,
Zmartwychwstał, świat przemienia
W odmładzającej sile.

Rzekł anioł trzem Maryom:
Szukacie go daremnie:
Zmartwychwstał, przewyciężył
Głuche, grobowe ciemnie.

Przestanie głód nas wybijać
I ucisk nasz, o Panie,
Zakończy się przez Twoje
Święte zmartwychpowstanie.

A Marya z Magdali, zwana także świętą Pokutnicą, towarzysząca krucyacie dziecięcej, zatrzymała się pod dawnym, omszałym krzyżem na drogach rozstajnych i, zapatrzona w przestrzeń wiosenną, szepce w zachwycie:

Zbawczą jest siła boleści,
Lecz większą moc ma w sobie
Pragnienie nowego życia,
Wzrosłe na życia grobie.



IX.

KORDECKI.

I.

Prochem-li jesteś, prochem, więcej niczem,
Kamienna urno! A jednak przed twojem,
Żałobą wieków okrytem obliczem
Staje ma dusza z dziwnym niepokojem,
Albowiem czuje, że w twem tajemniczem
Wnętrzu odnajdzie coś, co nie jest rojem
Zmarłych-li wspomnień, ale życia treścią,
Uwita z wielkich tęsknic, karmionych boleścią.

II.

Prochem-li jesteś, prochem, ty kamienna
Urno, wyjęta z posępnych podziemi,
Skąd Śmierć, strzegąca pilnie swego lenna,
Zaziera chyłkiem oczy wyżartemi,
Zali nie przyjdzie nowa postać senna
Złożyć swe członki, gdzie głusi i niemi
Czekają rzędem, aż wargi otworzą
I uszy na ostatnią Proklamacyę bożą.

III.

Prochem-li jesteś, prochem, niczem więcej!
Z rąk cię upuścić na trumny przegniłe,

Marne relikwie rycernych tysięcy,
Które się kładły bez żalu w mogiłę,
Przedsię nadzieją i wiary dziecięcej
Głębokim szeptem, jak winem, opiłe —:
Z rąk cię upuścić, a z twej kruchej gliny
Cóż jeszcze pozostanie? Pył pod stopą siny!

IV.

A jednak nie wiem, co za moc rozpiera
Twe wątle ściany, że rośniesz w olbrzymie
Jakieś zjawisko, że się w bohatera
Zmieniasz żywego, któremu na imię
Płomień, że wielka, wiekuista, szczerza
Idzie od ciebie toń ognia i trzymie
W objęciach swoich rolę, by nie skrzepła,
Lecz głośnem biła tętnem pod działaniem ciepła.

V.

Pokrywę twoję lśnista pleśń obsiadła;
Wszystkie wspomnienia, zda się, w niej przygasły,
A z wnętrza twego snują się widziadła,
Świat zarzucając skrwawionemi hasły, —
Tłumy, na które błyskawica padła,
Płyną, jak obłok gromami opasły,
A w ślad za nimi ukradkiem się wlecze
I czołga się i pełza pohańbienie człeczce...

VI.

Uderzcie w dzwony! Niedołężni starce,
Imcie się sznurów na kościelnej wieży —
Strach się zakrada i Pan mówi: »Skarczę
Gnuśne potomki walecznych żołnierzy!
Śródłunne wokół rozleją się harce,
Nic żernych ogni moich nie uśmierzy,
Kiedy, ku pomście Swej i Swojej chwale,
Świeczników groźnych siedem, niszczący, zapalę!...«

VII.

W przestwornych głębiach, wśród niebieskiej wyży,
Ciężary swoje zwarły chmur ołowie;
Wielkie ramiona płomienistych krzyży
Wraz się zjawiły na smutku pustkowie,
Ażeby zniknąć prędzej, nim się hyży
Zadziw o treści ich tajemnic dowie;
Komet złowróżbnych rozpalone miotły
Na krzyżach tych cierniowe, straszne wieńce plotły...

VIII.

A potem naraz Lęk, który z za węgła
Wytrzeszcza w oddal szklane, martwe oczy,
Ujrzy, jak moc się nieznana rozprzęgła,
Jak w chmur zwichrzeniu i światła roztoczy
Błyskawicowej zrywa się, wylęgła
Z gniewu bożego, zbrojna czern, jak broczy
We krwi, szalona, rozpętana, wściekła,
Nie wiedzieć, godna Niebios, czy godniejsza Piekła...

IX.

We mgłach, w przyćmionym widnokręgu duszy,
Która goryczą ludzkiej nędzy płacze,
Skrzydło o skrzydło z poszumem się kruszy,
Jak świst nawałnic: Szatani-puhacze
Łamią aniołów szereg białopussy,
W surmy żałobne zagrały Rozpacze,
Ślepe, o trupiej na licach bladeści,
Gdzie Życia zaprzeczenie przyczajone gości...

X.

Schodzą na ziemię zastępy ponure,
Ku cmentarzowi wloką się za trumną,
Na zgiętych plecach królewską purpurę
Dźwigają w strzępach, a twarz, wczoraj dumną,
Dziś już nie mając sił, by wznieść ją w górę,
Słonią kołpakiem; tak rzeszę tę, szumną

I huczną ongi, trwożny wstyd ogarnia —
Nie spojrzą na drogokaz z napisem: Męczarnia!...

XI.

Przy boku szable złamane przez poły,
Albo pogiete, bez pochew, u pasów,
Zwisłych na biodra; połysk klingi gołej
Rdze od niepomych pożerają czasów:
Krew na nich zaschła!... Orły i sokoły,
Śród napowietrznych wrzasków i hałasów
Orężnych wzrosłe, stępione już dzioby
I pióra mając zdarte, wloką się na — groby...

XII.

Jedni rycerskim pochylają znakiem
Z niewysłowionej żalości, a jedni
Trupiami usta, smutnym mknąc orszakiem,
Skomlą pieśń straszną, a drudzy, w powszedni
Dzień tego bólu, co nadziemskim szlakiem
Mgły swe rozścielił, coraz to bezwiednie
Zdzierają z siebie wszelką już nadzieję
I suną, niewiadomo, w jakie suną knieje...

XIII.

A inni, pchani w te Przyszłości ciemnie
Kościstą ręką Pomsty, zapomnieli
Swej antenackiej dumy, co najemnie
Wić się nie mogła, i wrzeszczą: Niech dzieli
Naszą się schedą chciwy wróg! Drzyj ze mnie
Atlas i bisior! Obrywaj z tej delii
Kosztowne guzy! Bierz sobole futra
I siodła turkusowe, lecz daj żyć do — jutra.

XIV.

A jutro nędzne!... Zaś inni — o biada!
Potężny organ umilkł w pańskim tumie,

Którego ścian już czerwona gromada
Głaznych grobowców podeprzeć nie umie —
Inni na znakach swoich piszą: »zdrada!«
Gdyż obrachunki czynią w swym rozumie,
Że lepiej w wrogie wcielić się zastępy,
Niż oddać im na pastwę kontuszwowe strzępy...

XV.

Inni rycerskiej urągają chwale,
Bo jeno blich trem jest marnym; zwycięską
Śmierć własnych ojców, ginących wspaniale
Na krwawych polach, równoważą z klęską
Swojej sadyby, albo ostrzą pale
Dla tych, co, w wnętrzu wolę jeszcze męską
Żywiąc, nie mogą składnie nagiąć karku
Na tym upodleń ludzkich haniebnym jarmarku.

XVI.

Tak idą w czeluść otchłanną te rzesze,
Nagromadzone, jak wojenne łupy
Ku śmiechu żadnych gawiedzi uciesze:
Słabi i możni, panowie, biskupy,
Jezdne chorągwie i szeregi piesze,
A wszyscy chrzestczą kośćmi, bo są trupy,
Które tchórzostwo swe i zanik wiary
Okryły w ukradziony trupom całun stary.

XVII.

Czasem się z tłumu straszny płacz dobędzie,
Lub okrzyk klątwy przeniknie powietrze,
I wraz się urwie — nie dojdzie przed Sędzię,
Aby mu wskazać na oblicza, bledsze
Od bladej śmierci, i zbawcze orędzie
Wymusić z Niego... Czasami się przetrze
Ku uszom twoim chrzest: to w trupiej dłoni
Pastorał się przełamał, lub gwóźdź wypadł z broni...

XVIII.

Tak idą, w czelusć i przepaść — bez końca...
A chór szatanów chichocze rozgłośnie
Ponad rozłogi, pozbawione słońca,
Na których żaden kłos już nie wyrośnie,
Ani nie stanie odważny obrońca,
Zmartwychpowstanej ufający wiośnie —
Aż oto nagle kłęb się chmur rozwełnia:
Na orszak spływa blasków płomienistych pełnia.

XIX.

Słowo przedwieczne, Płomień, przeobficie
Nasycon światłem, na klasztorным zrębie,
Wychylającym z mgieł, jak dawne śnicie,
Ogniami zlane biele ścian gołębie,
Zjawia się w białym, słonecznym habicie
I głosem, mocnym, jako sęki w dębie,
A krwią ociekłym, jak serdeczna blizna,
W umarłe rzuci hufce święty krzyk: Ojczyzna!

XX.

Nie dźwiga miecza, krzyżem drogę znaczy,
Ten tor chwalebny, z którego uchodzi
Miedziana stopa leniwej Rozpaczy
Przed bohaterstwem w promiennej powodzi
Nowego życia... Pan i tłum prostaczy,
Jako rybitwy na ogromnej łodzi,
Już nie pogrzebnym orszakiem się wloką,
Lecz płyną wielkiem morzem wiary w dal głęboką.

XXI.

I Płomień-Słowo w śnieżystym kapturze
Naokół iskry żywotwórcze ciska:
»Tobie li« — mówi — »możny Panie, służę,
I łaska Twoja, czuję, że już bliska:
Gniew Twój w niszczącej zjawia się wichurze
I światy spycha w bezdenne urwiska,

Lecz gdyś już serca wypróbował, Panie,
Wnet dobroć Twa zwycięska na wyłomie stanie...«

XXII.

Huk, szum i poświst, krzyk i jęk się wzbija,
Dym się rozkłębia, syczy zamęt krwawy;
Od jasnogórskiej bramy wroga żmija
Cofa się, dalszej nie żadna obławy:
Głowę jej depce niewinna Lilia,
A u stóp Panny, jak promień złotawy,
Śnieżny się habit w cichym smętku ściele,
Spokoju wzdyć łaknący po zwycięskim dziele:

XXXIII.

»Kiedyż się, kiedy zbliżysz, bladoczoła — ?
Głębokooka śmierci, kiedyż po mnie
Przyjdiesz, by zabrać do swego kościoła?
Twej ambry słodkiej spragniony-m ogromnie,
Bo serce moje płacze, iż dokoła
Żal tylko widzi, a zasię przytomnie
Patrzy w tę przestrzeń, gdzie, jak gwiazda złota,
Rozświeca grób wieczystość ludzkiego żywota«.

XXIV.

I w jednej z takich chwil, gdzie dusza, głodna
Tajemnic bożych, do ramion przypina
Skrzydła i w locie swym dociera do dna
Świątych objawień, zesła k'niemu, sina
Żalobą mogił, a jednak pogodna
Śmierć i szepnąwszy: »wszelka tobie winna
Jest odpuszczona, boś żył duchem, górnice«,
Śmiertelne jego prochy zamknęła w swej urnie...

XXV.

Prochem-li jesteń, prochem, więcej niczem,
Kamienna urno! a jednak przed twojem,

Żałobą wieków okrytem obliczem
Staje ma dusza z dziwnym niepokojem,
Albowiem czuje, że w twym tajemniczym
Wnętrzu odnajdzie coś, co nie jest rojem
Zmarłych-li wspomnień, ale życia treścią,
Uwitą z wielkich tęsknic, karmionych boleścią..



X.

NA UROCZYSTOŚĆ DWÓCHSETNEJ ROCZNICY ZWYCIĘSTWA POD WIEDNIEM.

Szczęśliwe ludy, które u mogiły
Minionej sławy gorzkich łez nie leją,
Którym się gwiazdy na niebie nie stliły,
Jeno wciąż świecą młodzieńczą nadzieją;
Szczęśliwe ludy, które w czas zawiły
Przed czarną zbłąkań nie zadrżały knieją,
Lecz, kryjąc w sercu zapał niepojęty,
Idą na pewno, gdzie ich cel wytknięty.

Nas, gdy dziś klęczym w popiele żałoby
Jeremiasza przygniotły cierpienia;
Spojrzymy za się, to posąg Nioby
Śród dziejowego pograżony cienia;
Spojrzymy przed się, to świeże znów groby
Grzebią dla siebie przyszłe pokolenia,
I wszędzie, wszędzie noc i czarne chmury,
A śród tej nocy krzyże i tortury.

Z łona cmentarzysk, gdzie legli rycerze,
Powstają błędne, fosforyczne błyski;
My z nimi pragniemy zawiązać przymierze,
Cierpką karmieni strawą od kołyski;

My je gonimy w jak najlepszej wierze,
Nie myśląc o tem, że upadek blizki,
Że te grobowce, co tym ogniem płoną,
W przepaści swojej i głodnych pochłoną.

Któż nas powstrzyma i któż nam pokaże,
Że na fałszywe wkroczyliśmy tory,
Że te ogniki, co rodzą cmentarze,
Nie zdolne przegryźć żelaznej zapory!
Któż nas nauczy, że przyszłość wymaże
Z kart płomieniących lud słaby i chory,
Lud, co w śmiertelnym pasując się szale,
Szukał ratunku w zapomnianej chwale!

Więc nam pamiętek święcić się nie godzi?
Więc na tej drodze krwawej i ciernistej
Wzrok poza siebie obrócony szkodzi?
Więc ów Mojżesza dawien słup ognisty
Tym tylko świeci, co, zapalem młodzi,
Na wrogich wiatrów nie baczą poświsty
I, zapomniawszy o egipskim chlebie,
W kraj obiecany wciąż patrzą przed siebie?...

Tam, gdzie praojce za oręż chwyтали,
By niewolnicze potargać okowy;
Tam, gdzie kreślili końcem ostrej stali
Hymn poświęcenia na płycie dziejowej;
Tam, gdzie się myśl ich wspaniała kryształi,
Błyszcząc barwami tej łuny tęczowej,
Tam się zbierajmy, a ze serc źródliśka
Niech na ich trumny pieśń uwielbień tryska.

I dziś ta chwila, przypomnieniem świeża,
Wzniosłego czynu uczy nas przykładem,
Jak wdziac na siebie zbroicę żołnierza
I jak się w męstwa przystroić dyadem;

Jak z pod złotego poświęceń puklerza
Nie drżyć tchórzliwie przed pocisków gradem —
Dzisiaj ta chwila uczy nas niezbiecie,
Jak za mir ludów nieść w ofierze życie...

Wielcy i pełni męczeńskich zachwytów,
Ozdobmy duchy weselnemi wstęgi
I wzniesmy ręce z wiarą neofitów
Do tej gorącej, głębokiej przysięgi,
Że dążąc w sfery słonecznych błękitów,
Żadnej się zmroków nie złęknem potęgi,
Że tak, jak ojce, przed śmiercią nie drżały,
I my za nasze skończym ideały.

Nie nam się w zblakłe odziewać kontusze
Tej marnej sławy, co naszym upadkiem!
Nie nam to wieńczyć odrodzone dusze
Przebrzmiałych idej powiędłym już kwiatkiem;
Nie nam to walczyć za trumienne prósze,
Gdy gonim własnych wysileń ostatkiem,
Lecz wszystkie czyny kierować i myśli
W stronę, gdzie przyszłość nowe znaki kręśli.

Minionych czasów tajemniczy chwalce
Niech próżno ku nam zwracają swe oczy!
W Laokonowej odrodzenia walce
Nowemi walczmy broniami ochoczej,
Nowemi siły deptajmy padalce,
W zmartwychpowstania głos wierząc proroczy,
A czcząc to wszystko, co czci naszej godne,
Rzucajmy w przyszłość spojrzenie swobodne.



XI.

W SETNĄ ROCZNICĘ TRZECIEGO MAJA.

Paść może naród wielki,
Zniszczyć tylko nikczemny.

Staszic.

Nie rozpłakiwać nam się w jęk żałosny
I w beznadziejnym bolu nie giąć czoła,
Bo oto promień życiodajnej wiosny
Lśni się dokoła!
Bo oto śmierci zuchwała potęga,
Co do najskrytszych głębi wnętrza sięga
I niszczy bytu szlachetne zarody,
Złamana zgoła!
A nad jej grobem, cne zwiastując gody,
Różany świt majowy płomienieje, młody!

I pęka drzewo, które dotąd w zimy
Lodowych ramion spoczywało splocie;
Wonią tchną brzozy i dębów olbrzymy
W słonecznem złocie!
Najlichsza trawa z uśmiechem serdecznym
Wygłasza prawdę, że żywot jest wiecznym,
Chociaż swym formom posłanie rozściela
W ponurej grocie,
Z mgieł zbudowanej, bez tego wesela,
Co zdrojem jasnych blasków z górnych nieb wystrzela..

Nie rozplakiwać nam się w jęk i duszy,
Ze świeżych liści, jak ów kwiat, odartej,
Nie gubić w zmroku jesiennych katuszy!
Tak! choćby czarty,
Gońce przemocy i cnoty potwarce,
Piekielne swoje wyprawiały harce,
Zwąc to zasługą, co się zowie zbrodnią,
I nasz uparty
Grzbiet swego jarzma przygniatając kłodnią,
Rozpalmy się nadziei płomienną pochodnią!

Bo juści-ć w wiecznym grobie nie utonie
To, co, padając, wskazało przed światem,
Że szlachetności kryje posiew w łonie,
W boleść bogatem!
Że, stojąc w duchów zgrzytających tłumie,
Nowego życia melodye rozumie
I w takt jej serca nastraja narzędzie;
Że krwi szkarłatem
W podniosłych dążeń rozhukanem pędzie
Nie plami rąk swych, boże zwiastując orędzie...

Że na swych ustaw rozwianym sztandarze,
Wzniósłszy go w górę wśród błękitów maja,
Podniosło wolność, co się w ślubnej parze
Z braterstwem spaja:
Dwa hasła czyste, dwie wielkie kolumny,
Na których szczęścia wzbija gmach się dumny!
Poręka ciszy, co szeptem miłości
Wrogi rozbraja
I dla zmęczonych trudem wieków kości
Przybytek wypoczynku stawia i radości...

Dzieci szermierzy, co legli w mogile,
Porosłej kwiatem dziękczynnej pamięci!
Niechaj nam w sercach wzrastającej sile
Czyn się ich święci!

Nie bądźmy nigdy, jako ci najemni,
Gnuśni heloci, niedolą nikczemni,
I nie pracujmy na wolności łanie,
Pełni niechęci,
Lecz zapatrzeni w jutrzejsze świtanie,
Zbratani, przyspieszajmy plonne żniwobranie!

Nie rozplakiwać nam się w jęk żałosny
I w beznadziejnym bolu nie giąć czoła,
Bo oto promień życiodajnej wiosny
Lśni się dokoła;
Bo oto śmierci zuchwała potęga,
Co do najskrytszych głębi wnętrza sięga
I niszczy bytu szlachetne zarody,
Złamana zgoła!
A nad jej grobem, cne zwiastując gody,
Różany świt majowy promienieje młody!



XII.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

I.

Przeszłość zgnębiona... Kontusz i pas lity
I zarzuconą na plecy purpurę
Zdarto z olbrzyma, który legł, pobity,
Obnażający w krwi skąpaną skórę.

Koronę królów i hetmańskie kity,
Miecz i buławę wzięły mu ponure
Zastępy piekieł... I shańbion, bez świty
Mężnych, powieki nie śmiał podnieść w górę.

A zresztą — pocóż?... Niebios widnokręgi,
Odziane kirem, bez gwiazd i bez zorzy
Złotego rąbka... Milczenie... Potęgi

Śpią tajemnicze... Ach! ten szum?!... Z kolei
Wypadły-ż światy?... Szatański, czy boży
Głos-to zahuczał: »Już niema nadziei!...«

II.

Prąd elektryczny martwą przebiegł ziemię —
I naraz jęły kiełkować z jej wnętrza
Żdźbła zrumienione: jakieś ziarno drzemie
W zdeptanej roli... Coraz to gorętsza

Wieje promiennosc... Wstań, umarłych plemię!
Kłos już szeleści, już się w drzewo spiętrza
Ewangeliczne, cudotwórcze siemię —
Pora żniw idzie, jaśniejsza i świętsza!

Wstań bez korony, bez wodzów buławy!
Wstań bez purpury — bo na cóż ten lichy
Szmata dziś dla ciebie, postrzępion, plugawy

Bezwstydną zdradą!... A ty, nędzny służko
Nędznej tyranii, giń! Nad tobą cichy
A wielki człowiek spełnił sąd — Kościuszko!

III.

Przysiągł... O burze, wy, co niewidomy
Lęg macie w bezdniach piekielnych, szatany
Niech was rozpuszczą, abyście, jak gromy,
Potok słów jego zgłuszyły wezbrany!

Nowe on żłobi dla siebie wyłomy
Śród zimnych opok, rozsadza kajdany
Głazów, to pnie się, jak szczyt góry stromy,
To się rozlewa, jak szerokie łany.

Darmo się rwiecie, o burze! On dotrze
Do waszych głębin i gniazda wam zniszczy...
Nad rozkosz raję teraz w hymny słodsze

Rozgrał się strumień: to płynie w niebiosy
Pean wolności — z brzękiem tej, co błyszczy
W promieniach słońca, racławickiej kosy...



XIII.

RACŁAWICE.

I.

Aby oddali krew Ojczyźnie w dani,
Nikt ich nie wzywał... Przy pługu i bronie,
Z garścią ziarn w rękę, kroczyli, nieznani,
Prostemi skiby po czarnym zagonie.

Że w niewolnikach dusza męstwem płonie,
Chociaż w siermięgę, nie w pancerz odziani;
Że zdolni słać się w bohaterskim skonie,
Jako pokosy, lub w zwycięstw przystani

Zagrzmieć w hymn wielki, nikt w minionej dobie
Nie umiał wierzyć... I runął gmach cały,
Bo nie podparto dłońmi go chłopskimi...

I dawna świetność legła w ciemnym grobie,
Co porósł zielskiem, i wstyd, zamiast chwały,
Trzęsąc łańcuchem, przebiegł po tej ziemi...

II.

W chwili rozgromu, w godzinie spodlenia,
Gdy zamierają w piersiach zemsty głosy,
Jawi się człowiek, który dzieje zmienna,
W inne koryto śle narodu losy.

Roje pszczoł nowych wywodzi na wrzosa —
Zastęp, z kmiecego wzięty pokolenia,
W wyprostowane uzbrojony kosy,
Do niezwykłego gotowy koszenia.

I słońce kwietnia spływa promieniami
Na tłum rozgrzanych, rycerskich żniwiarzy,
Co, porzuciwszy rydel i kozicę,

Poszli, gdzie rola strugą krwi się plami,
Gdzie, jak świt, przyszłość złocista się jarzy,
Gdzie, jak noc, przeszłość grzebią — Raławice...

III.

I wielkiem godłem tego, co nie ginie,
Co się w niezgasłą stroi aureolę
Wiecznego życia, stało się w godzinie
Owych tryumfów raławickie pole.

Niech wyrastają dziś na niem kąkole,
Niech czas zasiewów niepostrzeżon minie
W niejednym roku, jeszcze twardszą dolę
Niech los gotuje pogrążonym w winie:

W poświstach, w głębiach, w oddalach — niech słucha,
Kto ku słuchaniu ma uszy — nadzieje
Pszenicznych sprzętów się wdzięczą! W przestworze

Poświstów, w głębiach, w oddalach, dla ducha
Tych, którzy wierzą, dostępnych, dojrzeje
Siew raławicki na — wieków ugorze.



XIV.

1863—1893.

Ty, z której łona wśród wiekowej doby,
I chwały pełnej i odartej z cześci,
Nie poprzestaje wykwiatać boleści
Mistyczna róża: w godzinie żałoby,
W tej bolesnego przypomnienia chwili,
Miej tych w swem sercu, którzy pomnożyli
Tysiącem nowych twe groby.

Polsko, gdy dziś się gromadzi dokoła
Sytych przekupniów czereda plugawa,
Ażeby w swoje samolubne prawa
Zamknąć świat cały i piętnować czoła,
Które poświęceń ozdobiły głogi,
Gdy »Zapaleńcy! precz z drogi! precz z drogi!«
Tchórz i zaprzaniec wciąż woła —

Porośli tłuszczem czciciele Mammona,
W pełzania niskiej wychowani szkole,
Gdy chcą swe złote postawić idole
Na twym ołtarzu; gdy siła, zrodzona
Z ducha i w jego wykąpana błyskach,
Gnie się przed — ciałem; gdy zapał w uściskach
Zimnej rozwagi już kona —

Gdy to, co było nadzieją i wiarą,
Skrą z pokolenia idąc w pokolenie,
Zmienia się dzisiaj w szydercze przeczenie;
Gdy przepomniano ową prawdę starą,
Że w pogotowiu ma liktorskie pęki
Wróg, aby służkom za pokorne jęki
Wzgardliwą odpłacać karą:

Polsko, codziennie przez swą dziatwę własną,
Jakby ją czucie odstaąpiło człecze,
Na siedmiorakie wystawiana miecze: —
Matko bolesna, której oczy gasną
Z strasznego bolu, gdy stoisz ze łzami
Pod krzyżem żądry, co ongi nad nami
Zalśniła łuną przejasną:

Twarz swą pobladłą zwróć ku tym rycerzom,
Którzy, spokojne porzuciwszy chaty,
Szli pod wolności czerwone bułaty
I śnieżny rozłóg krwią znaczyli świeżą
I dziś — szlachetni! — od tej wrzawy zdala,
Co się naokół rozsądkiem przechwala,
Cicho w mogiłach swych leżą!

Ku tym, co oto, nie bacząc na rany,
Na głód, na zimno, na bezsenne znoje,
Jak owe dawne, bohaterskie woje,
Szli, aby zerwać żelazne kajdany —
Szli, choć przed nimi śmierć niechybna czeka,
Bo mieli dumę wolnego człowieka
I dech, miłością zagrzany.

Krzew, na ich grobie wyrosły, w tę głuchą,
W tę noc posępną biczowan mroźnemi
Wiatry, co wieją po twej świętej ziemi,
Potrząsający swą koroną suchą,
Niechaj Ci, Polsko, w tej chwili rozkładu,

Gdy chłonać musisz gorzkie krople jadu,
Zbawienną będzie otuchą:

Przyjdzie czas taki, że słońce majowe
Nad cmentarzyskiem twych najlepszych dzieci
Snopem gorących promieni zaświeci —
I krzew, dziś smutnie chylący swą głowę,
Soków z męczeńskich zaczerpnąwszy kości,
Zapłonie kwiatem przedziwnej piękności
I wyda owoce zdrowe.



XV.

ADAMOWI MICKIEWICZOWI.

I.

NA SPROWADZENIE ZWŁOK A. MICKIEWICZA.

I

Uderzmy w dzwony, podnieśmy okrzyki,
Jak ongi wdzięczny naród Izraela:
Hosanna tobie, poranku wesela,
Co dzisiaj zbawcze rozsiewasz promyki
Ponad tą ziemią ciemności i sromu,
Ponad ten zagon, krwią i łzami żyzny,
Bo oto wraca do własnego domu
Tułacz z obczyzny.

Bo oto wraca w dzierzawy ojczyste
Władzca, co berłem swej natchnionej dumy
Na prochy ścierał lodowe rozумы,
Uczucia iskry niecąc płomieniste —
Co, wiecznie silny i wieczyście młody,
Sercem swem sięgał tam, gdzie wzrok nie sięga,
Gdzie z poza mgławic wystrzela swobody
Jasna potęga —

Co samolubów strupieszale cielska,
Pełznące płamą ponad wód błękitem,
Smagał biczyskiem, z skorpionów zwitem,

Jak wiatr, siekący jadowite zielska;
Co legł, złamany wielkich żądz przemocą,
Ażeby inni po zwłokach szermierza
Weszli, gdzie orły skrzydłami trzepocą,
Gdzie grom uderza.

Farys, co, mierząc pustynne obszary
Duchów, gdzie wszystkie zamaryły porywy,
Naciągał majdan i podnosił żywy
Głos, od wojennej silniejszy fanfary:
»Z drogi, szkielety! z drogi, którym oczy
Na nic zwirowa wyżarła kurzawa!
Oto się zastęp nowych jeźdźców tłoczy —
Ustąpcie prawa!

Nic im nie robią sępy, ani stada
Kruków, żądliwych rycerskiego ciała;
Od kopyt końskich pustynia zadrżała
I życie weszło tam, gdzie śmierć się skrada...
Patrzcie, jak pędzą! Śród szalonej jazdy
Niema dla mężnych spoczynku, ni końca:
Lecą, gdzie złote promienieją gwiazdy,
Gdzie płoną słońca!«

Uderzmy w dzwony! Podnieśmy okrzyki,
Jak ongi wdzięczny naród Izraela:
Hosanna tobie, poranku wesela,
Co dzisiaj zbawcze rozsiewasz promyki
Ponad tą ziemią ciemności i sromu,
Ponad ten zagon krwią i łzami żyzny,
Bo oto wraca do własnego domu
Tułacz z obczyzny!...

Bo oto wraca Samson, który rzucił
Iskrę zniszczenia w filistyńskie łany
I uczujących wrogów tłum zebrany
Pochował w gruzach i radość zakłócił...

Lecz świątynnemi wstrząsnawszy kolumny,
Ducha śmiertelnym nie otulił zmrokiem;
Patrzy on na nas z popod wieka trumny
Przejrzystem okiem...

Więc gdy się zbliżą ku nam ci szachraje
I sykną w uszy, niby chytre węże:
»Te bojownicze porzućcie orężę,
Uległy spokój zbawienie wam daje!«
Odrąćmy od nas z odwagą ten ślizki
Ród kusicieli, gdzie piekielna brama:
Wszak nam się w serca wryły, jak dwa błyski,
Oczy Adama...

Wszakże my wiemy, że prawo istnienia
Mają ci tylko, co wchodzą na szańce,
Co się nie kryją, ostatni zaprzańce,
W pośrodku głębi wygodnego cienia...
Wszakżeż my wiemy, że potulność szkodzi,
Że trzeba nieraz mieć zęby tygrysie,
Że soczewicy przyjąć się nie godzi,
Choć w złotej misie!

Wszakże my wiemy, że nam to przystało
Nowemi hasły martwe ludy budzić,
I choćby przyszło na nic się utrudzić,
W mury ciemnoty walić piersią całą...
Wszakże my wiemy, że ziarna nie giną,
Które robocze posiewają ręce,
Że sypną plonem ową żniw godziną
Po łzach i męce!

Uderzmy w dzwony! podnieśmy okrzyki,
Jak ongi wdzięczny naród Izraela:
Hosanna tobie, poranku wesela,
Co dzisiaj zbawcze rozsiewasz promyki

Ponad tą ziemią ciemności i sromu,
Ponad ten zagon, krwią i łzami żyzny,
Bo oto wraca do własnego domu
Tułacz z obczyzny...

II.

A kiedy znowu wracasz w nasze progi,
Któż ciebie tutaj, arcymistrzu, wita?
Nie żadne brogi i nie żadne stogi,
Pełne pszenicy i sypkiego żyta,
Lecz kraj, w posiewy i żniwo ubogi,
Ziemia, z łzą gorzką zgłodniałych obyta,
Niebo, co innym niby płomień świeci,
A skierki nie ma dla nas ni dla naszych dzieci.

Przesmutna dola, która nas rzuciła
Między narodów szeregi ostatnie,
Że tak jesteśmy, jak olbrzymów siła,
W jakąś zakłęta zawikłana matnię:
Rwie się do życia, a tu sieć zawila
Trzyma ją w włóknach — a gdzież ręce bratnie,
Coby ją w imię wszechludzkiej przyjaźni,
Przez ciebie opiewanej, wydarły z tej kaźni?!

Piorunne dźwięki tej potężnej pieśni,
Co ludom szukać kazała zbawienia
W sprawiedliwości, zstąpiły do cieśni —
Śród mogilnego poszły zmiłknąć cienia,
Zgasły, jak blaski, kiedy dzień się prześni,
Zwiędły, jak dęby, ścięte od korzenia,
Zginęły w falach nowego żywota,
Co, patrz! na zachód słońca brudną pianę miota.

Krew i żelazo, umaczane w jadzie —
Oto jest straszne dni dzisiejszych hasło!

Oto hyena, co się cielskiem kładzie
Na życie słabszych, na ich pierś wygaśłą,
I, nachleptawszy krwi się w jawnej zdradzie,
Podnosi w górę swą szyję opasłą
I, potrząsając grzywiastą szczecina,
Urąga echem pieśni, co z za grobów płyną.

A one-ć echa słodkie, jak poszumy
Bagczysarajskiej kroplistej fontany,
A pełne woni, jako róż tych tłumy
Z nad brzegów Wili, piaskiem wyłaczanej;
Czyste, jak dźwięki tej myśliwskiej dumy,
Co szła na jary i na żytnie łąny,
A promienniejsze od gwiazd miliona,
Co strzegą nieszczęśliwych dzierzaw Palemona...

A ich potęgą, jako ryk tej fali,
Co się rozbija o skały Judahu;
Jak druzgot murów, gdy ramię ze stali
Wstrząsa słupami zdradzieckiego gmachu;
Jak owy płomień, gdy się Konrad pali
I z świadomością, która nie zna strachu,
Samemu bóstwu wypowiada wojnę
I gardzi tem, co niskie, i tem, co spokojne...

Pieśń twa umilkła, a złowieszcze wycia,
Zrodzone z piersi, wydętej trucizną,
I do naszego przypełzły ukrycia
I owładnęły ziemią, ongi żyzną
W rycerski zapał i pogardę życia...
I zaczęliśmy bluźnić świętym bliznom,
Urągać grobom, co skryły w swe wnętrze
Co w ludziach jest największe i co jest najświętsze.

I zaczęliśmy lizać krwawe dłonie,
Zbrojne w żelazo, i upadać plackiem,

Zamiast do góry w swoich praw obronie
Podnosić czoła! W służalstwie prostackiem
Szliśmy pracować na obcym zagonie,
Swoją znieważając pluciem świętokradzkim;
I tak pod razem dziejowej maczugi
Zeszliśmy na ostatnie, na najlichsze sługi...

I zapadliśmy w ciężki sen zimowy,
Głusi na okrzyk szlachetnych rycerzy,
Co z walk zamętu wychylają głowy,
W wieniec odwagi przystrojone świeży!
A gdy się zdarzy, że te snu okowy
Przetnie nam odgłos wojennych puklerzy,
Wstajemy gnuśni, przecieramy oczy,
A z piersi nam, jak kamień, przekleństwo się toczy...

I przeklinamy z całą słów nagością
Onych helotów, spodlonych niewola,
To, co chce zadać kres dziejowym złościom,
Co w życiu ludów jest ożywczą solą;
To, co zgotować pragnie naszym kościom,
Tułaczą dzisiaj połamany dola,
Grób w własnej ziemi; to, co w imię nieba
Dla wszystkich w równej części rozdziela kęs chleba...

Ale od dzisiaj śnać będzie inaczej!
Patrz! jakie tłumy garną się wokoło
Twej trumny, wieszczu! bez piętna rozpaczy,
Ze łzą — wesela: Wesoło! wesoło!
Patrz! jak się rusza ten zastęp wieśniaczy
W imię Twojej pieśni! jak podnosi czoło!
Śnać mu się w piersiach wielka siła rodzi,
Jak chciałeś, ostateczny śnać zeń głos wychodzi!...

O arcymistrzu! wracasz w nasze progi
A z tobą razem śnać twa pieśń powraca

W kraj, gdzie kłosiste nie piętrzą się stogi,
Gdzie pół radością słońce nie wyłaca,
Gdzie w łzach wiekowych drży naród ubogi
I gdzie na marne idzie krwawa praca...
O arcymistrzu! patrzaj! mimo troski
Na twarzach jaki ogień promienieje boski!...

II.

W ROCZNICĘ ŚMIERCI.

I.

Umarł, lecz żyje. Czas go nie przemoże,
Ni zmienność haseł, ani syk zawiści,
W nim bowiem tajnię swego bytu iści
Dusza wszechświata, twórcze Słowo boże.

Potargał serca żelazną obrozę
I poprowadził w pełen bujnych liści
Ogród swobody. Wieku Promieniści
Czerpią zeń siłę... »Ja się już nie trwożę

O waszą przyszłość!« — rzekł Czynu i Pieśni
Ten Magnus Parens. — »Przez żywota ciemnie
Idąc, nadzieję i ból macie we mnie,

Zmienione w puklerz. Zmarłej mówcie: Wskrześnij!
Głaz odwalajcie wbrew strażnikom wroga,
A jeśli wrogiem Bóg, — wbrew woli Boga!«

II.

Sięgnąłeś, Mistrzu, tam, gdzie wzrok nie sięga,
Ogromem ducha objąłeś ogromy,
By pieśń wyrzucić, jako znak widomy,
Że jest w narodzie żywota potęgą,

Choć mdleje w jarzmie, w które wróg go wprzęga,
I choć na jego wielkich pragnień złomy

Śmierć dziś zarzuca w wszechmocy rzekomój
Szary swój całun... Wiara się wylęga

Z Twojego Słowa i wciąż nowy stwarza
Zastęp pielgrzymów, co męczeńsko spieszy
Do świątynnego ogni Twych ołtarza.

Stamtąd, zabrawszy iskrę Prometeja,
Ku umęczonej znów powraca rzeszy,
Budząc ją chórem: Nadzieja! Nadzieja!

III.

NA ODSŁONIĘCIE POMNIKA A. MICKIEWICZA W KRAKOWIE.

W prastarym grodzie, w stolicy królów,
Gdzie chwałą każdy oddycha głaz,
Gdzie pełna smutków i skarg i bólów,
Wielka się przeszłość wpatruje w nas —
Naród, co klęski pisze w swej księdze,
Co ma 'za godło ciernie i krzyż,
Słowu bożemu, wieszczcej potędze,
W hołdzie dziś marmur składa i spiż.

Tu, gdzie się ludu ważyły dzieje,
Sąsiad cześć dawał, korzył się wróg,
Gdzie ongi walnych zwycięstw trofeje
Wodze do króla składali nóg:
Tu dziś wśród królów, w czci i podzięce,
I wśród hetmanów postawia lud
Tego, co berło pieśni miał w ręce,
Co huf ku wielkiej Przyszłości wiódł.

Lecz ani marmur ni twarde spiże
Nie uczczą siły, co blasków zdroj
Złała, o Polsko, na twoje krzyże
I na stuletni grobowiec twój!

Godniejszy pomnik zbudują dla niej
Serc milion, gdy przyjdzie dzień,
W którym zabici i pogrzebani
Za sprawą wieszczych odżyją tchnień.

A już — patrzajcie! — w onej oddali,
Przez ołowianą powłokę chmur,
Dnia tego jutrznia złota się pali,
Gotując słońcu promienny tór:
Jak Anioł Sądu, tak się kołysze
Nad mogiłami Adama pieśń,
Ażeby przerwać cmentarną ciszę,
Życiem rozeprzeć grobową cieśń.

W prastarym grodzie, w stolicy królów,
Gdzie chwałą każdy oddycha głąz,
Gdzie pełna smutków i skarg i bólów,
Wielka się Przeszłość wpatruje w nas —
Naród, co wiarę pisze w swej księdze,
Co w znak tryumfu chce zmienić krzyż,
Słowu bożemu, wieszczej potędze,
W hołdzie dziś marmur składa i spiż.



XVI.

SŁOWACKI.

Przekleństwem zegnał grób Agamemnona
I, zasłuchany w ostry brzęk łańcuchów,
Szedł w odblask zorzy, co, jak krew, czerwona,
Wciąż się zapala z ognia wielkich duchów,
A gaśnie tylko dla zjadaczy chleba,
Którym promienia bożego nie trzeba.

I w tej wędrówce, posępny i dumny,
Idąc łańcami wielkiego cmentarza,
Roztrącał stopą zmurszałe kolumny
I, mając harfę, która szumy stwarza,
Wichrom podobne, tchem swej wielkiej pieśni
Rozwiewał w nicość fosfor z mogił cieśni.

A gdy w ciemnościach nie widział już drogi,
Któraby kroczył w przestwór, pełen słońca,
Wzywał zniszczenia rozpasane bogi
I z ich pomocą gromadził bez końca
Dawne sztandary i rzucał na stosy
I wzniecał pożar, idący w niebiosy.

I uderzając w metalowe struny,
Rozbudzał ze snu śpiące dotąd woje,

Tłumy nieznane i w blaskach swej łuny
Na ich siermięgi kładł rycerskie zbroje,
Nowe proporce dawał swoim gościom,
Mówiąc: jesteście siłą i przyszłością!

Spieszcie — tak śpiewał do wojów szeregu —
Wy świata kołem z siarki i ze stali,
Które puszczone w ruch, w płomiennym biegu
Nie prędej stanie, aż chwasty wypali
I, niezmężone posiadając moce,
Wszystko, co podłe, na prochy zdruzgoce.

I niech was — mówił ruszającym w pole
Na jego pieśni druidyczne tętno —
Nie straszą krzyki tych, co wam na czole
Niby Kaina dostrzegają piętno
I, widząc koniec, co się do was zbliża,
Chcą przeznaczenie wstrzymać w imię krzyża.

Krzyż w waszym ręku! Ponad krwawy zamęt
Wy go zatkniecie na zdobyty szaniec
Czystszym, jaśniejszym... Oto mój testament,
Który wam świecić będzie, jak kaganiec,
Zestrzelający w sobie w nowej włóści
Złociste ognie wszystkich słońc ludzkości.

Potem wypełniał sobą dzieje świata —
On, w mitycznego wyrosły olbrzyna,
Co kometami swoją skroń oplata,
A w ręku berło z błyskawicy trzyma
I na złe rzuca niweczące gromy,
Bożej potęgi rdzeń i znak widomy.

Król-duch wspaniały! niezmarły Syn słowa!
Mściciel, zrodzony z zgliszczy i popiołów!
Świt promienisty, jasność porankowa,
Roztapiająca czarnej nocy ołów!

Zaczyn i wątek rapsodu o treści,
W której się przebój i zwycięstwo mieści.

A czasem, idąc po tym wielkim torze
W dal, w którą rzucał posiewy wyzwoleń,
Od łez serdecznych wstrzymać się nie może
Nad pokosami zwałonych pokoleń:
Zasłania oczy, cierpieniami błady,
I z strun płaczące dobywa kaskady.

A czasem, płynąc — rozbitek tułaczy —
Po własnych losów wzdętym oceanie,
Jak człek najlichszy zajęknie z rozpaczy,
Że jego kościom ojczyzny nie stanie,
Że duch, ten Śwityn walk i mąk i znoju,
Na obcej ziemi nie znajdzie spokoju.



XVII.

PAMIĘCI SZOPENA.

Szumiały mu nasze wierzby
I nasze topole
I ten ciężki kłos pszenicy,
Co ozłaca rolę.

Szumiały mu cichą pieśnią
Zielone dąbrowy
I te trzciny nad jeziorem
I ten bór sosnowy.

A on chodził wśród tych szumów,
Zasłuchany w dale,
I w przestworze bezgranicznym
Topił swoje żale.

I w topole się przemieniał,
W kłos pszenicy złoty,
A łanami szła pieśń cicha
Łkającej tęsknoty.

Sosnowego boru szepty
Płynęły mu z duszy,
Tajemniczych pełne zwierzeń
W przedwieczornej głuszy.

Pajęczyny wiotkie przędzie
Otulają rżyska,
A w moczarach zmarła woda
Opalami błyska.

Smutek idzie po przydrożach,
Liście z drzewa strąca,
A źrenicę mu wypala
Zorza konająca.

A tam dziki wiatr się zrywa,
Z stodół zdziera strzechy —
Boleść tylko i żałoba,
A nigdzie pociechy!

A tam pożar wszczął się krwawy,
Łuną złane nieba —
Hej! umrzemy z nędzy, z głodu,
Zabrakło nam chleba!

A tam czarny wóz się toczy,
Wrony nad nim kraczą,
Księża pieją miserere —
Hejże w tan z rozpaczą!

Rznij, muzyko, a ty, żydzie,
Dolejże nam wódki!
Utopimy łzy i rozpacz,
Tęsknoty i smutki!

Co nam świat ten! Co nam życie!
Snać sam Bóg nas rzucił!
Kiedyż-że to ranek szczęście
Nieszczęśliwym wrócił?!

Rznij, muzyko, a my dalej!
Walczmy choćby z Bogiem,

Który oko swe przymrużył
Nad naszym rozłogiem!

Rznij, muzyko! A ty, pieśni,
Leć w przestwór daleki!
Świat przed tobą się ukorzy
I uklękną wieki!

Łkaj! rozpaczaj! grzmij i czoło
Stawiaj zawierusze;
Ziemię polską mieścisz w sobie
Ach i polską duszę!



XVIII.

TWÓRCY SCENY POLSKIEJ.

W nasze przybytki wtargnął wróg. Na burze,
Na szalejące wypędził nas gromy:
I ród, co ongi zwykł chadzać w purpurze
I na swem czole nosił znak widomy
Królewskiej siły, zmienił się w nędzarzy
Zastęp żebraczy, obdarty i chromy,
Z śladem boleści na zbiedzonej twarzy
I z piętnem wstydu, który ogniem parzy.

I, mając czarne nad sobą niebiosy
I w nawałnicy snąć nie widząc drogi,
Tłum ten na polu stanął, gdzie się kłosa
Ongi złociły, a dzisiaj odłogi
Bezpłodem świecą: Na łanie, kopyty
Końskiemu zdartym, trząsł się, jak te głogi,
W deszczach jesiennych, albo stał, jak wryty,
Oczy wlepiając w pomrok nieprzebyty.

A coraz groźniej szalał wicher: na głowie
Włos tym nędzarczom rozwiewał, łachmany
Targał na ciele skulonem, w pustkowiu
Jęk ich zanosił, zimnem jątrzył rany
Niezakrzepnięte; straszliwej muzyce
Gromów wtórując, każdy wypłakany

Żal witał świstem; czerwieniąc źrenice,
Z każdej łzy szydził, gdy spadła na lice.

I już się zdało, że niema zbawienia,
Że lada chwila zgaśnie wszystko życie,
A tylko hańba w długie pokolenia
Będzie świadczyła o minionym bycie.
Już się zdawało, że w tej nocy ciemnej,
Gdzie szukać światła na pochmurnym szczycie
Za trud i śmieszny miano i daremny,
Nie upadł naród wielki, lecz nikczemny.

Ale Duch Boży, to w światów ogromie
Skryte nasienie, z którego się rodzi
Wszelakie dobro; ten Duch, co widomie
Nieraz pomiędzy tłum wzgardzonych schodzi
I tam, gdzie słabość i rozpacz się szerzy,
Nagle zastępy olbrzymów wywodzi,
Mścicieli krzywdy, światłości rycerzy,
Huf, wielką wiarą i nadzieją świeży —

Ten Duch, przed którym samolubne karły
I gnębiciele ze strachu dygocą,
W chwili, gdy świat już zdawał się umarły,
Spłynął na nędznych; swoją zbawczą mocą
Do góry podniósł pochylone głowy,
W oczach, boleści przysłoniętych nocą,
W łzie pływających, żar wznieciwszy nowy,
Ukazał życie, gdzie był grób gotowy.

I jak te kości, na wieszczbę potężną
Ezechiela z mogił powstające,
Tak, zmartwychwstawszy, szli jedni orężne
Poczynąć walki i krwi swej gorące
Lali strumienie, dzierżąc miecz, dopóki
Dłoń nie zastygła, a drudzy nad lśniące

Kordy, nad armat piorunowe huki
Wzniesli do góry sztandar polskiej sztuki.

I ci i tamci jednakowej treści
Pierś mieli pełną, pragnęli do chwały
Podnieść promiennej to, co wśród boleści
I pośród mroków w błoto podeptały
Zbrodnicze stopy; jednaki się wije
Laur u ich skroni; tych i tamtych cały
Trud miał pokazać, że, lubo mu szyje
W łańcuch zamknęto, lud zgnębiony żyje!

I tak od wieku, który w swe odmetry
Nieprzeliczone wciąż wchłania ofiary
Ze serc i mózgów, z ciał i dusz, ze świętej
Zapałów iskry, z płomienistej wiary
I z łez rozpaczy — od wieku, co dzieła
Wszczał nieśmiertelne, swe wielkie sztandary
I tych i tamtych silna dłoń rozpięła,
Głoszące światu: Jeszcze nie zginęła!

I tak się działo w tej stuletniej dobie,
Że w hasłach jednych był zaród żywota
Drugich: wieszcz podniósł wielki głos na grobie,
A, jak z pod ziemi, wojowników rota
Naraz wstawiała: zaś gdy ci w pogoni
Krwawej upadli, gdy nadziei złota
Skra zgasła z nimi, na ojczystej błoni
Siali znów życie wieszcz, histrioni...

I histrioni!... Patrzcie, jak ich wargi
Roznoszą dźwięki naszej pieśni polskiej,
Pełnej radości i posępnej skargi,
Ognia zapału, wiary apostoelskiej,
Łaski i kłatwy! Patrzajcie! jak płynie
Rozgrany burzą głos harfy eolskiej,

Tak oni nieraz w nawałnic godzinie
Nieśli hymn zbawczy po śmierci krainie.

Patrzcie ich rodzic, gdy wszystkie narodu
Stracono bóstwa, największej świętości,
Pieśni rodzimej, wzniosł kościół! W zawodu
Strasznym zamęcie, kiedy rozpacz w gości
Przybyła do nas, gdy ugięto głowy
Z żalu nad stratą tylu drogich włosów,
On nam wskazywał, że w burzy gromowej
Został nietknięty skarb ojczystej mowy.

To też dopóki wrogi los nie złamie
Ostatniej naszych przybytków kolumny,
Dopóki życia nieśmiertelne znamię,
Nasz język święty, nie zejdzie do trumny,
Póki dźwięk jego będzie wieszczyl brzaski
Nowego jutra, potem wielbił dumny
Dzień ów słonecznej wybawienia łaski,
Póty żyć będzie histrio — Bogusławski!



XIX.

LIRNIK MAZOWIECKI. CIENIOM LENARTOWICZA.

W rokitynie bąk zabębnił, kos zagwizdał w lesie,
Kukułeczka zakukała do rumianej zorzy,
Huk wywilgi cichy wietrzyk po wierzchołkach niesie,
W niebo wzleci skowroneczek, ranny śpiewak boży...

Wzleci w niebo, szare skrzydła wykąpie w błękiecie
I tak słodko się odezwie z dźwięczącej gardzieli,
Aż przepiórka mu odpowie, ukryta gdzieś w życie,
Aż zielony łąn, jak długi, w głos się rozweseli.

Aż z tej rzeki, co po piaskach modre toczy koła,
Srebrne rybki wychyliły z ciekawości głowy,
Jedna drugą, popluskując, do gromady woła
Na to granie zbóż i ptaków, na hejnał majowy.

Na ten poszum zbóż i klonów, na szelest jaworu,
Szmer topoli, pomruk dębów, zbrojnych w setne lata,
Na kalinę pokraśniałą, szepczącą wśród boru,
I na gwar ten, którym gwarzy wierzba rozsochata.

Płynie, sunie pieśń po rosie, błyszczącej na trawach,
To na kwiatach chwilę spocznie, o gałąź zaczepi,

Po strumieniu się przewije, to się nurza w stawach,
To wystrzeli, niby promień, gdzie się niebo sklepi.

Płynie, sunie pieśń po rosie — wprasza się wierzbina:
Hej, pastuszk, ani nie wiesz, jakie tajemnice
W tej gałązce, co ku tobie sama się przegina;
Wyliń! wyliń z niej fujarkę, niechże się poszczycę!

Li! li! li! li! piszczaleczko!... Płynie pieśń po rosie:
Pani pana w cichym grobie schowała w ogrodzie,
Śpiewa ruta, nuci lilia: co tu nie stało się!
Z wierzchu zioła dookoła, a trupik na spodzie.

Nie tak smutno, piszczaleczko!... Głos po rosie leci:
Jakże ja się nie mam smucić, kiedy wszędy zdrada:
Ponad brewką starszej siostry krwawa plama świeci,
Młodsza w dole, a zaś starsza do wesela siada...

Li! li! li! li! piszczaleczko! a dalejże, dalej!
Kiedy nie chcesz już inaczej, niechże głos twój płynie
Po tej rosie, po tym boru, po tej mokrej fali,
Po pagórkach mchem pokrytych, i po tej dolinie.

Płynie, sunie pieśń po rosie — dziewczę rwie jagódki
Staje, słucha, dzbanek puści, zdziwiona zapyta:
Co tak prawisz, ciemny gaju, gaju zieloniutki?
Co tak szepcesz, gałązeczko, powojem owita?

Płynie, sunie pieśń po rosie — zanim gaj odrzeczce,
Nim gałązka olszynowa coś z siebie wyjawi,
Z ust Jagusi, sama nie wie, jak nuta pocieczy
O tej doli i niedoli, która serce krwawi.

O sierotce, co z tęsknicy w ziemi zmarł dalekić,
Bo choć mleka miał do syta i białego chleba,
Nie miał jednak tej dąbrowy i ojczystej rzeki,
Nie miał jednak polskiej ziemi i polskiego nieba.

Płynie, sunie pieśń po rosie, dziw, że nie omami!
Ba! omami, jak ten ogień w moczarowej łożnie...
Odsieb', wołki! ano k'sobie! chłop ja nad chłopami,
Stodołeczka świeżo kryta, dwa konie przy wozie!...

Jeden konik skarogniady, drugi jabłkowity,
Jutro w mieście odpust święty, pojedę z żonulą,
Wszak ma kabat granatowy, we Warszawie szyty,
I korale, aż się oczy od czerwieni tulą.

Niema ci to — niech gadają, co chcą — nad stan kmiący!
Człek haruje, gnie się nieraz, aż mu pot się leje,
A jak ino utną skrzypce, sprostują się plecy,
A po rosie skoczna nuta popłynie, powieje...

Hej! powieje! hej popłynie, grajże, miły Janku,
A ty smykiem tak od serca pociągnij po basie!
Przytupujże!... Jeszcze piwa nie zabrakło w dzbanku;
W niebie grają Jezusowi, gdy owieczki pasie...

Rzecz wiadoma! Toć niedawno z dalekiej podróży
Powróciła dusza Baśki, a ta prawi wszędy,
Że tam w górze, tak jak u nas, gdzie człek na chleb służy,
I zagony pługiem orzą, rydłem kopią grzędy...

Ino kłosa ma złociste pszeniczka niebieska
I złociste, niby słońce, jabłka na jabłoni!
Raju! raju! święty kraju, gdzie nie płynie łezka,
A jak płynie, to z żalości, że człek za złem goni...

Goni! goni! a nie widzi, że to złe-niewiara
Tak od razu do otchłani piekielnych go stoczy —
A i w piekle była-ć Baśka, ona kuma stara,
Madejowe nawet łoże widziała na oczy...

Graj-że, grajku! Straszno myśleć!... Urznij tak od ucha,
Cała wieś się, patrząc, zbiegła, walne będą tany,

Bieda z nędzą takiej nuty pewnieć nie wysłucha —
Już ucieka, zakasawszy poly od sukmany...

A niech-że ją! toć jej Maciek aż zanadto dożył:
Grad mu wytłukł wszystko w polu, piorun wziął stodo
Chałupa się rozwaliła, żonę w grób położył,
A dzieciaki bez koszulka, jak ten piasek, gołe.

Siła złego na jednego!... Maćku! dalej w płasy!
Jeszcze Polska nie zginęła, chociaż złe się szerzy,
Jeszcze sobie tak do góry podkręcimy wąsy
I ty, bracie, do moskiewskich nie pójdziesz żołnierzy!

Będzie lepiej! bo czyż w nas-to gęsie serce drzymie?
Chłopska dusza ma być niby, jako pisklę, w koszu?
Sam naczelnik — niech na wieki słynie jego imię —
O kim mówił, że jest szlachcic? — o naszym Bartoszu!

My szlachcice! orzem pługiem, bronujemy brona,
W pocie czoła do wielkiego sposobim się dzieła,
Odbudujem własnym trudem Polskę utraconą
I hukniemy na świat cały: Jeszcze nie zginęła!

I huknęli, a głos leciał łanami, lasami,
Od wsi do wsi szedł po rosie ten okrzyk radosny,
Aż się w niebie zaśmiał lirnik, co pieśń nad pieśniami
Na gęśliczce wygrał prostej z mazowieckiej sosny.



XX.

MARYI KONOPNICKIEJ.

»A gdy poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę...«
Na niedolę, na tęsknotę
Płyną w szumach kłosy złote,
Śród kwiecistych łąk do morza
Płynie w szumach rzeka boża;
Blask słoneczny żarem pali
Po niebiosów wielkiej fali.
A wybrzeżem, bruzdą, miedzą,
Przyrowami, kędy siedzą
Senne wierzby i burzany,
Idzie duch Twój zadumany.
Tęsknicami pól opity,
Idzie duch Twój do mogiły,
Gdzie po wrzawie, gdzie po wojnie
Stach na wieki legł spokojnie.
Na krawędzi grobu spocznie
I rozprzędza żalów mrocznie
Po dolinie i po lesie —
W krag, jak cichy szum się niesie,
W krag, jak powiew trawy depce,

Duch Twój dziwne skargi szepce,
Ze gdy wracał król w swe mury,
Choraławiane wnet purpury
Kłoniły się mu pod nogi,
Gdy król z sławnej wracał drogi.
A Stachowi, gdy go w dole
Po krwawicy, po mozole
Kładły z smutkiem ręce bratnie,
Na żegnanie, na ostatnie,
Zimne dzwony bić nie chciały,
Bo się rozszedł talar biały,
»Tylko dzwonki liliowe
Dzwoniły mu przez dąbrowę«.

* * *

I tak idzie rozmarzony
Przez zapłocia, przez wygony,
Przez zagrody i cmentarze
Idzie duch Twój z smętkiem w parze.
Zrywa miękki kwiat jabłoni
I jaskółki w locie goni,
Skowrończane pieśni łowi
Śród gleb żyznych i pustkowi,
Krwia od cierni ręce plami,
Czoło zdobi jagodami,
Jagodami tego bolu,
Który wyrósł w naszym polu...
Jakaż wielkość w tej ozdobie,
Którą znalazł duch na grobie!
Jakiż czar się dziwny mieści
W tych srebrzystych łzach boleści,
W których błyszczą hen dokoła
Nasze drzewa, nasze zioła!
Jakaż pieśń się mocna rodzi,
Kiedy, brocząc w ros powodzi,
Duch Twój w przestwór wlepia oczy,

Patrzac, komu dzien sie mroczy,
A zaś komu ranna zorza
U szcześnie go staje łozą!
Jakież rajskie płyną tony,
Kiedy duch Twój roztęskniony
Nadsłuchuje, skąd w niebiosy
Te rycerze biją głosy —
Czy od mogił, które pługi
Rozorały w zagon długie,
Czy od łanów, gdzie rycerze
Mają kłaść się w doły świeże?
Lećcie pieśni i nadzieje,
Razem z wiatrem, który wieje
Od uroczysk i od granic,
Gdzie bohater skon ma za nic!
Lećcie, pieśni, po tej fali,
Co się ogniem wiary pali,
Rozżagwionej snąć bez końca
W tym wschodzącym kręgu słońca.
Lećcie, pieśni, lećcie w gości
W ten weselny dom miłości,
Do pałaców i pod strzechę
Na tryumfy, na uciechę!...

* * *

I tak duch Twój idzie, płynie
I nie spocznie na wyżynie,
Skąd w błękitnej duchów ciszy
Jęków ziemskich nie usłyszy.
Rozmarzony, roztęskniony
Hen! w ojczyste idzie strony
I w pochodzie się nie znuży
Ni przestraszy się tej burzy,
Która żarne zbiera gromy,
By je rzucić w nasze domy!
Nie nastraszy się tej chmury,

Skrywającej w cień ponury
Żniwny rozłóg, by za chwilę
W bezlitośnej sypnąć sile
Mroźnym gradem... Tylko czasem,
Kiedy strzeli ponad lasem —
Nad rozłogiem kiedy strzeli
Błyskawicznej smug topieli,
Kiedy piorun za piorunem
Zacznie szarpać chmur całunem
I, w niszczącej swej potędze
Rozszalały, groźny, dziki,
Bezechowe chłonie krzyki
Tego ludu, który nędzę
U kołyski ma i trumny,
Duch Twój, patrząc w zamęt tłumny
Kłesk i cierpień i rozpaczy —
W zniweczony patrząc szlak,
Jak wylękły staje ptak,
Swą obecność jękiem znaczy
I ku niebu zgniewanemu
Rzuca smutne: czemu?! czemu?!
Niebiosa mu nie odjękły,
A on, duch Twój, ptak wylękły,
Połamane skrzydła nurza
W tych zatorach, które burza
Wyżłobiła gromów mocą,
I, osłonił żalów nocą,
Rzuca niebu milczącemu
Swoje żalne: czemu?! czemu?!
O radości, o rozkoszy!
Słońce czarne kłęby płoszy,
Rozwarły się nieb wierzeje,
W blaskach łąka w głos się śmieje,
Jaskrów śmieją się tysiące
W ono słońko promieniające,
A w piwnicy blade dziecię
Zapłakanej pyta matki:

Hej! matulu, czy są kwiatki —
Czy słoneczko jest na świecie?...
O rozkoszy, o radości!
Szczęście spieszy ku nam w gości,
Fujarkowej odgłos pieśni
Pochwytują ptacy leśni,
Pełne ziarna gną się żyta,
A od chaty od zagrody,
Gdzie zmarł z głodu synek młody,
Idzie w żniwny łan najmita!...
O uciecho, o wesele!
Świat się nowym duchem ściele,
Sprawiedliwy dzień się zbliża,
A przed sądem, wobec krzyża
Zbrodnia życia grób już kopie,
Staje nędzne, biedne chłopię!

* * *

Duch Twój z skrzydły zranionemi
Chciałby uciec od tej ziemi
W błękitniejszą lecieć dał,
Ale tak mu żal! tak żal!
Pójdzie, wzleci, rozkołysz
Piór łopotem świętą ciszę,
Co oprzędza naw marmury,
Gdzie duch jakiś spoczął wtóry,
Gdzie tajemny półmrok głuchy
Wypełniają setne duchy,
Przemocarne, przepotężne,
W lotach swoich niebosiężne,
Nurtujące hen! aż do dna
Wskroś wieczności fal!
Pójdzie — droga, trudów godna, —
I w mistycznych mżach witraży
Z tłumem duchów tych pogwarzy
Śród sklepionych hal...

A z daleka, od tej ziemi,
Skąd szedł z skrzydły zranionemi,
Cichy wiatr zawiewa,
Cicho szumią drzewa —
Ach! jak mu żal! jak żal!
Zmilknij, wietrze! milczcie, jodły!
Inne szlaki mnie tu wiodły,
Inne mnie tu gnały loty
W kraj promienny, w kraj ten złoty!
Łódź ma płynie w żar, w promienie,
W słodkiej tonę kantilenie —
Pal się, blasku, pal!
Tam niech krwawe gorą zorze,
Niech zagony nędzą orze,
Niech się zgłiszcze w słup rozdymi,
Przeczerwony, przeolbrzymi,
Tutaj w złotne znów opony
Cyprys tuli się stęskniony,
Pinie tu swą głowę
Tulą w sny różowe...
Skier spływają ametysty
Na półmroków smug srebrzysty,
A ty, wierzbo moja stara,
Czyś ty mara, czy nie mara?
Skąd się wzięłaś w tej godzinie
Wśród cyprysy i wśród pinie?
Skąd się wzięłaś na te drogi,
Gdzie rozwiewne, białe togi
W elizejską płyną dal?
Skąd się wzięłaś, wierzbo siwa,
Na te czary, na te dziwa —
Ach! jak mi żal! jak żal!...
Panie! dałeś mi stygmaty,
Że się mogę wzniesć nad światy
I w błękitnej duchów ciszy
Pukać do twych wrót.
Niech się spełni cud!

Niech Twa ręka je otworzy
Mojej pieśni bożej!
Jęków ziemskich nie usłyszysz,
Gdy, wpatrzona w Twoje lice,
Wieścić będzie tajemnice
Mórz, skąd bije Duch!...
Hej! Ze skrzydły zranionemi
Nie powróci do tej ziemi;
Straci wzrok i słuch,
Rozemglona,
Zatopiona
W wiekuistą dal...
Ach! jak jej żal! jak żal! jak żal!...



XXI.

ELIZIE ORZESZKOWEJ.

I.

Oto jest geniusz, który na Twe skronie
Składa Ci wieniec, uwity z wawrzynów,
Znak wielkiej myśli i potężnych czynów
I ognia uczuć, co Ci w sercu płonie...

O najprzedniejsza z owych paladynów,
Otaczających w przewybranem gronie
Stół Króla-Ducha, widna w milionie
Najlepszych córek i najlepszych synów:

Te trzy brylanty w chwały dyademie,
Który z dni życia kuja bohaterzy,
Aby nim dumne przyozdobić ciemię —

Te trzy klejnoty, gdzie snąć niebo gości:
Myśl, czyn i czucie, w Tobie blask swój świeży
Łączą w żar jeden, w żar wielkiej miłości!...

II.

Chmurne niebiosy i blask słońca złoty,
Piaszczyste wydmy i pszeniczne łąny,

Szum rzek rodzinnych i bór rozśpiewany
W melodyę, dziwnej przepętną tęsknoty;

Radość, co duszę stroi w kwietne sploty,
Rozpacz, co krwawe zadaje nam rany,
Trud, co uprawia zagon, łzami zlany,
I parcie naprzód do twardej roboty:

Wszystkie te światła, ach! i wszystkie cienie
W ciężkiego życia połączone treści,
Znalazły miejsce w Twojej piersi niewieści.

I paryasów smutne pokolenie,
Spragnione wytchnień, w Tobie swej boleści
Ma rozjęk cichy i swoje milczenie.



XXII.

WITAJCIE DO NAS, DRUHOWIE!

NA ZŁOT SOKOLI WE LWOWIE 5 CZERWCA 1892.

Witajcie do nas, druhowie! W tym grodzie,
Co bohaterskie króle i hetmany
W murach swych gościł i w mężnych pochodzie
Nie bywał nigdy ostatni, lecz zawsze
Dla wielkich czynów duszą był wylany
I dla nich losy ponosił najkrwawsze —
W tym grodzie,
Co przed swem własnem miał narodu zdrowie,
Serce wam w starem otwieramy słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Szum twoich skrzydeł, sokoła drużyno,
Zgnębionym ludom nowy dzień zwiastuje,
W którym z warg słabszych przekleństwa nie płyną
Na bezlitośną, twardą siłę wroga,
Dzień, w którym człowiek swobodny uczuje,
Że jest na prawdę podobien do Boga!
Drużyno,
Coś jest z tą jasną przyszłością w umowie,
Serce wam w starem otwieramy słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Patrzcie, wy martwi, patrzcie, wy zgnuśniali,
Do samolubnych przykuci rzemieoseł,

Trwożnie stroniący od szerokiej fali,
Gdzie niema miejsca dla chęci poziomej,
Gdzie cel jest jeden: używać swych wiosł,
By zbawić wszystkich, chociaż biją gromy...
Zgnuśniali!

Nikt wam pozdrowień szczerých nie wypowie,
Mężnym my serce otwieramy w słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Patrzcie! te dumne, pogodne postacie,
Potężną myślą w jeden hufiec zwarte,
Co czarodziejskiem hasłem: druhu! bracie!
Dnia dzisiejszego zbrukaną stronicę
Zmieni w przyszłości jaśniejącą kartę!
Patrzcie! te piersi! te barki! te lice!
Postacie,
Co nie spoczniecie w swej drogi połowie,
Serce wam w starem otwieramy słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Czerwony kolor miłości symbolem
I tego jutra, co się z niej narodzi;
Czerwony kolor na sercu sokolem
Jak krew ta płonie, którą wylać trzeba,
Gdy w dom nasz wtargnie uzbrojony złodziej,
Aby nam zabrać ostatni kęs chleba!
Symbolem,
W którym drży miłość w swej całej osnowie,
Przejęci, serce dajemy wam w słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Górami wasz sztandar, górą do wiosennych,
Słońcem oblanym wznosi się błękitów,
Wy go dzierzycie, pełni ziarn tych plennych,
Co ongi dały Kilińskich, Kościuszków —
Wy go dzierzycie z męstwem Taborytów, —
Z odwagą Żyżki, bez pokory służków!

Wiosennych

Dni, złanych słońcem, dumni zwiastunowie,
Serce wam w starem otwieramy słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Słyszycie trzask ten? Te grzmoty słyszycie?
To świat się stary wali w swych posadach;
W przepaściach piekieł ginie dawne życie,
Z kłamstwa zlepione, z ciemństwa, z pomroków,
Na przენiewierstwie oparte, na zdradach;
By wzniecić nowe, rażnych trzeba skoków...
Słyszycie?!

W was to rycerskie żyje pogotowie,
Więc serce w starem dajemy wam słowie:
Witajcie do nas, druhowie!

Wy wyrabiacie swoich mięśni siłę,
A z siłą mięśni hart serca i duszy,
Nie, aby bronić tego, co jest zgniłe,
Nie, aby deptać, co się słabszem mieni,
Ale tę siłę, która więzy kruszy
I gmach dla przyszłych stawia pokoleni!
Tę siłę,
Co się zbawieniem ciemężonych zowie,
W starem my dzisiaj pozdrawiamy słowie:
Witajcie do nas, druhowie!



XXIII.

W. W. W. W.

Dalej, bracia, do ordynku! dalej!
Ze stu wieżyc brzmi pożarny dzwon!
Naokoło świat się, widać pali,
Jęk i rozpacz płynie z bratnich stron!
Ponad ziemią, tam, ku wyżom nieba,
Łuną bije potok krwawych łez:
Walnej dłoni do ratunku trzeba,
Walni, spieszmy, kłaść nieszczęściu kres...

A kto chciałby nałożyć nam pęta,
Ktoby stanął w poprzek naszych dróg,
Moc toporów naszych popamięta
Ten zuchwał, ten niegodny wróg...
Zczezłeś, bracie, gdy w więzach masz ducha,
Gdy w kajdany skutą rękę masz:
Wolny strażak tylko wówczas słuca,
Gdy mu twardą trzeba spełniać straż...

Niech nas kręgiem śmiertelnym otoczy
Ten płomieni szalejący wąż:
Mimo dymu, co nam wyżre oczy,
Nie ustąpi, wierni sobie wciąż —
Wierni hasłu, że kto życie swoje
Raz już w służbę świętej sprawy dał,

Poprzez trudy ten pójdzie i znoje,
Poprzez gruzów i poległych wał.

Wasi zawsze, wam składamy dusze,
Nasze serca i rąk naszych moc,
Gdy w pożaru strasznej zawierusze
W dzień nieszczęścia przemienia się noc.
Niechaj świat się samolubstwem plami,
Samolubni myśmy tylko w tem:
Aby czujną mieć pieczę nad wami,
Gdy wy błogim spoczywacie snem.

Po rozłogach, po przestworach leje
Groźne dźwięki wielki dziejów dzwon,
Powstające obwieszcza nadzieje,
Śmierć niewoli i podłości skon.
Strasznej walki godziny wybiły —
Do tej walki hej! jak jeden mąż
Z wami razem, ile starczą siły,
Walni, wolni, wierni, wasi wciąż!



XXIV.

KANTATA NA ODSŁONIĘCIE POMNIKA A. FREDRY WE LWOWIE.

Cześć twórczemu słowu, cześć!
Ciało legło w grobu cieśń,
Pozostała żywa pieśń,
By nam ducha w błękit nieść,
W idealnych dążeń świat!

W mrokach ginie łańcuch lat,
Zapomnienie,
Jak potworny lecąc ptak,
Nad promienny wieków szlak
Kładzie skrzydeł swoich cienie!
Lśni się tylko życia znak
Niezgaszony, gdy się w pieśni
Kształty ucieleśni —
W kształty pieśni!

Cześć twórczemu słowu, cześć!
Wieczna cześć!
Ono wiekom dawnej chwały
Umie trwały i wspaniały
Pomnik wznieść!
Ono krzyż

Dni dzisiejszych w tryumf zmienia,
W jasną wyż
Ludzkie wiedzie pokolenia.

Nie zginął naród, jeśli umie czić
Tych swoich mistrzów, którzy z jego duszy
Wyszli, by głosem być w posępnej głuszy
I aby wiązać, jak cudowna nić,
Przyszłość zwycięstwa z przeszłością katuszy.

Wznosimy posąg, zimny spiż i głaz,
Ale w serc polskich żywym milionie,
O, pomnik stokroć wymowniejszy płonie
I stokroć trwalszy! Najburzliwszy czas
Czci dla twórczego słowa nam nie zwionie.

Cześć mistrzowi,
Cześć mu, cześć!
Niech cześć ta wiecznie żyje w nas,
Której nigdy nie wysłowi
Ni zimny spiż, ni martwy głaz!
O spieszmy nieść
Niezgasłą cześć
Mocy twórczego słowa!



XXV.

KANTATA

NA OTWARCIE FAKULTETU MEDYCZNEGO.

Po ziemi tej, skąpanej w smutków rosie,
O płyn-że, płyn radości szumny głosie,
Złam echa swe o szczyty gór
I niech ci morza odpowie wtór!
Gdzie nasz jest łan, gdzie nasz jest lud,
Jak najdźwięczniejszy zabrzmij dzwon;
Nie był daremny ciężki trud,
Ale bogaty wydał plon.

Otwarte już świątyni nowej wrota,
Naokół z niej popłynie łaska złota,
Popłynie z niej kojący źródło
Na ludzkie łązy, na ludzki bój:
Zródło wiedzy! źródło wiedzy, jak kryształ czysty, święty źródło!

I nowy stąd w koronie naszej ziemi
Zapłonie klejnot iskry królewskiej:
Lśniąc nad szczytami naszych chat,
Cudownym ogniem zadziwi świat.
I dzielnych stąd rycerzy huf,
Szerzących pełne dobro w kół,

Z dumą obsiedzie szczytny ów,
Baśnią owiany, krągły stół.

Radośny hymn niech wzbija się do góry,
Jak słońca blask, co rwie brzemienne chmury.
Z radości wraz tej wiedzy cześć,
Co zbawia świat, pospieszmy wznieść:
Cześć wiedzy! cześć wiedzy! tej świętej, czystej wiedzy
[cześć!]



XXVI.

W ALBUMIE.

W ramki sonetu zamykam te słowa
(Niechaj je nakształt powiędłego ziela,
Które wzięliśmy z ręki przyjaciela
Ongi, przed laty, pamięć Twa zachowa):

Nie szukaj blasku, co z mózgu wystrzela,
Choćby się mienił, jak wstęga tęczowa!
Wszystkiej mądrości taka jest osnówka,
Ażeby z serca czerpać zdroj wesela.

Próżno się bowiem chłodny mędrzec trudzi,
Chcąc z praw rozumu snuć szczęście dla ludzi —
Z miłości źródła zbawienie wypływa.

Zawsze też sercu oddaj panowanie,
Gdy w tobie rozum do walki z niem stanie,
Gdy uszczęśliwiać chcesz i być szczęśliwa.



XXVII.

WIERSZ KARMELKOWY.

Idę po koncept do głowy
Na jaki wiersz karmelkowy —
Trud to za wielki!
Nasz E...ly jeden na świecie
Umiał nadobnej kobiecie
Sypać karmelki.



IV
PRZEKŁADY

I.

OFELIA

Z JANA ARTURA RIMBAUD'A.

I.

Niby nenufar, w gwiazd drzemiących gronie
Biała Ofelia cichą płynie rzeką,
Płynie powoli w swym długim welonie,
Gaj się gdzieś wrzawą obzywa daleką.

Smutna Ofelia, fantom cichy, biały,
Lat przeszło tysiąc falą płynie czarną;
Lat przeszło tysiąc rozkoszne jej szwały
Słodko ku wiewom wieczornym się garną.

Wiatr pieści łono i w kwiatów kielichy
Kwef jej rozwija, drżący wśród głębiny;
Nad jej ramieniem rząd wierzb płacze cichy,
Nad sennem czołem wiotkie gną się trzciny.

Naokół dyszą pomięte lilie,
Z gniazd, rozbudzonych przez nią wśród rogoży,
W jęklive skrzydła ptak jakowyś bije,
Gwiazdy hymn szepcą tajemniczy, boży.

II.

Błada Ofelio, jak śnieg piękna świeży,
Dziecię umarłe, w dal niesione wodą:

Wiatr, co od wielkich gór norweskich bieży
Cicho cię z gorzką zapoznał swobodą.

Nieznany poszept, chłoszczący twe włosy,
Dziwne przynosił szумы twojej duszy;
Serce słyszało natury odgłosy
W drzew rozżaleniach, w jękach nocnej głuszy!

Piers twą zbyt ludzką rozbił fal potokiem
Wielki krzyk morza w kwietniowy poranek,
U stóp twych klęczał w milczeniu głębokiem
Biedny szaleniec, pobiłdły kochanek.

Co za sen: Niebo, Miłość, Wolność!... Biedna!
Jak ogień śniegom, takim on był tobie!
W twych wielkich wizjach zmarły słów twych sedna,
W nieskończoności wzrok twój zagał grobie.

III.

A zaś poeta mówi, że w pomroce
Gwiazdnej ziół szukasz, któreś pozrywała,
Że mu na fali, jak lilia, migoce
W długim welonie Ofelia biała.



II.

BIEDNI LUDZIE W KOŚCIELE
Z JANA ARTURA RIMBAUD'A.

Wtłoczeni w kąty wilgotne kościoła,
Co dech ich studzi, w ław dębowych cieśni,
K' pozłocie chóru obróciwszy czoła,
Z dwudziestu gardeł zbożne rycząc pieśni —

Zapachy wosku chłonąc, by woń chleba,
Szczęśliwi, korni, jak psy pod batogiem,
Ubodzy w Panu, cni wybrańcy nieba,
Śmieszne Oremus składają przed Bogiem.

Po sześciu znojnych dniach spocząć na gładkiej
Ławie — dla kobiet jakaż to ponęta!
Tam w dziwny kozuch zakutane matki
Muszą płaczące tulić niemowlęta.

Tam pierś ich brudna! Zup zjadaczki blade
Patrzą tam z prośbą, której nie wypowie
Okno, na chłystków złośliwą gromadę
Z kapeluszami zmiętymi na głowie.

W domu głód, zimno i mąż pijanica...
To nic!... Chwileczkę!... Potem niech je zdepcie

Trud... Teraz wokół charkot, poszept, lica
Starych babinek, przystrojonych w czepce;

Epileptycy, tłum szaleńców wraży,
Których się człowiek w drodze nie rad czepi;
Nosem łypiący zaduch brewiarzy,
Przez psy w podwórza wprowadzani ślepi:

Wszyscy, żebraczą ośliniając wiarę,
Ślą nieustanne skargi Jezusowi,
Którego okien malowidła stare
Wskróś pożółciły. Prósób ich nie ułowi:

Śni od wychudłych i opasłych zdala,
Precz od łachmanów i od mięsa woni,
A zaś wybrańsza płynie modłów fala,
Mistyczność w ton się szczególny rozdzwoni,

Gdy siny uśmiech i jedwabne szmaty
Z naw się wychylą, w których gaśnie słońce,
Gdy u kropielnic szereg dam bogaty
Całują chorzy w długich palców końce.



III.

KRUKI

Z JANA ARTURA RIMBAUD'A.

Gdy szron osrebrzy nasze łany,
Kiedy zapadłe, senne sioła
Na Anioł Pański dzwon zawoła,
Nad zmarłym światem rozbujany:
Niech z Twoich niebios, Panie Boże,
Spłynie k'nam drogich kruków morze.

O dziwne wojska! wrzasku dziki!
We wasze gniazda wicher uderza!
Lećcie na żółtą wód wybrzeża,
Na dróg krzyżowych rozstajniki!
Gdzie się wądolne rowy kładą,
Rozpierzchłe, łączcie się gromadą.

Po polach Francyi, gdzie się pleni
Wczorajszych zmarłych grób przy grobie,
Kołujcie w smutnej swej żałobie,
By człowiek baczył o jesieni.
Twój krzyk, żałobny ty nasz ptaku,
Niech nas przy wielkim skupia znaku.

Zaś piegż majowych śpiew radosny
Na wierzchach dębu, co w zaklęty
Pokładł się wieczór, jak maszt ścięty,
Zostawcie tym, o święci wiosny,
Których wśród leśnych gdzieś gałęzi
Snać beznadziejna klęska więzi.



IV.

WALC DEMONÓW

Z FERDYNANDA SCHMID'A (DRANMOR'A).

Je sais l'art d'évoquer les minutes heureuses,
Et revis mon passé blotti dans tes genoux.
Car à quoi bon chercher tes beautés langoureuses,
Ailleurs qu'en ton cher corps et qu'en ton cœur si doux?
Je sais l'art d'évoquer les minutes heureuses!

Ces serments, ces parfums, ces baisers infinis,
Renaîtront-ils d'un gouffre interdit à nos sondes,
Comme montent au ciel les soleils rajeunis
Après s'être lavés au fond des mers profondes?
— O serments! ô parfums! ô baisers infinis!

Ch. Baudelaire.

Quand je serai couché dans la froide tombe,
Dans cet affreux cercueil qui me glace d'effroi,
Bon ange! vous, ma douce colombe,
Pensez souvent à moi!

Oui, pensez à celui dont la triste vie
Ne fut guère que tourments et folles erreurs,
Et sur ma tombe, ma pauvre amie,
Venez jeter des fleurs!

Et dites à Dieu, chère âme tremblante,
Quand pour notre salut vous l'aurez imploré,
Que c'est Lui qu'en son oeuvre si charmante,
En vous j'ai adoré.

D.

Duszny to letni był wieczór...
Zbita w pośpiechu

Płomienna burza nad miastem,
Starem i grzesznem, szła;
Ziemia pragnęła
Tych łez niebieskich,
I ja, spragniony spokoju,
Pielgrzym samotny,
Z dusznemi wszedłem myślami,
W piersi trosk mając ciężary,
Po długim czasie raz pierwszy do wnętrza
Katedry, chłodnej i szarej.

W wielkim przybytku
Jedyne miejsce świetlane
Tam, gdzie Zbawiciel,
Tam, gdzie w cierniowej koronie
Ukrzyżowany swą głowę,
Konając, skłania ku ziemi;
Tam, gdzie to serce,
Którym boleści bohater
Świat ten ogarniał,
Kapłani w sukniach niewieścich,
Chłopcy z kadzidłem w swych ręku,
Na wzór pogańskich bożyszczy
Czczą dziecinnemi ofiary...

Kościół się kąpał w muzyce:
W ślad groźnych grzmotów trąb
Sunęły żądne przebaczeń,
Z strun wzlatujące płaczliwych,
Hymny miłości.
Przesłodkie głosy kobiece
Tę niewidzialną wielbiły
I nieznajomą Wszechliwość,
A kryształowe różańce
Ich dźwięków
Rzuciła harfa żałobna
W górę ku onej kopule,

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Zakład Filologii Polskiej

Nr _____

Skąd pozdrowienia swe stały
Kształty anielskie;
To znów te tony
Spadały cicho na ziemię,
W łzy przemienione,
I jako balsam najdroższy
Na ranne dusze
Roniły krople kojące —
I stała światłość się we mnie:
Gniew i nienawiść, wstręt i powątpienie
Nikłym się zdały ciężarem
Dla serca w skrusze,
Niegodnem jego dążenia,
Jego głębokich odczuwań niegodnem;
I zamiast z głową obwisłą
Modlić się razem z innymi,
Jam na pragnienie był pomny,
Pobożne, czyste pragnienie
Lekkomyślnego poety: *)
»Do tych ciemnych sklepisk nieba,
Gdzie lśnią złote gwiazd promyki,
Chciałbym usta swe przycisnąć
I jak orkan płakać dziki...«

Nie mnie dziś klękać
Przed wzniosłym obrazem boleści,
Który mi żadnej pociechy,
Żadnej nie zesłał nadziei.
Cóż mnie obchodzą
Znikome ludzi ustawy,
Gdy mówi głos mi wewnętrzny:
»Na krzyżu
Nigdy nie umarł Bóg?« —
Nie mogę wierzyć
W to posłannictwo twe boskie,

*) Heine.

Ale, Chrystusie, ja wierzę
W twą boską miłość,
I ja głębokom się chylił
W onej poważnej
I uroczystej godzinie
Przed tobą,
Coś bohaterstwem olbrzyma
Ziemski swój byt przewyciężył!
I ja wielbiłem twą siłę,
Siłę przeświętą, wspaniałą,
Ja, co sam siebie pożeram,
Żądzą przenędną, przemąłą!...
Że niezbadany,
Poruszający wszechświatem,
Praduch niedostępny
Spojrzał łaskawie na mnie, ten atom,
Onej godziny,
Czyż to być może?...
On, co jedyny
Patrzył na cierpień mych najskrytsze łoże?

Jam go przyzywał: »O niechaj
Skończę już bój z demonami,
Niechaj mi serca
Sęp nie rozdziera,
Jeżeli męskiej abnegacyi siła
Do Prometeja przykuje mnie skały;
Niech żądz nawałnica
U stóp moich huczy,
Niech mi swą pianą łechcącą
Bryzga u bioder:
Silny-m ja wobec pożądań,
A słaby tylko wobec serca swego,
Co łamie święte przysięgi,
Aby nie każdą z tych fal,
Bijących k'niemu,
Niewdzięczną witać ohydą —

Broń mnie przedemną samym,
Zachowaj mnie
Przed marzeniami,
Przed niewieściami kaprysy
I trzymaj zdala tę wspaniałomyślność,
Co szturm przypuszcza do serca.
Lecz jeśli
Nie może wznieść się do wolnej,
Do olimpijskiej pogardy świata,
Albo do pięknej, powszechnej
Miłości ludzi, niepomnej
Na samą siebie,
O wtedy
Niech obojętność ta mroźna,
Którą się chełpić przywykłem,
Wyrosła z mojej zgryzoty,
Przestanie sztuczną być!
Niech przyjdzie spokój cmentarza,
Niech mnie ogarnie chłód grobu
I zetnie w żyłach krew —
Cierpię, bo czuję
Nazbyt gorąco,
Cierpię, bo czuję
Nazbyt po ludzku!
Wybaw mnie z nędzy tej!...
Wewnątrz być zmarłym, nie tylko się z d a w a ć,
Czyż to nie lepiej,
Niż łąą dziecinnej tęsknoty
Te głuche noce napawać?...«

Lecz to nie anioł spokoju,
To nie zesłaniec z pochodnią —
Z tą przewróconą, na wieki gasnącą,
Zlitował mojej się troski:
Ponad mą głowę,
W tym starożytnym kościele,
Jako rytmiczne poszumy

Opadających fal,
Brzmiąły wskrós świeckie melodye
O tej miłosnej rozkoszy,
O tem miłosnem cierpieniu —
Pieśni, zrodzone z swawoli
Oddechów fletni srebrzystych,
To w płomienistych
Skapane żarach, gorące
I tumaniające
Wszystkie me zmysły...
I prysły,
Zbladły mi światła na niebie;
Nie wiem, co działo się ze mną,
Gdy koło siebie
Przed duszą ciemną
Zmarłębom uczuł pieśniarza
I o minionych pomyślałem dniach,
I o miłosnych poety łzach:

»Nie pytaj mnie,
Co z nas obojga się stanie;
Pozostaw sercu, aż złamie się,
Urok z ułudy zesnuty!...
O znam ja, wiesz,
Twą boleść piękną i świętą,
Gdy ku mnie smutne spojrzenia ślesz,
A z niemi ciche wyrzuty!...«

A ty nie pytaj mnie,
Jak sny niekiełzane,
Z gorących zmysłów wylęgte,
We fal skapane melodyjnym szumie,
Naraz przed oczy mojemu
Urok przedziwnych roztoczyły zmian!
Gotyckie słupy kościoła
Przybrały kształty
Płomiennych kolumn,

Lśniących w tysiącnym odbiciu
Ścian zwierciadlanych, ujętych
W sploty złociste...
Na okwieconej ambonie
Płasały maski,
A od chwili do chwili
Zahuczał okrzyk bachancki.
Jako falisty wał,
To tłumów głośnych, to par miłośnych
Błyszczący potok drżał.
I zbeszczeszczony tum
Wypełniał dźwięków tumaniących szum,
Z początkiem zwolna, a potem — jak leci
Upadłych dzieci
Czar kołysanek ponocnych!
W tanecznym wirze,
W bogatej szacie
Sunęły chyże
Znajomych kobiet postacie,
O krasie zdrowej,
Jedne witając przyjaznymi słowy,
Drugie szyderstwa uśmiechem;
Innym znów oczy od gniewu pały,
A inne pychy, patrz! skażone grzechem,
Które mnie znać już nie chciały.

Ale spojrzenie zdziwienia
Najcudowniejsza ze wszystkich
Rzuciła na mnie, gdy stałem,
Przybysz poważny a skromny,
I zaraz, prędko pobladłszy,
Silniej się jeszcze przytuli
Do piersi swego tancerza,
Wystrojonego, młodziutkiego gacha,
Aby znów zniknąć wśród ciżby...
Wtem dziko zagrzmiały fanfary,
Świece wystrzelały do góry

Ku migotliwym sklepieniom,
I oto znowu się zjawia
W koronie róż, w wieńcu kędziorów,
Główka znajoma,
I znowu ku mnie
Zwróci się płomień
Tych czarnych oczu, tych niezapomnianych,
Lecz pełnych smętku, pełnych przebaczenia...

Ty byłaś, ty, Maryetto,
Ty z grzesznych dzieci
Najcudowniejsza, najlepsza!
Perło błyszcząca
W onej kałuży,
Którą źli, równie, jak dobrzy,
Żądnie całują —
W tej ukochanej naokół,
W tej przeklinanej naokół
Ziemskiej kałuży!
Ty, której niegdyś
Tak pożałowałem gorąco
I którą niegdyś zamknąłem
Ach! w tak gorące ramiona,
Że serce młode,
Że twe wiośniane, uśmiechnięte serce
Nie mogło mnie nigdy obdarzyć
Miłością czystą i wieczną,
Mnie, marzyciela,
Zagubionego w kaprysach...
Od onych godzin,
W których zamknęłaś mnie w sieci
Swych czarów złudnych,
Lat-ci niewiele minęło,
Ale lat suchych i nudnych,
A oto znowu jawisz się przedemną
W oślepiającej piękności
I żar gasnących rozbudzasz płomieni!

Myślałem wówczas: Stworzeni,
Widać, byliśmy dla siebie,
Albowiem ty marzycielem,
Choć był chimera zatruty,
Nie pogardziłaś, nie!
Pozostaw sercu, aż złamie się,
Urok, z ułudy wysnuty.

Mijały suche
I nudne lata,
Ja znów przebiegłem
Szeroki świat —
Mogłem przytłumić
Mych myśli żar,
Ale zagasić — przenigdy!...
Niejedno, niejedno
Zostało jeszcze w pamięci!
O Maryetto, twój widok
Przyniósł mi jasne wspomnienie
Onego miasta północy
I twojej pięknej komnatki —
Ciepłe, jak wówczas, gdy nocą
Całował okna twe śnieg,
A tak przyjemne, jak wówczas, gdy w oknie
Ostatnie gały polanka,
A drżący lampy promyczek
Twarz rozaniała ci zbladłą;
Słodkie, jak wówczas, gdy w twym łóżku białem
Do przyjaciela, żadnego ukojeń,
Twoje uroczę lepiły się członki,
A twój dziecięcy, rozkoszny rozhovor
Poprzez zepsucia otchłanie
Ludzkiego serca dawał mi poznanie.
Siła twojego ramienia
Na mnie opada —
I jam przykuty — —
Żem mimo tego wspomnienia

Rzucił cię, biada mi, biada!
Dzisiaj, ty łanio,
Oczy twe smętkiem mi świecą,
Dziś ślesz mi ciche wyrzuty!...

I te wyrzuty
Zglębiając ostrzem swej myśli
I swem wrodzonym samokrzyżowaniem,
Widziałem dziką tę marę,
Jako się w nikłe rozplywała kształty —
Widziałem, jako powoli
Pomrok ją nocny ogarniał...
I znów mnie owiał kościelny wiew...
Organ przeciągłym akordem
Zdawał się rzucać na drogę
Mijającemu natłokowi wiernych
Słowo upomnień,
Gdy oto przy mnie
Postać zjawiła się ciemna;
Wśród koronkowych wnet mgławic
Dostrzegłem oczu błyskawic,
Wnet pulchna ręka i mała
Za moją rękę schwyciła —
O cudzie! obok mnie stała
Ma Maryetta, ma miła!

I wnet się spyta: czyż serce
W pancerz zakuła ci, powiedz,
Dumy ślepotą?
Lub czy je świeża znów gniecie
Troska miłosna?
W modłach gorących
Gięłam kolana,
Lecz twe mnie kroki wyrwały
Z onej pobożnej zadumy;
Błagalne oko zawisło
Na twoich rysach znudzonych,

I zmysł mój wszystek
Był już przy tobie,
A ciebie, ciebie, co w żalobie
I dzisiaj nurzasz mnie jeszcze,
Żadne nie zdjęłyż dreszcze?
Cóż cię za drogi przywiodły?
Czy ona mądrość i modły?
Czyż zagościła wiara wśród twych czuć?
Czy toniesz, druhu, w słabości łzach,
W łzach kochających białogłów?... — Ach!
Dziś zapomniane już wszystko — pójdź!

I tak kościelną bramicą,
Milcząc, wyszliśmy
W ciemność, przetkaną iskrami
Pozdrawiających gwiazd.
Tucza już przeszła nad miastem
I burzę myśli wnet nocny
Chłód mi uciszył.
Szlismy wzdłuż ulic zamkniętych,
Potem wonnymi ogrody
Wskrós Maryetta mnie wiodła
Pod okna w jasnych płomieniach
I, dłoń łagodnie ścisnąwszy,
»Oto ma cela« — wyrzekła —
»Jesteśmy w domu, zawitaj!...«

Nie bez bojaźni
Przeszedłem progi gościnne,
By na wabiących dywanach,
Przy woni kwiatów i blasku świec
Przesłodkiej słuchać rozmowy.
Żaden ci upór posępny,
Żadna ci cnota germańska
Nie będzie tarczą naprzeciw
Prawroga córom uroczym,
Naprzeciw Galii precudownym córom...

O rozkiełzane,
O niewymowne uczucia,
Co raz do piersi Maryetty,
Do jej gorącej, falującej piersi,
To znów mnie rwały napowrót
W krąg obowiązków,
W zakres bezpiecznych doświadczeń
I w to płomienne koło moich przysiąg!
Wyrwać tam siebie
Ze szpon tych wrogich pokuszeń,
Było zasługą:
Wiodłem bój szczery, waleczny,
A gdy Maryetta
Miłość mi wyzna najśłodsza,
Nazwawszy życia mnie panem,
Kiedy o wierność wieczystą mnie prosi,
Wówczas mój język, zapewne dobranem
Do miejsca słowem,
Taką, słuchajcie, naukę wygłosi:

»Miłość? czem miłość?
Ty nie myślałaś już o mnie,
Jedynie prędkie, przelotne spotkanie
Rzuca dziś znowu twe zgasłe
Serce do mego sierocego serca!
O Maryetto!
Ty nie kadzideł pragniesz
Dla katolickiej swej duszy,
A ja — miłości nie szukam już dzisiaj!
Lecz oto, zamiast nieskalane prośby
Otulać w słowa nieśmiałe,
Ciało twe, tchnące ambrozą,
Dziś pogańskimi okryję całunki,
Że aż bezwładza rozkoszy
Przeniknie każdą twą żyłę.
Wówczas — tak! wówczas
Palące wspomnienie,

Pożerająca tęsknota
W twojej i mojej rozszaleje krwi
Płomieniem, dzikszym nad wieczystą miłość.
Tobie jest danem
Uśmiechem boleść rozganiać,
Albowiem życia twojego wir
Pochłania wspomnień męczarnie,
Podrzuca troski najgłębsze
W górę ku blaskom słonecznym,
Że jako bańki pękają.
A gdy wieczorem, w migocącej sali
Zabrzmi muzyka, gdy słodka melodia —
Wówczas, gdy walc cię demonów zatoczy
W te czarodziejskie swe koła,
Kiedy cię tysiąc języków sławi,
O Maryetto, czy przed twemi oczy
Mój obraz wtedy się jawi?
Nie! wina strugi te świeże,
Co gaszą ogień twym ustom,
Zmieniają się w czar chłodnej Lety;
Nawet w samotną noc pustą,
Gdy zwykłe mówisz pacierze,
Nie myślisz o mnie, niestety!

A mnie, pieśniarza, a mnie, marzyciela,
Czekają straszne katusze,
Jeśli z twych objąć
Znowu się wyrwę,
By, nowy Tantal,
W samotnej puszczy
Na nowo dyszeć rozkoszą.
Jeśli ulegnę czarowi,
Czekają na mnie
Męczarnie śmierci,
Aż ten wszechmocny
I wszechniszczący,
Wszystko walący czas

Przygasi we mnie
Nawet twój obraz, w mem sercu
Wdzięcznem cudownie wyryty
Płomienistemi głoskami!...
Nad wszystkim władnie czas,
Ale powoli
Fala zapomnień mi ciecze.
Rana, co boli
Innych, mnie piecze!
I dzisiaj środek mi znany,
Który zagasi me rany,
Co mnie przed straszną obroni chorobą,
Gdy znów jesteśmy ze sobą.

Dla nas obojga minęło szczęście
Szczęście spokojne i święte,
Zgasła — patrz, miłość, co życie
Łagodnym blaskiem oświeca.
My już nie możemy —
Nam już nie wolno,
Patrzaj! należeć do siebie!
Losy obojga
Są, jako tucze, zawisłe
Nad drżących drzew wierzchołkami:
Musimy żyć sami —
Ty wśród swych szychów złocistych,
A ja wśród gmachu marzeń ponurych i mglistych!
Wiem, że marnością jest wszystko,
Wiem, że bezbarwne
I bez uroku jest wszystko
Tam, gdzie zabrakło całunków kobiety,
Pełnych płomiennej rozkoszy...
I cóż? choć sercu biednemu —
Choć zwęglonemu ach! sercu
Kwiaty wyrosną znów świeże,
Cóż, choć się znowu ku tobie rozpalę?

Ja nie znam wcale —
Ja w używanie spokojne nie wierzę...

Jeślim ci mówił: Maryetto!
Łagodna noc bez gwiazd
Niech zamknie wierność,
Całe minuty trwającą,
Wierność, co wzłata radośnie ku niebu —
Niech uszlachetnia
One rozkosze,
Dla wychłodzonych niezdobyte pulsów;
Z głębi zięjącej
Niechaj wywoła
Ach! śmierć, zięjącą straszliwie...
Dość tych przebudzeń!
Dzisiaj nam w cichym uścisku
Usta na ustach i zbolełe serce
Przy twojem sercu, co żarem
Goreje jeszcze ostatnim,
Śnić i przebaczać — zapomnieć!...
Czyż śmierć tak ciężka?
Czyżby śmierć taka
Nie była godną
Mojej żałoby,
Nie była godną twych losów?
Gdybym pochlebstwem
Twe przyzwolenie wyblagał —
A znam ja ciebie —, wiem, że twa wezbrana
Wspaniałomyślność każe ci powitać
Nierozerwalny nasz związek
Łzami świętymi!
Wiem, że bez wahań
Przypieczętujesz go swymi całunkami.
Lecz to nie może być —
Niech mój gołabek ulata wesoło,
Niech kapie skrzydła
W eterze niebios świetlanym.

Niech blasku ócz twych stęsknionych
Wyrzeczeń łza nie przyćmiewa;
Niech słonecznego marmuru tych członków
Śmiertelny oddech nie dotknie...
Żyj i używaj
Bez chorobliwej tej skruchy!
Precz, precz z wiernością!
Bądź, jaką jesteś —
Wolno odważną ci dłonią
Pochwycić czarę rozkoszy,
Więc sięgnij po nią,
Więc ją wypełnij po brzeg
Niech ona ciężar ten spłoszy,
Co ciebie gniecie!
W odurzającej tej Lecie
Utop swój wiek
I zanoś ku bóstwom modły,
By w kraj cię swój bez cierpień i młoda zawiodły.

Cudne bożyszcze!
Ty swą pochodnią
Świeć odważniejszym, świeć lepszym
W twą oblubieńczą komnatę,
Strojną we świeże wciąż róże.
Ja już nie jestem, czem byłem —
Na mojem czole
Życie głębokie
Bruzdy wyryło
I śnieg przyprószył
Moje ciemiona...
Żegnaj na wieki!
Jam niewesoły,
Jam niedość mądry,
By resztę dni
Przy twoim boku przepieścić;
Maryetto: dobranoc!
Ponieważ w miejscu, poświęconem Bogu,

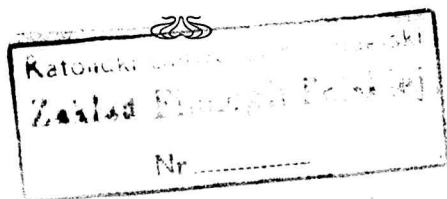
O tobie myślałem,
Niech wyrzeczeniem potężny,
W myślach,
Poświęconych tobie,
U twego progu:
Do tych ciemnych sklepisk nieba,
Gdzie lśnią złote gwiazd promienie,
Dzikie usta me przyciskam
I wylewam łez strumienie...«

Lecz w dziki uścisk zamknęła mnie Maryetta
I, w falujące kędziory
Strojne, dziecięce oblicze
Do drżącej piersi przycisła...
Potem je wolno podniosła,
Płonące ogniem młodzieńczym,
A wielkie, a dumne,
Szczęście wróżące,
Rozmiłowane źrenice
Z boleścią w moje spojrzały...
I rzeknie słowa błagalne:
»O ku mnie z twarzą
Ponurą tą,
O ukochany, jedyny!...
O zostań, zostań,
Nie pogardź mną!«
Oszołomiła mnie rozkosz nadziemska,
Żyły mi przebiegł,
Pałacy myśli,
Potężny strumień lawy.
I pochwyciłem tę postać gibką,
Całując wargi rozkwitłe,
I zawołałem: »Nie rzucę cię nigdy!
Precz z tem cnotliwym wahaniem!
Najdroższa! Twoim, jam twoim,
Tak, szczęście najśłodsze,

O Maryetto, przy tobie jedynie!
Chodź: niechaj czas nam szczęśliwie upłynie!

.
.
.
.

O jak kaskady tryskały
W kwiecistym parku Maryetty!
Jak, pełne radosnej podniety
W drzewach te ptaki śpiewały,
Gdy świt mnie witał z powrotem,
Oblany różowem złotem!
Czyż z demonami staczałem ja boje?
Czyliż z otchłani zasypanych dróg
Śmierć zapragnęła, ten zbladły wróg,
Zamknąć w oddechy mnie swoje?
A gdy mi słońca promienisty szmat
Nakształt niebiańskich oczu błyskawicy,
Ze złotych szczytów świątnicy
W serce się grzeszne wkradł,
Powiedźcie, ciemne wy siły,
Czy to budzący się wstyd,
Czy też rozpachy zgrzyt
Naraz me wszystkie pulsy wyziębiły,
Żem uczuł dreszcze grobowe?
Nie! życie we mnie
Świeże i zdrowe
Po długich cierpieniach duszy
Rozkoszne wlało ciepło i jasne zaranie!
Maryetto! Maryetto!
Dzisiaj ci pytać daremnie,
Co z nami obojgiem się stanie!...



SPIS RZECZY.

LIRYKI I.

I. Z padołu walki.

I. Aryman i Oromaz	5	<i>Przełot I</i>
II. Nienawidzę	22	<i>10</i>
III. Błogosławieni	23	<i>11</i>
IV. Pieśń irlandzka	24	<i>12</i>
V. Hej, odłogiem leży nasza rola	27	<i>13</i>
VI. Excelsior	29	<i>14</i>
VII. Trzeba nam wiary	31	<i>15</i>
VIII. Oni i my	33	<i>16</i>
IX. Więc cóż?	39	
X. Z więzienia	42	<i>17</i>
XI. Światła i chleba	62	
XII. Drogi krzyżowe	64	
XIII. Oto już idzie	74	
XIV. Kiedyż przyjdą czasy twych wyzwoleń	76	
XV. Boże carja chrani...	78	
XVI. Warszawianka	80	

II. Pieśni biblijne.

1. Z motywów biblijnych	85
I. Niebo i ziemia	87
II. Hagar	91
III. Rebeka. (Sielanka hebrejska)	96
IV. Mojżesz	103
V. Samson	110
VI. Judyt	117
VII. Baltazar	123
2. Ezechiel	129
3. Chrystus	149
I. Narodzenie Chrystusowe	153
II. Chrystus w Nazarecie	155
III. Kuszenie na puszczycy	161

IV. Kazanie na górze	170
V. Burza na morzu	173
VI. Chrystus w domu faryzeuszowym	175
VII. U stóp cysterny w Sychar	179
VIII. Chrystus pośród swoich	182
IX. Wjazd do Jeruzalem	185
X. W ogrodzie oliwnym	189
XI. Chrystus przed Piłatem	193
XII. Golgota	197
III. Przygodne.	
1. Rorate coeli	203
II. Narodzenie Chrystusowe	205
III. Bóg się rodzi	209
IV. Z opłatkami	210
V. Żegnajmy dzisiaj rok stary	213
VI. O Roku Nowy	216
VII. Aleluja! Aleluja!	218
VIII. A kiedy zmartwychpowstał	222
IX. Kordecki	227
X. Na uroczystość dwóchsetnej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem	235
XI. W setną rocznicę Trzeciego Maja	238
XII. Tadeusz Kościuszko	241
XIII. Racławice	243
XIV. 1863—1893	245
XV. Adamowi Mickiewiczowi	248
XVI. Słowacki	257
XVII. Pamięci Szopena	260
XVIII. Twórcy sceny polskiej	263
XIX. Lirnik mazowiecki. (Cieniom Lenartowicza)	267
XX. Maryi Konopnickiej	271
XXI. Elizie Orzeszkowej	278
XXII. Witajcie do nas, druhowie! (Na zlot sokoli we Lwowie 5 czerwca 1892)	280
XXIII. W. W. W.	283
XXIV. Kantata na odsłonięcie pomnika A. Fredry we Lwowie	285
XXV. Kantata na otwarcie fakultetu medycznego	287
XXVI. W albumie	289
XXVII. Wiersz karmelkowy	290
IV. Przekłady.	
1. Ofelia. Z Jana Artura Rimbaud'a	293
II. Biedni ludzie w kościele. Z Jana Artura Rimbaud'a	295
III. Kruki. Z Jana Artura Rimbaud'a	297
IV. Walc demonów. Z F. Schmid'a (Dranmor'a)	299



6.57-1571

ROMANA DMOWSKIEGO

PRACE

do nabycia we wszystkich księgarniach:

Kor. Rb.

NIEMCY, ROSYA I KWESTYA POLSKA. 8-ka,
str. 271 i XIII. Lwów-Warszawa 1908 5— 2—

Nasza literatura polityczna wzbogaciła się znowu o jedną bardzo ważną pozycję, tem ważniejszą, że wyszła z pod pióra nie teoretyka, ale praktyka, w wysokim stopniu odpowiedzialnego za dzisiejszą polską politykę. Dla czytelnika zatem korzyść jest podwójna, pierwsza ta, jaka wynika z każdej nowej a interesującej książki, druga ta, że czytelnik ma w tym wypadku do czynienia nie z martwą bibułą, ale że ta książka zbliża go bezpośrednio do życia, do praktyki publicznej, pod której bardzo silnym wpływem została napisana. („Ateneum polskie“ t. IV, z. I).

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA. Wyd. III-cie,
dopełnione rozdziałem „O podstawach polityki
polskiej“. 8-ka, str. 279. Lwów-Warszawa 1907 3:50 1:50

W istocie swej książka Dmowskiego to nie polityczna broszura. Sięga ona do głębi naszego życia etycznego i umysłowego. Egoizm narodo-
dowy Bałickiego ujął w kształty uchwytnie współczesny typ etyczny Polaka, obywatela-żołnierza. Myśli Dmowskiego w rozważaniu poważnem, oddawna u nas niebywałem, wprowadzają go w pełnię życia polskiego w chwili obecnej. W literaturze naszej „o poprawie Rzeczypospolitej“ zajmą miejsce poczesne. Ale nie tylko w literaturze. Książkę Dmowskiego czekają szerokie podboje w życiu. Rzucać się będą na nią ci, dla których zwrot idący z nią nie jest pożądany. Ale „poprawa Rzeczypospolitej“ tym samym, silnym, zdrowym duchem, który bije z książki, weszła już w życie (St. Słowski).

WYCHODŹTWO I OSADNICTWO. 8-ka, str. 109.
Lwów-Warszawa 1900 2— —80

poleca

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE WE LWOWIE

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE WE LWOWIE

**NA PODARKI
GWIAZDKOWE I OKOLICZNOŚCIOWE**

POLECA SIĘ

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH:

	Kor.	Rb.
BELZA i HORAIN. Historia o strasznym potworze. Bajka dla dzieci	2.—	—80
DĘBICKI ZDZISŁAW. Ojciec nasz. Modlitwy wie- czne. Z ilustracjami St. Dębickiego	1.70	—70
GALL JAN. 150 pieśni i piosnek, część I na chór męski	7.—	2.80
— 150 pieśni i piosnek, część II na chór mieszany	7.—	2.80
MARCINOWSKA Jadwiga. Bajka	2.—	—80
RYDEL LUCYAN. Bajka o Kasi i królewiczu. Dla dzieci. Z ilustracjami Stanisława Dębickiego .	4.—	1.80

SKŁADY GŁÓWNE:

We Lwowie: W Towarzystwie Wydawniczym, w Warszawie:
E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł), w Kijowie: Leon Idzikowski.